



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Wiesław Karpiński

## Dzień za dniem, za rokiem rok...

Jest rok 1939. Mieszkamy – tata, mama i ja – w jednoizbowym mieszkaniu na drugim piętrze czynszowej kamienicy przy ul. Kawęczyńskiej na Szmulkach na Pradze. Tam właśnie się urodziłem 25 lipca 1928 roku i tam spędziłem całe swe dzieciństwo.

Jak pamiętam na każdym piętrze był tylko jeden kran z wodą i zlew, do którego wylewało się nieczystości. „Biały domek” na trzy oczka znajdował się na podwórku i tam chodziło się za potrzebą. W niektórych mieszkaniach było tylko światło elektryczne, w pozostałych palono lampy naftowe.

Tato mój był tramwajarzem. Jako motorowy prowadził wagony i przyczepny po całej Warszawie. Po ul. Kawęczyńskiej jeździł tramwaj nr 25 od pętli przy Bazylice aż na Plac Narutowicza. Mama zajmowała się domem i była jak to się mówi „przy mężu”. Ja chodziłem do szkoły powszechnej nr 192 im. Adama Asnyka przy ul. Otwockiej 3. W roku 1939 byłem już w klasie IV A.

Wśród rozmów znajomych i przyjaciół przychodzących do rodziców coraz bardziej dominuje temat „wojna”. Będzie czy nie będzie? Radio podaje coraz bardziej niepokojące wieści. W pewnym momencie spikerzy stacji zagranicznych, przekrzykując się nawzajem, podają w kilku językach ważną wiadomość. Nie wiemy co to jest. Łapiemy stację niemiecką: słychać ryk tłumów: „heil, heil” oraz głuchy łoskot uderzeń podkutych butów żołnierskich o bruk. Po chwili już wiemy – Niemcy zajmują Czechy i Morawy. Tata w styczniu tego roku kupił doskonale radio Telefunken i to z niego otrzymujemy tę wiadomość. Sytuacja polityczna staje się niedobra. Hitler oficjalnie żąda teraz od Polski Gdańska oraz eksterytorialnej drogi i kolei wiodącej przez Pomorze do Prus Wschodnich. W Warszawie powołuje się pogotowie OPL – Obrony Przeciwlotniczej. W marcu jest próbny alarm. Wyją syreny fabryczne, a ponieważ na Pradze jest sporo zakładów, więc jęczący dźwięk o wysokiej tonacji brzmi bardzo donośnie. Ulice szybko pustoszeją, ludzie chowają się do bram, zatrzymano ruch tramwajów. Wszyscy głośno komentują to wydarzenie.

Nam, chłopakom ze Szmulek, wydaje się, że te sprawy w ogóle nas nie dotyczą. Nas interesuje przede wszystkim kto z nami trzyma „sztamę” i żeby żaden „menelik” nie psuł nam powietrza. Dostałem wtedy od rodziców na imieniny prawdziwą piłkę nożną. Jak tylko wyszedłem z nią pod pachą na podwórko, natychmiast pojawili się kolesie. Wyczuli węchem co się święci. „Szmacianka”, którą dotychczas graliśmy, poszła do lamusa. Pobiegliśmy na Labor, by rozegrać mecz. Labor – był to pusty teren za fabryką „Ramówką”, gdzie mieliśmy swoje boisko. Dochodziło się tam wąską uliczką Wojnicką o szerokości chyba 2 metrów. Plac był pokryty trawą, a bramki stanowiły słupki wbite w ziemię w odpowiednich odległościach od siebie. Wszystko to nie przeszkadzało nam – mogliśmy rozgrywać mecze

prawdziwą piłką. To sprawiło, że doszło do nas dwóch kolegów: Mietek i Zenek. „Ferajna” nasza liczyła 12-14 lepków.

Sytuacja polityczna zaostrza się. Po brutalnych żądaniach Niemiec i słynnej mowie ministra Becka i do nas dochodzi, że wojna może być nieunikniona. Rozmowy starszych koncentrują się na tym, jaką armię mamy my, a jaką Niemcy. Mają oni podobno dużo czołgów i samolotów. Wydaje się, że z nami nie jest dobrze.

W szkole składamy nasze grosiki na Fundusz Obrony Narodowej. Ludzie oddają spontanicznie swoje kosztowności, dolary i srebra rodzinne. Podobno z funduszy młodzieży szkolnej zostały zakupione dla wojska 4 karabiny maszynowe.

Warszawa w tym czasie tętni życiem. Wszystkie sklepy i urzędy funkcjonują normalnie. Widzi się sporo nowo wybudowanych budynków. Nowy Świat i Marszałkowska wieczorami błyszczą w światłach reklam. Na linie tramwajowe wprowadzono nowe wagony, tzw. salonki, całkowicie obudowane i przeszklone. Na Targówek jeżdżą po Radzymińskiej nowe autobusy Sanery z pochyłym motorem z przodu i otwartym pomostem z tyłu. Spotyka się polskie samochody Fiat 508, robione na licencji włoskiej. Na ulicach zwykle pełno ludzi. Tata pracuje normalnie, mama zajmuje się domem, ja się uczę. Wujek Piotrek od kilku miesięcy jest już w wojsku, a wujka Ludwika właśnie powołali.

Wakacje blisko, więc w szkole finiszujemy. 1 czerwca 1939 roku mam 10 lat i 10 miesięcy. Kończę klasę 4-tą i przechodzę do piątej. Zakończenie roku szkolnego odbywa się szybko. Na pożegnanie pani wychowawczynie mówi do nas, że spotykamy się jak zwykle po wakacjach, tj. 4 września.

Lato jest upalne. Ja z mamą wyjeżdżam do wujka Jana L. do Ignacowa, w grójeckie. Jedziemy „lux-torpedą” szybko i wygodnie. Znajomą już trasą przez Błędów docieramy do wujostwa. Lato w tym roku jest wyjątkowe: dużo słońca, błękitne niebo, gęsty skwar, dużo zieleni. Zboża dojrzewają, kłosy są pełne, będzie duży urodzaj. Z moim bratem ciotecznym, Jurkiem, smarujemy się szmalcem i idziemy szczepić drzewka w szkółce przy zagajniku. Mamy zrazy, nacinamy odpowiednio korę drzewka, wkładamy zraz w wycięcie i zawiązujemy to mocno rafią. Po jednym dniu nasze spalone słońcem ciała nabierają koloru czerwonego. Musimy włożyć koszule. Deszcz, który kropi z ciemnej chmury, wcale nie chłodzi. Na ziemi powstają kałuże, w których taplamy się na bosaka. Pomagam w rozpoczynających się żniwach. Kąpiemy się codziennie w czystym Ługu – tak nazywało się to jezioro.

Na tydzień jedziemy z mamą do Heli – córki mojego wujka, która mieszka niedaleko na Dąbrówce i ma swoje gospodarstwo. Podziwiamy jej potomstwo – malutką córeczkę Jadzię. Brodzę ze znajomymi chłopakami w czystej i pięknej rzece Mogielonce, po piaszczystych mieliznach. Łowimy raki i ryby. W cieniu olszyn nad rzeczką jest cicho i spokojnie. Nie myślimy o tym, że coś może się wydarzyć.

Jesteśmy znów w Ignacowie. Stawiamy właśnie snopy zboża w kopy, gdy nagle, gdzieś w połowie sierpnia, niespodziewanie, po południu przyjeżdża tata. Wieści, które przywozi są niedobre. Mówi, że wojna tuż tuż, zaopatruje się domy w Warszawie w piasek, bosaki, łopaty, przygotowuje się schrony, rekrutuje się pojazdy dla wojska, PCK organizuje punkty sanitarne. Mobilizacja powszechna jest kwestią najbliższych dni. Lepiej będzie jak wrócimy do Warszawy. Tata tam pracuje i tam będziemy razem.

Pakujemy się więc szybko i następnego ranka, skoro świt, Stach odwozi nas furmanką do Błędowa. Sporo ludzi czeka na autobus, ale bilety dostajemy. Na rynek zajeżdża autobus. Widzę dokładnie jak przednie prawe koło odpada i tocząc się po bruku wpada na trawnik. Kierowca nakłada je z powrotem na oś i podjeżdża po pasażerów. Autobus jest przepełniony. Ruszamy w drogę. Za nami ciągnie się smuga białego kurzu i pyłu. Co parę kilometrów koło odpada, kierowca je nakłada i wiąże jakimś drutem, ale to nie pomaga i tak zatrzymując się kilkakrotnie docieramy z opóźnieniem do Grójca. Tu tata kupuje bilety na „ciuchcie” i koło południa wsiadamy do pociągu. W wagonie jest ciasno, dużo ludzi powraca – wszyscy rozmawiają o wojnie. Wieczorem jesteśmy już w domu na Kawęczynskiej. Słuchamy radia: jest muzyka, ale są i wiadomości. Polska nie zgadza się na przemarsz wojsk sowieckich przez nasz kraj w razie wojny z Niemcami. Zdrożeni podróżą kładziemy się spać.

Następnego dnia tata idzie do pracy, mama zajmuje się domem, ja wychodzę na podwórko. Jest piękny letni poranek. Przed sklepem widzę sznur kobiet ustawionych w kolejkę – robią zakupy żywnościowe na wypadek wojny. Powiadamiam o tym mamę i razem wychodzimy na ulicę. Ja stoję w ogonku do sklepu pani Kantykowej, mama w kolejce do sklepu „Prażanka”. Dowiadujemy się, że była już jakaś mobilizacja alarmowa, stąd ten popłoch w zakupach. W końcu wracamy do domu przynosząc parę kilo mąki, trochę cukru, chleb i parę bułek.

Spotykam swoich koleśków. Kilku z nich ma już funkcję gońca OPL w swoich kamienicach. Umawiamy się na grę w piłkę nożną na jutro.

25 sierpnia. Okazuje się, że mój tata został komendantem bloku OPL w naszej kamienicy. Ma już do pomocy wybranych obserwatorów, posterunki strażackie i gońców z mieszkańców naszej „czynszówki”. Każdy z nich wie co ma robić. Wacek jest gońcem i ma już żółto-zieloną opaskę, którą założył sobie na rękaw marynarki. Ja też mam być gońcem, ale zabrakło dla mnie opaski. Na podestach klatki schodowej ustawiono skrzynie z piaskiem, a na podwórku przy trzepaku, obok kupy piachu, wiszą na

drewnianym stelażu kubły na wodę, bosak, kilof i szpadle. Obecnie przygotowuje się apteczkę dla potrzeb mieszkańców. Rozgrywamy z chłopakami tylko jeden mecz na „Laborze” i każdy z nas gdzieś pędzi. Kolejki przy sklepach coraz większe. Mama stoi wytrwale i przynosi dodatkowe zakupy. W Parku Praskim przy cerkwi kopią rowy przeciwlotnicze. Widzę na ulicach sporo żołnierzy z bronią. Radio donosi o nowych prowokacjach na granicy polsko-niemieckiej.

27 sierpnia. Przychodzi wujek Władek. Rozmawia z rodzicami o niebezpieczeństwie nadciągającej wojny. Zaglądają sąsiedzi. Tata mówi, że konduktorów w tramwajach zastąpią kobiety-konduktorki. Na mieście plakaty – Marszałek Rydz-Śmigły na tle nieba wypełnionego samolotami i napis: „Gwałt zadany siłą, musi być siłą odparty”. Jest niedziela, idziemy do kościoła do Bazyliki i widzimy, że prace przy kopaniu rowów przeciwlotniczych są coraz bardziej zaawansowane. Po południu transmisja radiowa meczu Polska – Węgry, który wygrywamy 4:2. Radość ogromna. Z wrzaskiem i krzykiem całą ferajną pędzimy na „Labor”, by tam dać upust swej energii i radości.

29 sierpnia. Idę do szkoły dowiedzieć się, kiedy rozpoczynamy rok szkolny. Początek roku szkolnego został przełożony na połowę października. Powoli zaczyna nas ogarniać atmosfera przygotowań wojennych. Wybucho popłoch na skutek możliwości użycia gazów trujących. Tata długo stoi w kolejce do oddziału LOPP na Chmielnej po maskę gazową. Otrzymuje tylko jeden tampon przeciwgazowy na usta i nos w kształcie torebki, trzymany na głowie gumką. To wszystko – więcej nie ma. Czujemy, że jest niedobrze. Wieczorem tata uczestniczy w komisji, które przygotowuje schron. Okazuje się, że w naszej piwnicy schronu być nie może, bo wszystkie stropy są drewniane na poszczególnych piętach. Możemy skorzystać w razie potrzeby ze schronu na plebani lub z rowów przeciwlotniczych. Rozpoczyna się kopanie rowu przeciwlotniczego na polu ogrodnika, tj. między „Ramówką” a pętlą tramwajową. Do kopających dołączam ja i paru naszych chłopaków. Mozolnie wywalamy ziemię. Wieczorem w radiu wrzaskliwy głos Hitlera i wycie tłumów działa na nas okropnie. Tata z trzaskiem zamyka odbiornik. Widzę, że rodzice siedzą zatroskani i zaaferowani.

31 sierpnia. Piękny poranek. Słońce świeci ostro. Tata w pracy. Razem z mamą naklejamy w oknach wąskie paski papieru na krzyż. Mają chronić szyby w razie wybuchu. Tak robią wszyscy i w każdym oknie widzi się te białe krzyże. Ogłoszono powszechną mobilizację. Panuje duży ruch na ulicach. Wszędzie widać młodych mężczyzn zdążających do swych oddziałów. I z naszej kamienicy odchodzi paru. Wujek Władek żegna się z nami i idzie do cytadeli. Z chłopakami idziemy kopać dalej rów przeciwlotniczy na polu ogrodnika, potem trochę kopujemy piłkę, ale jesteśmy zmęczeni i gra nam nie idzie. Po południu tata przychodzi i mówi, że do pracy w komunikacji miejskiej przyjmują kobiety i emerytów. Wstrzymany zostaje cały ruch pasażerski na kolei, wszystko przeznacza się na potrzeby wojska.

Zapada wieczór. W milczeniu jemy wspólną kolację. W radiu zrobiło się jakoś cicho. Umilkł rozczytacz spikerów; z głośnika sączy się sentymentalna melodia. Wyglądamy przez okna otwarte na oścież. Na niebie świecą pierwsze gwiazdy, a na torach kolejowych przed Dworcem Wschodnim palą się jasno latarnie. Nie ma żadnego ruchu na ulicy. Czujemy, że ogarnia nas jakieś duże napięcie, jakbyśmy czekali na coś. Mimo wszystko kładziemy się spać. Jest niepokojąca cisza. Z pobliskiego dworca Warszawa Wschodnia dochodzi do nas ciężkie sapanie lokomotyw ciągnących długie składy transportów wojskowych. Nadchodzi noc i wreszcie zasypiam.

## Wojna – rok 1939

Każdy, kto przeżył koszmar wojny i okupacji ma to wszystko w sobie na zawsze. Nawet jeżeli od tamtych wydarzeń dzieli nas już ponad pół wieku.

1 września – piątek. Rano, jeszcze przed godziną 4-tą, tata wstaje, ubiera się i wychodzi do pracy. O 4.15 powinien wyjechać z zajezdni „Praga” swoim tramwajem na miasto. Mama śpi, a ja przekręcam się na drugi bok – jeszcze jest czas na wstawanie.

Budzi nas daleki przerywany ryk syren fabrycznych. Jest to dźwięk jeszcze oddalony, ale stopniowo powiększa się podchwytywany przez okoliczne fabryki. Zrywam się z otomany. Jest godzina 6 rano. Wyglądamy z mamą przez otwarte okno na ulicę. Zaczyna się piękny letni poranek. Jasno świeci słońce, niebo pełne błękitu. Widzimy w sąsiednich oknach wychylające się głowy sąsiadów. Co się dzieje? „To chyba próbny alarm” – docierają do nas głosy z ulicy. Z daleka dochodzi jakieś brzęczenie i słychać huki. „Pewnie ćwiczenia obrony przeciwlotniczej” – mówią ludzie stojący przed sklepem pani Kantykowej.

Mama już krząta się w kuchni i przygotowuje śniadanie. Mleko, jak zwykle, przynosi nasza gospodyni. „Pani – to chyba wojna” – mówi nalewając mleko miarką z bańki do podstawionego garnka. Przełykam szybko śniadanie, bo dzisiaj rozgrywamy mecz piłkarski i koledzy pewnie już na mnie czekają. Z piłką pod pachą zlatuję na dół i w 5-ciu czy 6-ciu pędzimy na nasze boisko, na Labor. Zaczynamy grę i nie przerywamy jej mimo, że brzęczenie przechodzi w wyraźne dudnienie samolotów

i widzimy je w oddali na niebie. Są wielkości małych ptaków. Wkrótce huk ustają i wszystko cichnie. Gramy dalej. Wtem syreny ponownie ryczą wokół nas. Dźwięk jest wysoki i niski, na zmianę – jakby przerywany, ale zarazem ciągły. Znów alarm! O, chłopaki, coś nie tak. To chyba naprawdę wojna! Pędzimy z powrotem wąską uliczką Wojnicką do Kawęczyńskiej. Na drewnianym płocie wiszą plakaty o powszechnej mobilizacji, na ulicy pusto. Momentalnie rozlatujemy się do swoich domów.

Na korytarzu, na dole, pełno ludzi. To wojna – mówią jedni, to ćwiczenia – mówią drudzy, a samoloty to nasze lub angielskie. Wpadam do mieszkania. Radio już włączone i razem z mamą słyszymy głos spikera: „Uwaga, uwaga, ogłaszam alarm lotniczy dla miasta Warszawy”. I zaraz potem: „Uwaga, uwaga, nadchodzi koma trzy, uwaga, uwaga, nadchodzi..”.. Patrzymy sobie z mamą w oczy. To wojna! Niemcy uderzyli na Polskę!

Okno jest uchylone na antabę. Słychać zbliżające się buczenie motorów i daleki gwizd spadających bomb. Schodzimy z drugiego piętra na parter i w korytarzu przy drzwiach wyjściowych na podwórko stajemy z mamą w grupie sąsiadów, którzy też tu zeszli. Głosy są już trwożliwe i ciągle słyszy się jedno i to samo słowo: wojna. Wojna – słowo, które wywraca wszystko do góry nogami. Drewniane drzwi na podwórko są zamknięte. Słyszymy w górze narastający warkot samolotów i nagle zrywa się szum, gwizd przeraźliwy w tonacji coraz wyższej, potem wybuch gdzieś blisko. Drzwi pod naciskiem podmuchu powietrza raptownie się otwierają i omal nie uderzają stojącego obok człowieka. Wyskakujemy w jednej chwili na zewnątrz i instynktownie przytulamy się do ściany kamienicy. Widzimy w górze, nad podwórkiem, błyszczące w słońcu, srebrne samoloty lecące trójkami: trzy, sześć, dziewięć, dwanaście... Idzie od nich głuchy warkot. Lecą wolno, majestatycznie. Same dwumotorowe bombowce. Obok nas stoi sąsiad pan Milczyński w koszuli zawiniętej po łokcie. W rękę trzyma lornetkę. Podnosi ją do oczu i wolno opuszcza na dół. Podaje ją mnie i mówi: „popatrz no”. Przykładam szkła do oczu. Chwilę reguluję, w okularach wyskakują sylwetki samolotów, w słońcu błysnęły kabiny pilotów i strzelców. Na srebrno-zielonych skrzydłach wyraźnie widzę wymalowane proste czarne krzyże. To samoloty niemieckie. Nie mamy już najmniejszej wątpliwości.

Teraz słyszymy wyraźne pykanie od strony Dworca Wschodniego, a wokół bombowców wykwitają białe obłoczki. To strzelają do nich działa przeciwlotnicze rozmieszczone koło torów dworcowych. Przeciągły ryk syren na jednej nucie – odwołanie alarmu. Oddychamy głęboko. Idziemy z mamą na górę do mieszkania. Siedzimy w milczeniu, nawet jeść się nie chce.

Godzina 14.00. Przerywany ryk syren na ulicy i w radiu. „Ogłaszam alarm lotniczy dla miasta Warszawy”. Schodzimy na dół po schodach, tak jak to robią sąsiedzi. Zatrzymujemy się z mamą w tunelu bramy, zaraz za wrotami wjazdowymi. Razem z nami parę osób. Znów głuchy łoskot bombowców. Ale co to? W tym warkocie słyszymy znów pykanie: pach, pach – wałą zenitówki, po chwili przestają, a w powietrzu słychać odgłosy wycia silników o wysokiej tonacji. Coś się dzieje tam w górze pod niebem! Wychodzimy przed bramę. Wysoko, w oddali, na jasnym słonecznym niebie widać małe srebrne sylwetki samolotów zataczające koła i spirale wokół lecących bombowców. Słychać wyraźnie jakby trzeszczenie dolatujące z góry – to strzelają do siebie samoloty. Robi się duże zamieszanie wśród latających maszyn. Nawet nie wiemy, że jesteśmy świadkami jednej z pierwszych powietrznych bitew nad stolicą. Ludzie powychodzili z bram na chodniki i zadzierają wysoko głowy. „O ten mały, to chyba nasz” – pokazują na małego myśliwca P-11, zwinnego szerszenia, który robi niesamowite wywroty. Wtem z silnika jednego z bombowców bucha czarny dym i ściele się za nim długą kitą. Widzimy jak zniża lot, odbija w lewo i ciągnąc za sobą czarną smugę przelatuje nad wałem kolejowym, po czym znika z oczu. Później ludzie mówili, że rozbił się gdzieś za Kawęczynem. Dziś już wiem, że tym myśliwcem był ppor. Palusiński z Brygady Pościgowej, który w pięknej walce posłał na ziemię dwa niemieckie bombowce: 10-go Henkla i 2-go Dorniera. Jesteśmy tak zafascynowani tym, co rozgrywa się nad naszymi głowami, że nie zdajemy sobie sprawy z niebezpieczeństwa pozostawiania na otwartej przestrzeni. Ale już pogotowie OPL działa i zapędzają nas z powrotem do bramy. Wkrótce odwołanie alarmu.

Wraca z pracy tata. Poszarzał jakoś na twarzy i jest bardzo zmęczony. Opowiada jak kilka razy, z powodu nalotów, zatrzymywał tramwaj i cała obsługa wraz z pasażerami musiała uciekać do najbliższych domów lub padała na pobliski trawnik. A wokół spadały bomby i waliły się kamienice. Trafione bombami budynki palą się, a od nich zapalają się inne, mimo że straż pożarna usiłuje je gasić. Widział już pierwsze trupy na ulicach i pierwsze spalone samochody. Bardzo mocno bombardowano Okęcie.

Z nastaniem zmroku kończą się naloty. Tata jako komendant OPL naszej kamienicy zarządza z dniem dzisiejszym „ostre pogotowie”. Zwołuje uprzednio wyznaczonych mieszkańców, sąsiadów i wyznacza dyżury: 2 panów na strych, 1 przy wyjściu na podwórko, 1 w bramie. Goniec ma nawiązać kontakt z OPL z domami z lewej i prawej strony. Sam osobiście sprawdza czy piasek i łopaty są na strychu, klatce schodowej i podwórku. Jutro idzie przecież do swej normalnej pracy.

Wreszcie nastaje spokój. Mama przyrządza posiłek i siadamy do stołu. Okna zasłonięte kocami. Jest obowiązek zaciemniania okien. Pali się tylko przy kuchni mała żarówka zasłonięta firanką. W mieszka-

niu jest półciemno. Tata przekręca przełącznik radia – w półmroku rysuje się opalizująca skala odbiornika. Słyszymy głos spikera: „zbombardowano na Okęciu zakłady PZL, Gocław, Koło, Bródno, Szmulowiznę... Bomby padły również na ludność cywilną Krakowa, Katowic, Grodna, Torunia...” „Niemcy nie liczą się z nikim” – mówi tata. Drugą wiadomość przynosi nam Wacek. Bomba trafiła w kamienicę na ulicy Łochowskiej i rozwalila ją doszczętnie. Pod gruzami zginęło kilka osób. Przecież to niedaleko od nas. Mama częstuje go kanapką, a on powtarza, że to co widział to jest tak straszne, że trudno sobie wyobrazić. Postanawiam jutro zobaczyć to na własne oczy.

Gasimy światło, odsłaniamy okna. Rzuca się w oczy rzecz charakterystyczna. Nie palą się światła latarni na kolei i przy torach rozrządowych na Dworcu Wschodnim. Jest po prostu ciemno. Słychać jak z ciężkim sapaniem lokomotyw przewalają się długie transporty wojskowe. Światła lokomotyw to dwa maleńkie, niebieskie punkciki. Noc jest ciemna, niebo jasne, pełne gwiazd. Mleczna droga połyskuje szklanym pyłem. Zapowiada się piękna pogoda na następny dzień.

2 września – sobota. Rano około 5-tej budzi nas modulowany ryk syren. Alarm! Szybko się ubieramy. Taty nie ma – jest już w pracy. Trzaskają w korytarzu otwierane drzwi sąsiadów. Niektórzy w pośpiechu pędzą na dół. „Pani sąsiadko schodzi pani?” – to głos najbliższej sąsiadki. Schodzimy na parter i jednocześnie widzimy, jak dwóch panów wspina się na górę, na strych. Są w samych koszulach, rękawy zawinięte do łokci. Idą na dyżur OPL na dach. Na dole część ludzi siedzi na drewnianych schodach, reszta podpira ściany. Słyszymy w górze dudnienie motorów, a zaraz potem detonacje, wybuchy. Ściany korytarza, w którym stoimy dziwnie drżą. Słychać również strzały naszych „pelotek”. Nie wolno wychodzić, bo odłamki od spadających pocisków mogą zranić.

Odwołanie alarmu. Pędzę na Łochowską, by zobaczyć rozwalony dom. Z daleka widzę usypisko gruzu zajmujące 3/4 ulicy i sięgające pod drugie piętro. Kupy gruzu zalegają na sąsiednich chodnikach. Widok szokujący. Dom rozwalony od dachu po parter, ściany frontowej na szerokości 6-8 metrów nie ma. Z wnętrza widoczna mozaika różnych kolorów ścian na poszczególnych piętrach i sterzące resztki stropów. Na tych resztkach widać na jednym piętrze białą kafłową kuchnię, na innym kawałek jakiegoś mebla, obrazek zawieszony na ścianie... Na ocalałym kawałeczku stropu na 2-gim piętrze stoi przy ścianie pianino. Jest to niesamowite i przerażające. Z gruzów sterczą pozostałości dobytku mieszkańców, połamane sprzęty i jakieś ubrania. Widzę kilka osób na tej stercie cegiełek, usiłujących jeszcze coś wydobyć z rumowiska. Obok mnie zbiera się grupka ludzi. Z rozmów wynika, że zginęło tu pod gruzami paru mieszkańców, a wczoraj do późnego wieczora wyciągnięto jeszcze troje zasypianych i jedno dziecko. Dzisiaj pozostało już tylko rumowisko.

Wracam szybko do domu i opowiadam to mamie. Radio nadaje komunikaty o sytuacji na froncie, kolejowe apele, odezwy i pieśni żołnierskie. Znow alarm! Zamykamy drzwi od mieszkania i schodzimy na parter. Na podwórku ustawia się kolejka do ubikacji. Okazuje się, że w stanie zdenerwowania i strachu człowiekowi się chce... i żołądek trudno utrzymać w ryzach. Kilku sąsiadów biegnie do rowu przeciwlotniczego, który jest na polu ogrodnika między „Ramówką” a pętlą tramwajową. Biegniemy i my. Syreny już ucichły. Ustał ruch na ulicach. Widzimy jak w rowie znika sznureczek ludzi szukających tam schronienia. Dopadamy do niego i zziębnięci kucamy na dnie, opierając się plecami o chłodne, piaszczyste ściany. Obok nas siedzą i kucają kobiety z dziećmi, natomiast mężczyźni stoją i wyglądają na zewnątrz. Kobiety przerywanym głosem zaczynają odmawiać litanie. Człowiek, który stoi obok mnie mówi, że siedzimy w tym rowie jak w grobie. Staję na nogi i rozglądam się wokół. Na boki nic nie widzę, ponieważ mam przed sobą przedpiersie z piachu wydobytego z rowu, natomiast nade mną rozciąga się błękitne niebo bez jednej chmurki. Nie słyszę żadnego buczenia samolotów. Dochodzą do mnie tylko słowa odmawianej litanii. Staję na piaszczystych schodkach i głowa moja wystaje ponad okop. Na pętli widzę nieruchomy skład tramwajowy linii nr 25. Pod ekspedycją, drewnianą budką, stoi troje ludzi. Pewnie to obsługa wagonów. Jak błyskawica przebiega mi przez głowę myśl – co z tatą?

Na ulicy przerażliwa pustka. Nie ma żadnego ruchu. Teraz słyszymy detonacje bomb, gdzieś na kierunku Grochowa, za wałami kolejowymi. Widać ciemne słupy dymu, unoszące się tam, a na ich tle lokomotywę stojącą na zakolu wału. Jednostajny sygnał na jednej nucie – koniec alarmu. Wracamy do domu.

W bramie domu widzimy ułożone jeden na drugim worki z piaskiem. Przychodzi niespodziewanie wujek Władek. Okazuje się, że w Cytadeli nie potrzebują teraz takich jak on, bo mają pełne ręce roboty z mobilizacją innych kategorii. Ma się zgłosić za tydzień. Rozkłada przyniesioną gazetę „Kurier Warszawski”. Jest w nim orędzie do narodu prezydenta Ignacego Mościckiego. „Obywatele Rzeczypospolitej! Nocy dzisiejszej odwieczny nasz wróg rozpoczął działania wojenne wobec państwa polskiego, co stwierdzam wobec Boga i historii”. Dalej następują komunikaty z frontu: polska kawaleria wtargnęła do Prus Wschodnich, 100 bombowców polskich zbombardowało Berlin.

Godzina 14.00. Wyją syreny. „Ogłaszam alarm dla...”. Stoimy z mamą w korytarzu na parterze przy drzwiach wyjściowych na podwórko. Jest nas grupka dorosłych i dzieci. Do piwnicy nikt nie schodzi. Głuchy jęk silników bombowców na błękitnym niebie. Widzimy je przez uchylone drzwi. Płyną

trójkami otoczone czarnymi kłębami dymów z wystrzałów naszych zenitówek. Narastający szum, przechodzący stopniowo w świst o coraz wyższej tonacji. Wszyscy mimo woli pochylamy głowy. Wydaje się, że „to” wali prosto na nas. Głośna detonacja – jedna po drugiej. Ziemia drży, ściany budynku „chodzą”, z sufitów sypie się tynk na nasze głowy. Nie bacząc na niebezpieczeństwo parę osób nie wytrzymuje nerwowo i pędzi przez podwórko do ubikacji. My z mamą, wiedzeni jakimś odruchem, wpadamy do bramy. Zatrzymuje nas człowiek z opaską OPL. „Dokąd to? Pod ścianę, za worki z piaskiem”. Przytomniejemy, kucamy za stertą worków i oddychamy głęboko. Żyjemy. Około godz. 16.00 przeciągły, jednostajny ryk syren. Odwołanie alarmu.

Przychodzi tata z pracy. Stoimy razem z nim i Wackiem przed bramą na ulicy. Wtem pojawia się jakaś pani, która z ramienia OPL sprawdza przygotowanie poszczególnych bloków do obrony przeciwlotniczej. Wszystko jest w porządku, ale w apteczce ogólnej są braki. Nie ma kilku lekarstw. Słyszę jak pani ruga tatę za niedopilnowanie tej sprawy. Tata mówi, że będąc komendantem OPL musi jednocześnie pracować normalnie w MPK i nikt go z tego obowiązku nie zwolni, bo komunikacja jest teraz bardzo ważna w okresie mobilizacji. Jak słyszę tata nie „pęka”, ale żeby załagodzić sprawę dodaje, że zaraz się tym zajmie. Ale ważna pani nie słucha, tylko straszy tatę: „chce pan do Berezy?” A Bereza to była w tym czasie miejscowość słynąca z paskudnego obozu dla więźniów politycznych w Polsce. A to szelma! Tata pyta się jej czego nie ma w apteczce, a ta wymienia nazwy kilku lekarstw. Sięga więc tata do swej własnej kieszeni po portmonetkę, wyjmując własne pieniądze i wręczając je Wackowi, który jest urzędowym gońcem z opaską, mówi: „Leć do apteki na Łochowską i kup to co potrzeba. Razem biegniecie – zwraca się tata do mnie – prędko”. Już biegnąc odwracam głowę i widzę, jak tata i ważna pani podają sobie ręce i pani prędko się oddala. W aptece ogonek ludzi, jedni z opaskami, drudzy bez – ale przyszedli po to samo co my. Stoimy grzecznie w ogonku, który ciągnie się aż na ulicę. Na krzesłach siedzą ludzie i harcerka z opaską czerwonego krzyża zakłada im bandażę na pokancerowane ręce i nogi. Aptekarz z pomocnicą uwijają się jak w ukropie. Trzeba przyznać, że pracują znakomicie i dzięki temu znajdujemy się już w środku. Przed nami dwie lub trzy osoby. A tu alarm! Syreny ryczą. W aptece nikt nie przerywa pracy. Ogonek kolejki schował się pod ścianę i do pobliskiej bramy. Mamy już jednak potrzebne lekarstwa. Nie mamy żadnej torby, więc Wacek część oddaje mnie, a resztę trzyma w ręku. Bandaże wepchnął sobie do kieszeni. Wychodzimy na ulicę. Wacek poprawia sobie opaskę, patrzymy na siebie i startujemy do biegu, jak sprinterzy na 100 metrów. Słychać już zawodzenie bombowców, a w oddali detonacje. Pędzimy środkiem chodnika tuż przy szkole na Otwockiej. Jacyś ludzie wołają do nas: „do środka, do środka!” My nie zważamy na te okrzyki i pędzimy dalej. Ktoś usiłuje zabiec nam drogę, ale mijamy go pięknym łukiem, skręcamy w Kawęczyńską i przebiegając obok plebani wpadamy do bramy pod nr 45. W bramie tata rozmawia z paroma mężczyznami. „Dobrze, że jesteście – mówi – już się o was martwiłem. Zanieście to wszystko do pani P., która ma pod swoją opieką apteczkę”. Wykonujemy polecenie, a stojąc na podeście klatki schodowej słyszymy dalekie wybuchy i detonacje. Pędzę na górę do mieszkania. Mama siedzi na krześle, w ręku trzyma różaniec i modli się. Nie zeszła tym razem na dół. Odwołanie alarmu.

Siadamy wszyscy do kolacji przy zaciemnionych oknach i słuchamy radia. Uwagę rodziców przykuwa informacja o panującym na dworcach tłoku i bałaganie. W godzinach porannych 3-go i 4-go września zostaną przygotowane specjalne składy na dojazdowych kolejkach wąskotorowych dla ludzi, którzy chcą wyjechać ze stolicy w okolice mniej zagrożone nalotami. „A może wyjedziecie?” – mówi tata. „A co z tobą – odpowiada mama – jeszcze poczekamy”. „Może być za późno – ostrzega tata – jutro trzeba decydować”.

Po posiłku gasimy światło i tata zdejmuje koce. Otwieramy okna na całą szerokość. Na zewnątrz całkowite zaciemnienie. Nie pali się ani jedna latarnia przy torach dojazdowych Dworca Wschodniego, które są widoczne z naszych okien. Do mieszkania wpada jedynie jasna smuga poświaty księżycowej. Słychać ludzi rozmawiających przyciszonymi głosami. Tata półgłosem opowiada co widział i przeżywał prowadząc tramwaj po ulicach miasta tego dnia. Niemcy szczególnie bombardowali dziś mosty na Wiśle i Dworzec Główny. Tata musiał zmieniać trasę, bo wybuch bomby zniszczył jezdnię i szyny tramwajowe.

Czuję, że jestem zmęczony – nie fizycznie, ale wrażeniami, jakie przyniósł mi dzisiejszy dzień. Jeszcze słyszę, jak tata rozmawia z mamą, lecz nie dają rady i zasypiam w ubraniu na otomanie. Podobno w nocy był alarm, ale ja spałem i nic nie słyszałem.

3 września – niedziela. Jest rano. Piękny dzień. „Uwaga, uwaga, ogłaszam alarm dla miasta Warszawy”. Przerażliwy ryk najbliższej syreny. Podchwytyją go zaraz dalsze fabryki i stojące na torach parowozy. Ryki syren wzmocnione są przez radiodbiorniki w otwartych oknach kamienic. Ruch na ulicy momentalnie zamiera. Miasto cichnie. Nie słychać najmniejszego szmeru. Wszyscy nadśledzają. Na niebie głuchy warkot samolotów. I zaraz wystrzały z działek przeciwlotniczych: „pa, pa, pa, pa!” W górze wykwitają białe obłoczki pękających pocisków. Tata od samego rana w pracy. My z mamą dzisiaj biegniemy do schronu, który znajduje się w 4-piętrowym budynku plebani przy Kawęczyńskiej 49, gdzie mieści się też „Caritas”. Tu podobno stropy nad piętrami są ceglane, na belkach stalowych,

a nad piwnicą – żelbetowy. Przy wejściu dwóch ludzi z opaskami OPL na rękawach. Schodzimy po drewnianych schodach do piwnicy. Początkowo ogarnia nas ciemność, ale w schronie od jakiegoś światła jest widnawo i na ścianie widzę cienie ludzkie. Jest tu już pełno mieszkańców okolicznych kamienic. Jedni stoją, drudzy siedzą pod ścianami. Zniknęliśmy w tym tłoku, lecz trzymamy się z mamą pod rękę i stoimy blisko wyjścia. Ja nic nie widzę z powodu małego wzrostu. Słyszę głos człowieka, który głośno czyta książkę. Z zewnątrz dobiegają detonacje i huki. Świst spadających bomb wwierca się w czaszkę. Pochylamy głowy. Wybuchy coraz bliższe, czujemy, że budynek „chodzi”. Ludzie mdleją, wołają o amoniak, przewracają się. Słysząc płacz dzieci, lament matek. Ponad ten hałas wybija się spokojny głos czytającego – już wiem – Pismo Święte. Obok mnie i mamy stoi drewniana, krótka drabina oparta o ścianę. Wchodzę na szczeble i widzę: zamocowana na przeciwległej ścianie jedyna żarówka, świecąca żółtym światłem, oświetla postać księdza w czarnej sutannie stojącego na podwyższeniu. Jest młody, trzyma w ręku księgę Pisma Świętego i spokojnie czyta. Przed nim oświetlone głowy ludzkie – młode, stare, bujne, pełne włosów i łyse. Wokół księdza jest jasno, dalej wszystko stopniowo nika w mroku.

Dwa bliskie, mocne dwa wybuchy. Ksiądz na moment przerywa czytanie, podnosi wzrok na ludzi, jakby chwilę czeka i... już dalej płynie jego równy głos. Dwaj ludzie z opaskami OPL wpadają na schody, zatrzymują się na nich, a po chwili uchylają drzwi i ostrożnie wyglądają na ulicę. Następnie odwracają się i machają niedbale rękami: nic takiego się nie stało – żyjemy. Odwołanie alarmu. Wracamy z mamą, by dokończyć zostawione na stole śniadanie.

Godzina 11.00. Drugi nalot. Teraz chronimy się do rowu przeciwlotniczego, w którym już raz byliśmy. Wolimy być na otwartej przestrzeni, niż w piwnicy. Pomieszczenie zamknięte schronu działa na nas deprymująco. Tu jest psychicznie lepiej. Ale co to? Dno rowu zapaskudzone jest kupkami i żeby przejść dalej zasypujemy je piaskiem z przedpiersia okopu. Za kolejnym załomem jest lepiej i tu wraz z innymi ludźmi zostajemy. Po odwołaniu alarmu wracamy i słyszymy z otwartych okien wiadomość radiową: „Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom!” W mgnieniu oka ulica jest pełna ludzi. Wszyscy krzyczą, cieszą się, gestykulują, na twarzach radość. Po południu druga wiadomość: „Francja wypowiedziała wojnę Niemcom!” Entuzjazm ludzi jeszcze większy. Nie dzielają go jedynie ci, których domostwa – drewniane budynki przy Łamanej – dopalają się na skutek trafienia bombami zapalającymi.

W przerwie między nalotami mamy przemarsz wojska przez naszą ulicę. Kolumna, piechota i artyleria konna, kieruje się na Kawęczyn. Słońce schowało się za wysoką kamienicę „Ramówki”, która rzucała ciemny cień na ów przemarsz. Staliśmy na chodniku wraz z innymi ludźmi. Żołnierskie mundury były pogniecione, natomiast uprzęż końska była nowiutka. Słysząc było tylko chrzęst kroków żołnierskich, plaskanie bruku kopytami koni i dudnienie po kocich łbach okutych kół armatnich. Żołnierze przyspieszali kroku dążąc na wyznaczoną im przez dowództwo pozycję. Zrobiło nam się wtedy dziwnie niewyraźnie. Mimo ostatnich dobrych wiadomości czuliśmy intuicyjnie, że coś jest nie tak. Ktoś krzyknął: „trzymajcie się chłopaki”, ale w zasadzie wszyscy stali cicho. Wyczuwaliśmy słabość broni naszych żołnierzy w porównaniu z niszczyielskim działaniem wrogiego lotnictwa.

Znowu nalot. Znacznie bardziej intensywny od poprzednich. Gwizd spadających bomb, detonacje i huki powtarzają się bez przerwy. Kamienica nasza „chodzi”. Mama została wtedy w mieszkaniu – nie chciała zejść na dół. Widząc, że jest coraz gorzej, pobiegłem po nią na górę. Mieszkanie kołysało się od podmuchu bomb. Krzyczę żebyśmy schodzili czym prędzej na dół. Mama coś tam zabiera, a ja przelotnie spoglądam w okno. Z lewej strony komina „Ramówki” wynurzają się, wysoko na niebie, zmierzając prosto na nasz dom, eskadry niemieckich bombowców. Lecą od strony torów kolejowych Dworca Wschodniego. Idą trójkami. Szare cielska maszyn ostro rysują się na niebieskim niebie. Prą do przodu. Promienie słońca odbijają się od szyb kabin i rażąco oślepiają oczy. Za chwilę znikną za gzymsem naszej kamienicy. Odskakuję od okna, chwytam mamę za rękę. Ona narzuca na siebie jakąś chustę i zbiegamy na parter. Detonacje potworne. Dom cały dygoce, tynk sypie się na struchlałych ludzi. Chwieją się mury, jak przy trzęsieniu ziemi. Przebiegamy z mamą do bramy. Grupka ludzi przytulona do ściany, worki piasku w kącie i człowiek z opaską OPL za nimi. Trzymam mamę pod rękę i opieramy się o ścianę. Znów przerażający świst zbliżających się do ziemi bomb i za moment potężne detonacje. Kawały tynku spadają z sufitu bramy obok nas. Z podwórka słychać odbijające się o ściany z metalicznym dźwiękiem odłamki pocisków artylerii przeciwlotniczej. Kucamy ze strachu. Kiedy się to wszystko skończy?

Odwołanie alarmu. Na ulicy ludzie krzyczą, że palą się drewniaki przy Folwarcznej. Parę osób biegnie w tym kierunku. Mama i ja wracamy na górę do mieszkania. Jesteśmy wyczerpani nerwowo. Przed nalotem mama nalala kawy do kubków, które stały na stole. Teraz część kawy rozlana jest na ceracie i ścieka na podłogę. Pozostała, chłodną, wypijamy w jednej chwili.

Przychodzi tata z pracy. Twarz szara, zmęczona. Ciężko siada na otomanie. „Jutro rano wyjeżdżacie na wieś – mówi – ja zostaję, muszę zaopiekować się domem. Rozwiozę część rzeczy po Adamskich i Benzach. Oni zostają. Może coś ocaleje”. Wiemy, że to co mówi, to nieuchronna prawda. Zasiada do

stołu i zjada wolno pierwszy w tym dniu posiłek. Potem opowiada co działo się na mieście. Warszawa jest strasznie bombardowana, zwłaszcza mosty na Wiśle. Atakują je z lotu nurkowego niemieckie samoloty Junkers Ju-87. Tata w tym czasie prowadził tramwaj przez most Poniatowskiego. Atak zastał go niemal na środku. Nie zważając na lecące bomby zjechał z mostu i zatrzymał tramwaj na Rondzie Waszyngtona. Pasażerowie uciekli pod drzewa parku Skaryszewskiego, a parę osób zostało z tą pośrodku klombu na rondzie. Tata wczuł się pod krzaki dzikich róż i mimo kłującego towarzystwa przeleżał tam parę godzin, do czasu odwołania alarmu. A bomby leciały jak groch, bo Niemcy koniecznie chcieli trafić w most. Nie udało im się jednak. Część bomb wpadła do rzeki, część wybuchła po obu stronach mostu, parę zahaczyło o rejon Ronda Waszyngtona. Byli zabici i ranni. Trasy komunikacyjne są coraz gorsze, szyny powyrywane, przewody ze słupów zerwane, gruz rozwalonych kamienic zasypuje ulice. Tata mówi teraz spokojnie, ale widać, że mocno to przeżywał.

Wieczorem radio podaje niedobre wiadomości. Front pod Częstochową został przerwany, walki toczą się w rejonie Piotrkowa. Kolej ogłasza dalsze apele dotyczące komunikacji, bowiem połączenia są ciągle przerywane intensywnymi bombardowaniami. Mama pakuje jakieś rzeczy do walizek i robi dwie paczki. W nocy jest alarm. Nie śpimy – czujnie wyglądamy przez okno. W końcu wszystko cichnie.

4 września – poniedziałek. Jest jeszcze szaro, gdy mama z tatą kończą pakowanie bagaży. Ubieram się szybko. Nauczony doświadczeniem ostatnich dni wiem, że ubranie trzeba mieć tuż obok siebie na krześle, by trafić do niego nawet po ciemku. Wstające słońce zapowiada ciepły dzień. Mama przygotowuje naprędce śniadanie. Wyją syreny. Alarm! Zostawiamy wszystko i całą rodziną schodzimy na dół. Chcemy wejść do schronu pod nr 49, ale tam ścisk niemożliwy. Tata rezygnuje i biegniemy do rowu przeciwnolotniczego. Pustka na ulicy. Złowrogie dudnienie w powietrzu. Za chwilę wybuchy. Gdzieś dalej od nas. Po odwołaniu alarmu, wracamy do domu, kończymy śniadanie, zabieramy dwie walizki – jedną większą, drugą mniejszą oraz dwie małe paczki zawiązane sznurkiem. Tata zamyka mieszkanie i idziemy na przystanek. Mamy szczęście, bo akurat nadjeżdża tramwaj nr 25. Wsiadamy przednim pomostem, bo tata spotyka swego kolegę, motorniczego, który prowadzi ten wóz. My siedzimy w środku, a ojciec zostaje na pomoście. W wagonie jest prawie pusto. Oprócz nas jest jeszcze parę osób. Widzę po raz pierwszy konduktorkę sprzedającą bilety, zastępującą przy tej czynności mężczyzn, którzy poszli na front. Wyglądam przez okno. Widzę rozwalone bombami i spalone kamienice. Ściany ich są osmalone dymem, oczodoły okien puste, sterczą stalowe belki, gruz wysypał się na ulicę. Po drewniakach zostały tylko czarne zgliszcza i sterczące trzony kominowe.

Z Alei Zielenieckiej skręcamy na most Poniatowskiego. Oby nie było alarmu. Balustrada jest uszkodzona, ale most ocalał. Przy obu wylotach stoją żołnierze z karabinami. Na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich przesiadamy się do tramwaju jadącego w kierunku Służewca. Na Marszałkowskiej parę kamienic jest już zburzonych, widać na ulicy leje od bomb. Chodnikami idzie sporo ludzi z tobołami na plecach. Są utrudzeni. Ulicą ciągnie kilka furmanek załadowanych dobytkiem – to są już uciekinierzy. Tramwaj zgrzyta po szynach na zakręcie na Placu Unii Lubelskiej. Pasażerów w wagonie przybyło, wszyscy jadą w tym samym kierunku co i my. Zbliżamy się do dworca Warszawa Południe, skąd odjeżdża „ciuchcia” grójecka. Jesteśmy jeszcze w wagonie, a tu alarm! Wyją syreny! Chwytamy bagaże i jak tylko tramwaj się zatrzymał, wyskakujemy i biegniemy w stronę dworca. Widzimy ludzi stojących pod ścianą, pod wystającym gzymsem. Za chwilę i my się tam lokujemy. Całe szczęście, że znaleźliśmy to miejsce, bo pozostających na otwartej przestrzeni policjanci zgarniają do dalszego schronu.

Wewnątrz hali dworcowej tłum ludzi. Głowa przy głowie. Kasy biletowe obleżone, nie ma mowy byśmy kupili bilety. Jak stąd wyjedziemy? Tata widząc to, każe nam zostać pod ścianą, a sam znika nagle za budynkiem dworca. Ojciec ubrany jest w służbowy mundur tramwajarski, a na głowie ma czapkę z syrenką warszawską. Nieobecność jego trwa przez pewien czas. My z mamą niecierpliwie rozglądamy się dookoła. Wtem widzę jak tata kiwa do nas ręką z krzaków rosnących po lewej stronie. Pokazuję go mamie. Bierzemy bagaże – policjantów nie widać – biegiem przesadzamy pustą przestrzeń i zatrzymujemy się w krzakach. Tata bierze od nas walizki i mówi: „chodźcie za mną”. Idziemy wzdłuż siatki ogrodzającej teren kolejowy wśród wysokich krzewów i dochodzimy do rozłożystego drzewa. Tu niespodzianka. Pod drzewem stoi nieznajomy kolejarz. Jest starszy od taty, ma zmęczoną twarz i sumiaste wąsy, zwisające smętnie. „Idziemy” – mówi i odwraca się tyłem, a my gęsiego kroczymy za nim dalej wśród zarośli. Wreszcie dochodzimy do końca ogrodzenia, gdzie stoi budka dróżnicza, a tor wyjazdowy łukiem wpada w prosty odcinek szyn ginących w oddali. Nasz wąsacz podchodzi do budki, chwilę rozmawia, a potem wskazując ręką na nas mówi: „Genek, wpuść ich, to moi”. Genek wychyla się z budki, macha do nas ręką, uchyla małą furtkę: „Prędko – krzyczy – pociąg odchodzi lada chwila. Spieszcie się!” Wpadamy do środka i biegniemy po wąskim peronie. Mały parowozik bucha parą, za nim węglarka i kilka wagonów osobowych. Tak wygląda zestaw komunikacyjny wąskotorowej kolejki grójeckiej. Załoga „ciuchci” – maszynista i palacz – niespokojnie patrzy w niebo.

Alarm odwołany! Biegniemy wzdłuż pociągu. Wagony przepełnione ludźmi, stojącymi nawet na pomostach i stopniach. Krótki gwizd z parowozika, stuk buforów o siebie i pociąg powoli rusza. Mama



jest już na stopniach pomostu, tata wpycha ją w tłum rękami. Wskakuję za nią na stopień. Ojciec biegnie obok i upycha mnie, ale już jakieś ręce nas chwytają i ciągną na pomost. Rzucą jeszcze obie nasze paczki na ludzi stojących na pomoście. Ci chwytają je, pociąg przyspiesza biegu i wyjeżdża z torów dworcowych na prostą. Nie mogę nawet obejrzeć się za tatą, bo jestem unieruchomiony między ludźmi. Ścisk na pomoście niemożliwy, ale już mamy nasze bagaże i powoli lawirujemy do wnętrza wagonu. Widzę tylko, jak bokiem wali ciemny, skotłowany dym z ciągnącego nas parowoziku. Pociąg nabrał szybkości, rwie do przodu, wszyscy podrygują komicznie w takt drgań i kołysań. Maszynista chce uciec jak najszybciej od miasta i palacz nie żałuje węgla pod kocioł. W pędzie mijamy małe stacyjki, jak Pyry, Dąbrówka, Iwiczna. Szybko dojeżdżamy do Piaseczna i tu „ciuchcia” zostaje skierowana na tor boczny, tak że cały skład zatrzymuje się pod dużymi drzewami, które go osłaniają od obserwacji z góry. Budynek stacyjny zostaje z boku i z tyłu.

Ledwie się pociąg zatrzymał, już wyją syreny. Alarm lotniczy! Kto żyw ucieka z pociągu. Przecież samoloty niemieckie z zacięciem polują na stacje kolejowe. Jakaś kobieta z historycznym płaczem porywa małego chłopczyka na ręce i ucieka do schronu, zostawiając cały bagaż na łasce losu. Ludzie mówią, że zburzono jej dom, że przeszła ciężkie chwile. Wagon pustoszeje w mgnieniu oka. Część pasażerów pozostaje w pobliskim rowie, część chroni się pod budynkiem stacyjnym. My z mamą zostajemy, siadamy na pustych ławkach, obok nas leżą nasze bagaże. W wagonie oprócz nas widzę 2 lub 3 osoby, tak jak my nieświadome grożące nam niebezpieczeństwa.

Zbliżające się wrogie dudnienie samolotów przeradza się w wycie. Głośny ryk silników nad naszymi głowami, szum i świst lecących bomb. Jedna, druga, trzecia, wałą obok nas na stację i główne tory. Ogluszający warkot i bliskie wybuchy sprawiają, że kurczymy się na ławce wagonu i nisko pochylamy głowy, wciągając je jednocześnie w ramiona. Słychać terkot karabinów maszynowych. W ułamku sekundy, rzucając okiem przez okno, widzę przemykające cienie samolotów na listowiu drzew. Huk oddala się szybko i cichnie.

Bez żadnego ostrzeżenia pociąg rusza. Spod drzew podnoszą się ludzie i wskakują na stopnie oraz pomosty. Z okien wagonów lecą na ziemię walizki i jakieś toboły, parę osób wyskakuje w biegu. Kto może zdążyć, zabiera się z nami, kto nie – zostaje w Piasecznie. Dobrze, że mimo wszystko zostaliśmy w pociągu. W wagonie jest teraz znacznie luźniej. Siedzę przy oknie. Pociąg nabiera prędkości, sunie pewien czas wzdłuż asfaltowej szosy i nagle skręca w prawo. Za chwilę otaczają nas pola pełne owsa, jęczmienia i koniczyny. Mijamy zbawienne kępy drzew, ginimy w przestrzeni pól i małych lasków. Króciutki postój w Głoskowie i dalej w zwolnionym już tempie skryta między drzewami „ciuchcia” dojeżdża do stacji Złotokłos. Tu parowozik z dużej pompy nabiera wody do tendra. Woda leje się szerokim strumieniem z blaszanego rękawa. Maszynista rozmawia przez okno z niedużym kolejarzem. Za chwilę krótki gwizd i pociąg wolno rusza. Od tego miejsca wlecz się powoli, nie dymi już tak bardzo, bo dym sprowadza lotników. Przestaje nam się tak spieszyć. Jest bardzo luźno, w naszym wagonie znajduje się może 10-12 pasażerów. Przed Lesznowolą, w szczerym polu, pociąg zwalnia i zatrzymuje się. Od parowoziku biegają ludzie i wołają: „Nalot, kryć się!” Opuszczamy wagon i padamy z mamą w jakimś zagłębieniu, ale blisko pociągu. Nie pozwolimy mu odjechać bez nas. Jest cisza. Słychać cykanie świerszczy w trawie i głosy rozmawiających w pobliżu mężczyzn. Daleko nad horyzontem na niebie widać ciągnące, ciemne sylwetki samolotów. Jest ich dużo. Z tej odległości wyglądają jak gromada małych ptaków. Przelatują nie zwracając na nas najmniejszej uwagi. Widocznie mają ważniejsze cele przed sobą.

Gwizd parowozu. Podnosimy się z ziemi i wskakujemy z mamą na stopnie wagonu. Pociąg rusza. Wkrótce cały skład wtacza się na stację Lesznowola. Parę osób opuszcza wagony i niknie między drzewami. My czekamy. Krótki postój się kończy, maszynista wychylony z parowozu ogarnia wzrokiem niebo i odjazd. Pociąg nie nabiera jednak rozpędu, ale toczy się dziwnie wolno. Trwa to przez pewien czas. Wleczemy się powoli, potem jeszcze zwalniamy, młodzi mężczyźni wyskakują i biegną obok wcale się nie wysilając. Wreszcie pociąg zatrzymuje się dosłownie w szczerym polu. Nie ma tu żadnych drzew ani krzaków. Jesteśmy na odkrytej patelni. Co się stało? Okazuje się, że w parowoziku coś się zepsuło. Ładna historia! Pasażerowie wysiadają i obok wagonów rozkładają się z jedzeniem. Tworzą się grupki dyskutujące: czy pojedziemy dalej, czy też nie? Parowozik nasz puszcza parę, widzimy jak maszynista z palaczem pochylają się nad jego kołami. Po chwili dolatuje nas walenie młotkiem. Siedzimy na trawie, a wokół nas błękitne niebo po horyzont. Naprawa trwa ponad godzinę, my zaś prażymy się w pięknym słońcu. Wreszcie maszynista wskakuje do parowozu, krótki gwizd i jedziemy. Niezbyt szybko, ale jedziemy. Docieramy w końcu do Grójca. Tu musimy przesiąść się do „lux-torpedy”, bo nasza „ciuchcia” dalej nie jedzie. Tylko pociąg zatrzymał się przy peronie – a tu alarm! Gwizd, wycie syren. Chwytny bagaże i uciekamy z wagonów. Nie stajemy pod stacją, ale zatrzymujemy się nieco dalej pod murem magazynu. Jesteśmy z mamą zupełnie sami, wokół pustka. Naprzeciw nas na torze pośpieszny wagon motorowy. Przeróżający, nadciągający ryk silników lotniczych. Kulimy się ze strachu. Gdyby człowiek mógł, to by się pod ziemię schował. Bliskie, ogłuszające wybuchy, jeden po drugim. Nisko, zza dachu magazynu wylatuje duży, ciemny, dwumotorowy samolot z czarnymi

krzyżami na skrzydłach. Kieruje się w stronę wysokiego komina wystającego z zielonego lasu. Krótki świst, huk, nad drzewa wyskoczył tuman dymu, jakieś kawałki muru – komin zniknął. Oddalający się warkot motorów – po napastniku ani śladu na niebie.

Pojawia się kolejarz, który krzyczy: „proszę wsiadać, odjeżdżamy!” Wchodzimy do wagonu, z nami kilkanaście osób. Natychmiast ruszamy. „Lux-torpeda” rozpędza się i jedziemy teraz dość szybko. Krótkie postoje na dwóch małych stacyjkach i po kwadransie jesteśmy w Goljanach. Stacja Goljany, to mały, drewniany budynek z niewielką poczekalnią, położony przy pojedynczym torze wąskotorówki na trasie Grójec–Mogielnica. Poza nim i szaletem z serduszkami nie ma nic. Stacyjka otoczona jest kępą drzew i krzaków. Wokoło rozciągają się szczerze pola. Zabieramy bagaże i szybko dołączamy do sznureczka ludzi, który znika między drzewami. Czeka nas teraz 3,5 kilometra marszu nad Dąbrówką. Wychodzimy na otwarte pole, przed nami 6-8 osób idzie gęsiego wąską ścieżką. Prędko oddalamy się od stacyjki. Oglądam się nieco za siebie. Widzę „lux-torpedę” ruszającą całym pędem w dalszą drogę. Małeje mi w oczach, jeszcze ostatni gwizd, jakby na pożegnanie i znika na zakręcie za wzgórzem. Jakiś pan bierze od mamy jedną walizkę i idzie nam się względnie dobrze. Kroczymy szybko, bo cały czas jesteśmy widoczni z daleka, a wiemy już, że Niemcy strzelają do każdego. Zerkamy więc wciąż na niebo, które jest bez jednej chmurki. Ścieżka wije się przez pola koniczyny, saradeli i ścierniska. W oddali widać nie zwiezione półkopki owsa i chłopa orzącego ściernisko. Na bliskim horyzoncie pojawia się alejka drzew, do której uporczywie zmierzamy. Oznacza schronienie i bliskość Dąbrówki. W pewnym momencie idący rozdzielają się i odtąd walizkę dźwigamy już sami. Ale już są znajome łąki i podchodzą do nas wąskim pasmem olszyny i krzaki wyznaczające meandrujące tu koryto rzeczki Mogielanki. Siadamy na skarpie na kilka minut odpoczynku. Woda w rzeczce błyszczy od promieni słonecznych, tuż przy mostku widać piaszczyste dno – tam jest bród. Przechodzimy przez drewniany mostek nad rzeczką, jeszcze trochę pod górkę, mijamy pierwsze chałupy Dąbrówki i wnet skręcamy na lewo, w wąską drogę polną, do gospodarstwa Heli i Tadeusza Małachowskich.

Drewniane wrota rozwarły na oścież. Wchodzimy na podwórko. Psy ujadają. Kierujemy się prosto do chałupy, w drzwiach której pojawia się postać Heli, mojej siostry ciotecznej. Patrzy na nas pod słońce, osłaniając ręką oczy. Za chwilę podbiega i odbiera od mamy bagaż. Jest mama Tadeusza – starsza pani Małachowska. Witamy się krótko i walimy ciężko na krzesła i ławę. Jest i Tadeusz. Teraz dopiero czujemy jak jesteśmy zmęczeni, zakurzeni i brudni. Hela podaje nam po kubku zsiadłego mleka z pajdą wiejskiego chleba, pani starsza każe smażyć jajecznicę. Powoli z chaotycznych pytań i odpowiedzi wylania się obraz pierwszych dni wojny. Mama opowiada o wszystkim, co przeżyliśmy w Warszawie i o naszej podróży. Słuchają nas wszyscy, bo tu na razie nic się nie dzieje. Dzisiaj dopiero szosą do Błędowa zaczęli iść ludzie. Z daleka słychać tylko głucho dudnienie, a nocą widać łuny pożarów od strony Warszawy. Przez sień wychodzę na ganek, ze mną starsza pani M. z małą córeczką Heli – Jadzią. Siadam na betonowych schodkach, które wiodą w dół do ogródka. Zaraz zjawia się bury kot i ocierając się o mnie pręży grzbiet. Z ganku przepiękny widok na ogród i rząd wysokich, masztowych świerków stojących za nim. Dalej kępy olszyn i łąki ciągnące się aż do rzeczki Mogielanki.

Zapada wieczór, nadciąga noc. Hela odstępuje nam łóżko w dużym pokoju. Nie zważamy na domowników i srodze utrudzeni dzisiejszym dniem oraz nerwowymi przeżyciami, walimy się w czystą pościel i natychmiast zasypiamy.

Następnego dnia już od samego ranka na szosie rozpoczyna się ruch. Idą ludzie z tobołami na plecach, w rękach mają małe walizki owinięte sznurkiem, ciągną chłopskie furmanki załadowane dobytkiem, nierzadko z krową uwiązaną do fury. Wszystko to wymęczone, zmordowane. Na razie jest ich niewiele, ale w ciągu dnia coraz więcej. Wychodzimy z Tadeuszem na szosę, by dowiedzieć się, co to oznacza. Zapytani odpowiadają, że są z poznańskiego i łódzkiego. Uciekają przed frontem i następującymi Niemcami. Dokąd? Do swoich dalszych rodzin lub po prostu, aby dalej od Niemca. To, co mają ze sobą, to cały ich dobytek, resztę zostawili, może jest już spalona lub ograbiona. Są to uchodźcy.

Wieczorem do gospodarstwa Heli przychodzi parę osób. Proszą o nocleg. Hela przyjmuje ich i nastawia na kuchni sagan pełen kartofli. Przybysze są zmordowani. Jest jakiś urzędnik z teczką, mama z małym synkiem, para starszych ludzi z młodą niewiastą. Są tak zmęczeni, że po kolacji zjedzonej przy świetle lampy naftowej kładą się spać pokotem w kuchni na rozpostartej słomie. Dwie czy trzy osoby idą spać do stodoły.

Od tej pory każdego dnia przewala się szosą dużo uchodźców i innych wędrowców. Co wieczór Hela ma dużo ludzi do nakarmienia i przenocowania. Mama pomaga więc w przygotowaniu posiłku oraz zajmuje się szyciem i przerabianiem sukienek. W tym czasie ja pomagam paść krowy za mostkiem na łąkach przy rzeczce. Spotykam się tam z moimi znajomymi, Władkiem i Stachem M., którzy też pasą krowy w pobliżu. W cieniu olszyn gramy w „pikuty”. Gra polega na zręcznym rzucaniu nożem w ziemię z każdego palca, łokcia, czoła, kolana itd. W oddali widzimy ludzi, którzy idą szosą, schodzą do rzeczki, moczą sobie nogi w wodzie i po krótkim wypoczynku ruszają dalej.

Pewnego razu do Heli przyszło jakieś małżeństwo: ona młoda niewiasta z dużym brzuchem, w ciąży, on szczupły, obciążony bagażami. Dosłownie ślaniali się na nogach. Byli głodni. Nogi mieli poodparzane. Pani płakała, że dalej już iść nie może. Szli do swej rodziny, która była gdzieś w okolicach Mogielnicy. Hela z mamą zajęły się nimi i pocieszały młodą panią jak mogły. Oboje podjedli sobie, wymoczyli nogi i poszli spać do stodoły. Rano, po śniadaniu, powędrowali dalej przed siebie. Przed odejściem pan podziękował za wszystko i pocałował Helę w rękę.

Opowiadania uciekinierów coraz bardziej napawają grozą. Teraz niebo raz za razem mruczy ponurym warkotem niemieckich bombowców. Od strony Warszawy unosi się słup ciemnego dymu. Mimo że już wrzesień – lato nadal w całej pełni. W nocy wstajemy i wychodzimy na pobliski pagórek, by słuchać huku bomb i odgłosu strzałów armatnich oraz wpatrywać się w czerwoną, pulsującą lunę nad stolicą.

Wreszcie i tu zmaćono ciszę wiejską. Dzień był wtedy suchy, słoneczny, gorący jak wszystkie dni we wrześniu. Po południu wyszedłem z Tadeuszem na szosę, ale o dziwo – szosa zrobiła się pusta. Sznureczek wędrujących ludzi zniknął. Skierowaliśmy się w stronę drewnianego mostku. Minęliśmy gospodarstwo pana Antoniego M. i Tadeusz został nieco w tyle, by zamienić parę słów z jego starszym synem. Ja poszedłem dalej. Szosa ma tu lekki spadek w stronę rzeczki. Minąłem właśnie drewniany, omszały krzyż stojący na skarpie, gdy nagle usłyszałem w górze dudnienie motorów. Wiedziałem już, co to jest. Cofnąłem się w cień drzew stojących na skarpie, zostając jednak na szosie. Gdzieś od Łodzi sunęły wysoko na niebie trzy niemieckie bombowce – Henkle. Ciemne sylwetki maszyn rysowały się doskonale na błękitnym niebie. Wtem od strony przeciwnej pojawił się polski myśliwiec. Leciał znacznie niżej. Pojawił się nagle i niespodziewanie. Prawie nad wsią zaczęła się walka powietrzna, której mimo woli staliśmy się świadkami. Usłyszałem w górze terkotanie karabinów maszynowych. Odruchowo skoczyłem na skarpę, między drzewa i tu zobaczyłem stojącego Tadeusza. Zarówno on, jak i ja zatrzymaliśmy się nieświadomie w pobliżu krzyża, jakby szukając tu ochrony. W górze toczyła się bitwa, a wysoki drewniany krzyż z figurką Pana Jezusa stał sobie spokojnie między drzewami. Tymczasem maszyny zbliżyły się do siebie i zalały potokiem kul. Jazgot wystrzałów słyhać było doskonale. Nasz myśliwiec atakował z dołu i od czoła. Widocznie dobrał się dobrze do skóry niemieckim lotnikom, gdyż ci nagle zaczęli pozbywać się bomb. Od ciemnych sylwetek odłączyło się kilka szarych punkcików i błyszcząc matowo w słońcu poleciało z szumem i gwizdem na dół. Błysk, głośny huk, wywalająca się na polu w górę ziemia, jakieś drzewa, potworny czarny grzyb dymu. Bomby zaczęły rwać pole w odległości około 100 metrów od nas. W międzyczasie samoloty minęły się i zaczęły oddalać od siebie. Z silnika jednego bombowca wyskoczyła smuga czarnego dymu, znacząc jego lot ciemną krechę na niebie. Popatrzyliśmy z Tadeuszem na siebie. Z chałupy wybiegł pan Antoni M. oraz Władek i Stacho. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Samoloty jednak były już maleńkimi punkcikami. Podekscytowani aktualnymi wydarzeniami poszliśmy razem na pole i do sadu, obojętnie na skutki wybuchów. Bomby wyrwały leje na rzysku i w sadzie za szosą. Zobaczyliśmy doły głębokości około 1 metra i średnicy 2-3 metrów. Wokoło leżała wyrzucona wybuchem ziemia, a w sadzie połamane jabłonie. Znaleźliśmy kilka poszarpanych kawałków metalu o ostrych krawędziach – były jeszcze gorące.

Wieczorem rozprzestrzenia się luna ognia niedaleko nas – to płonie Grójec. Uciekinierzy, którzy przyszedli na nocleg powiadają, że przez miasto przewalają się tabory oraz gromady żołnierzy bez oficerów i bez broni. Ponieważ u Heli przybywało prawie każdego dnia na nocleg i pożywienie kilkoro uchodźców, na podwórku stały obce furmanki i konie, zdecydowano w porozumieniu z wujkiem Lachowiczem, że my przeniesiemy się do Ignacowa. Ignaców leżał na uboczu od wszelkich szos i gościńców i do tej pory nie było tam tak dużego ruchu uciekinierów jak u Heli.

Na Dąbrówce byliśmy przeszło tydzień, potem poszliśmy pieszo do Wujka L. Najpierw 1,5 kilometra do Błędowa, później 3,5 kilometra do Ignacowa znanym już szlakiem.

Na Ignacowie cisza. Uchodźców niewielu. Jest parę znajomych osób i kilka matek z dziećmi na całą wieś. U wujka L. jesteście tylko ja z mamą. Ciocia Zosia żali się nad nami i wypytuje o Andrzeja, naszego tatę, który został w Warszawie. My z mamą też martwimy się o niego, ale w tej chwili nic się nie da zrobić. Możemy się tylko modlić, by ocalał. Nocami znad Warszawy widać wielką, czerwoną lunę i smugę czarnego dymu. Ostrzegamy, że Niemcy strzelają do wszystkiego, co rusza się po ziemi, więc na pole wychodzić tylko w razie konieczności. Prace polowe zostały i tak prawie wstrzymane, ale zwierzęta, konie, bydło, świnię muszą być nakarmione i napasione. Codziennie więc bydło wyganiane było na pastwisko za zagajnikiem, gdzie przebywało od rana do południa i od podwieczorku do zmroku. Pilnowane było przez pastucha, młodego chłopaka, Felka. Ciocia szykowała mu śniadanie w glinianych garczkach, kładła do koszyka, a ja zanosilem mu na pole.

Pewnego dnia Felek siedział na środku pola przy miedzy. Na koniczynie pasły się krowy. Podeszedłem do niego. Felek zabrał się do jedzenia, a ja kucnąłem obok niego na miedzy. Wtem niebo zamruczało warkotem nadlatujących samolotów. Spojrzeliśmy obaj. Maleńkie punkciki zamieniły się w kreski, czarne kreski rosły i stopniowo przybierały kształt skrzydeł i kadłubów. Huk narastał, szare

maszyny z czarnym krzyżem na skrzydłach nadlatywały wprost na nas, kierowały się na Warszawę. Felek odłożył jedzenie i obaj położyliśmy się na plecach, pod miedzą, we wgłębieniu, twarzami do góry. Patrzyliśmy z przerażeniem na to, co leciało nad nami. A nad nami przesuwały się eskadry niemieckich bombowców i było ich bardzo dużo. Sunęły trójkami w zwartych kolumnach, groźne w sobie. Nie zbaczaly z wytyczonego kierunku. Liczyliśmy je na dziesiątki, a potem na setki. Wstrzymywaliśmy oddech. A górą wciąż płynęły samoloty ciągnąc za sobą gardłowy, przyduszony warkot silników. Powietrze drżało metalicznie, wyraźnie i głośno. Ciągłe nadlatywały nowe maszyny. Wreszcie powietrzna kawalkada przeleciała, a my zostaliśmy pod miedzą, jak dwa wystraszone zajace, przybici tą potęgą wroga. Wracalem z pustymi garnkami nie mogąc się otrząsnąć z tego niesamowitego widowiska.

Tego samego dnia po południu wyrwał nas z chałupy ogłuszający warkot. Wybiegliśmy wszyscy i zatrzymaliśmy się natychmiast pod rozłożystym kasztanem, obok „dołka”. Gęstwina jego liści zasłaniała nas całkowicie z góry. Byli tam Stacho, Jurek, ciocia Zosia, wujek, moja mama i ja. Nisko, bardzo nisko, powracały znad Warszawy niemieckie samoloty. Sylwetki ich były ogromne, widać było każdy szczegół konstrukcji, karabiny maszynowe, a w kabinach twarze pilotów i strzelców. Leciały na wysokości około 50 metrów. Nam się zdawało, że tuż nad drzewami. Niektóre miały małe dziury w skrzydłach od naszych pocisków, ale jeden Stukas, lecący z boku i jak gdyby wolniej, miał w lewym skrzydle wielką dziurę na wylot, z której zwisały jakieś strzępy. Maszyna chwiała się na boki, ale leciała. Był to chyba powrót tych samolotów, które widzieliśmy przed południem. Wiedzieliśmy już, że Warszawę tego dnia bombardowano bezlitośnie.

Nocą dochodził do nas huk armat i widać było błyski wybuchów. To trwała bitwa pod Mszczonowem. Nie wszyscy spali w te noce. Na zmianę czuwali – wujek, Stacho i Jurek, obchodząc dookoła zagrodę, jak robiła większość mieszkańców wsi. Wszystkich ogarniał niepokój. Psy wyły po nocach. Na kierunku Warszawy łuna ognia powiększała się, drgała, a smuga dymu rozlewała się coraz bardziej po niebie. Co jest z naszym tatą? Czy jeszcze żyje?

Nie wiem skąd dotarła do nas wieść, że Rosjanie wkroczyli na wschodnie tereny Polski. Wiadomość ta bardzo nas przygnębiła. Nie zdawaliśmy sobie jednak wtedy sprawy, jakie będą tego skutki. Mieliśmy zresztą Niemców na głowie.

Zaraz potem drobne gromady naszych żołnierzy przeszły przez wieś. Byli potwornie zmęczeni, dosłownie padali z nóg. Pili łapczywie wodę, chwyтали pajdy chleba, jabłka i szli dalej. Część nie miała w ogóle karabinów, niektórzy porzucali saperki, maski przeciwgazowe, zostawiali na drodze różne części swego wyposażenia. Szli na przelaj przez pola w kierunku wschodnim. Na wszelkie zapytania odpowiadali jednym słowem: klęska!

W końcu nadszedł dzień 27 września. Wiadomość o kapitulacji Warszawy dotarła do nas lotem błyskawicy, podawana z ust do ust. Nareszcie zapanuje spokój, koniec bombardowań i niszczenia ludności stolicy oraz ich domostw. Ale zaraz nasunęły się pytania: kiedy będzie wolno wrócić do miasta? Czy tata żyje? Jak to będzie, kiedy tam są już Niemcy? Na te pytania niebawem otrzymaliśmy odpowiedź.

30 września wieczorem siedzimy wszyscy w kuchni, gdy psy na podwórku zaczynają gwałtownie szczekać. Ktoś wychodzi na dwór, by zobaczyć, co się dzieje. Po chwili drzwi do kuchni otwierają się, staje w nich mój tata, a za nim widać uśmiechniętą twarz wujka L. Mama pierwsza rzuciła się z krzykiem na powitanie, później wszyscy ruszyli na niego, aż wujek L. musiał uspokajać towarzystwo. A tata stał na środku kuchni jak zjawa, wymizerowany, chudy, niezmiernie zmordowany. Postarzał się jakoś na twarzy i przybyło mu siwych włosów. Zaraz nim się zajęto. Kiedy mył się i zmieniał koszule, ciocia Zosia upitrasila smaczną jajecnicę na boczku i przygotowała mleko z chlebem i masłem. Tata jadł łapczywie, prosił o dokładkę, a myśmy patrzyli, jak mu drżą ręce, kiedy podnosił kromkę chleba do ust. Po zaspokojeniu głodu zaczął opowiadać.

Po naszym odjeździe rozwoził domowe rzeczy po rodzinie w Warszawie. Serwis stołowy zostawił u Benzów, jakieś srebra u Adamskich, coś tam jeszcze – gdzieś dalej. Chodziło o to, że jak bomba trafi w nasz dom, to chociaż w innym miejscu część dobytku ocaleje. Tymczasem nasz dom ocalał, a to co było u Benzów – przypało, ponieważ ich kamienica na Koszykowej została spalona. Naloty niemieckie były straszne. Została trafiona bomba i spaliła się kamienica na Targowej, w której mieszkała ciocia Bogusia i wujek Piotrek. Kolejka górską nad Wisłą przy moście Kierbedzia, w parku Praskim, została zniszczona. W parku Paderewskiego stanęły baterie artylerii. 10 września komunikacja tramwajowa została przerwana na skutek zniszczenia torów, sieci, wagonów i zajezdni. Tego dnia napłynęła do miasta ogromna rzesza uchodźców. Nasiliły się ataki lotnictwa na miasto i tata szukał już schronienia na własną rękę. Na Pradze lotnicy niemieccy ostrzeliwali z broni pokładowej ludność cywilną. Praga płonęła noc w noc. Ojciec ciągle zmieniał miejsce – to był w naszej kamienicy, to w rowie przeciwlotniczym, to w zajezdni. Któregoś dnia wojsko nasze zaczęło organizować obronę Pragi w oparciu o wał kolejowy Warszawa–Tuszczy. Jakaś drużyna piechoty chciała ustawić stanowisko karabinu maszynowego w naszym mieszkaniu. Całe szczęście, że był tata. Zdołał przekonać kaprała, pokazując

mu widok z naszego okna. Naprzeciw jest kamienica „Ramówki”, więc nie będą mogli mieć dobrego obstrzału. W tej sytuacji żołnierze przenieśli się na inne stanowisko na 3 piętrze.

Zaczął brakować żywności. Z narażeniem życia trzeba było zdobywać chleb czy kartofle. 15 września rozpoczął się również ostrzał artyleryjski. Tata postanowił więc, że dalsze swoje losy połączy z Benzami i Adamskimi. W swoim gronie może lepiej będzie znieść tę mordęgę. 20-ego oddał klucze pani Jakubiak, naszej sąsiadce, prosząc ją o opiekę nad naszym mieszkaniem, a sam pomaszerował na lewy brzeg Wisły, do Benzów czy Adamskich. Razem z nimi przeszedł przez piekło oblężenia Warszawy. Widział jak zestrzelony bombowiec niemiecki runął na ziemię w pobliżu Teatru Wielkiego. Coraz więcej dużych kamienic padało pastwą pożarów pozbawiając ich mieszkańców dachu nad głową. Dziesiątki osób ze szczytkami uratowanego mienia wędrowało do krownych, znajomych lub wręcz do obcych w poszukiwaniu schronienia. Mimo ognia artylerii długie ogonki ludzi stały godzinami czekając na sprzedaż chleba. W końcu ludzie zaczęli wyłapywać koty i psy żeby zdobyć trochę mięsa. Z padłych koni, które leżały na ulicy, wycinali nożami krwawe kawałki, bo głód był coraz większy. Nie było już światła, gazu, wody. Wszędzie na skwerach i ulicach powstawały cmentarze, grzebiąc tysiące trupów ledwie przysypanych ziemią.

25 września bombardowanie przez lotnictwo i ostrzeliwanie przez artylerię trwało od 7-ej rano bez przerwy do godz. 17-ej. Nad Warszawą rozpętało się piekło. O godz. 12-ej 27 września – kapitulacja stolicy. Niemal natychmiast ludzie ruszają, przeważnie kobiety i dzieci, z wiadrami i kubelkami po wodę do Wisły i ocalałych studzienek – abisynek.

Wczesnym rankiem 30 września tata wyruszył do nas na wieś. W większości szedł na piechotę, trochę podwoziła go napotkana furmanka, później od Grójca podjechał „ciuchcią”. Ojciec mówi, że wąskotorówka ma być wkrótce na chodzie, że trzeba wracać do domu.

Po tej opowieści w kuchni zapadła cisza. Zdrętwieliśmy pod naporem przerażających wiadomości, o których nie mieliśmy pojęcia. Wreszcie tata podnosi się ciężko z krzesła i mówi: „Słuchajcie, ja padam z nóg, chciałbym się przespać”. Mama już ściele łóżko. Widzę jak tata dosłownie wali się w pościel i momentalnie zasypia. Budzi się następnego dnia po południu.

Następuje przygotowanie do powrotu do Warszawy. Dzięki wujostwu mama szykuje małe paczki i walizkę z jedzeniem. Bierze nawet chleb. Pakunki muszą być małe, bo nie wiadomo jak długo trzeba będzie je nieść. Stacho podwozi rodziców na Dąbrówkę, a dalej Hela załatwia transport do Golian. Ja na razie zostaję w Ignacowie.

Październik. Jesień w całej pełni. Ranki i wieczory stają się chłodne. Pasę na zmianę krowy i świnki. Rozpalamy ogniska i pieczemy sobie kartofle. Widać jak drogami wracają w swoje strony uchodźcy. Upływa parę dni. Czekam na powrót taty. Wreszcie wraca. Okazuje się, że mieszkanie nasze zostało całkowicie ogołocone z resztek żywności, jakie tam zostawił. No cóż – panował wielki głód, a klucze mieli sąsiedzi. Ważne, że mieszkanie ocalało. Do miasta już dowożona jest żywność. Chłopskie furmanki ciągną na Warszawę i zaopatrują mieszkańców w wiktuały sprzedawane na ulicach. Można sprzedać każdą ilość żywności – wszystko zostanie pochłonięte przez miasto.

W związku z taką sytuacją wujek L. decyduje, że do Warszawy pojedzie furmanka z żywnością na sprzedaż powożona przez Stacha oraz ja i tata. Zaraz też załadowano ją paczkami pełnymi jabłek, paroma workami kartofli, a pod tym ukryto dobrze zapakowane mięso wieprzowe, smalec i masło. Tata ze Stachem mają pilnować towaru, a ja – mały chłopak – będę siedział na wierzchu dla zamaskowania tego wszystkiego. Chodzi o to, by po drodze Niemcy lub inni potrzebujący nie pozbawili nas towaru.

Chyba 12 października, jeszcze przed świtem, bo jest ciemno, Stacho zaprzęga dwie kobyły do wozu, rzuca worek obroku do mnie, ja kładę go na wierzch skrzynek, siadam na nim i opatulam się derką końską. To jest moje stanowisko. Żegnamy się krótko i wyruszamy w drogę. Ciocia Zosia robi za nami ręką znak krzyża.

Gniade ciągną dobrze., Stacho i tata idą na razie pieszo, bo droga piaszczysta. Dochodzimy do Błędowa. Wnet nawierzchnia robi się twarda, wszyscy wskakują na wóz i jedziemy. Do Bełska dojeżdżamy bez problemu, ale w Grójcu przy rynku widzimy wokół spalone domy, powywracane i rozbite furmanki, popalone samochody, a także pierwszych żołnierzy niemieckich, ich Wehrmacht. Kierujemy się na szosę warszawską. W tą samą stronę jadą inne fury i pojazdy konne. Za Tarczynem widzimy zbliżającą się od strony Warszawy, zmotoryzowaną kolumnę niemiecką. Jadą całą szerokością szosy, więc przezornie wszyscy zjeżdżają na pobocze. Zatrzymujemy się, a Stacho trzyma konie za uzdy, by się nie spłoszyły, bo hałas jest okrutny. Z głośnym warkotem motorów i chrzęstem gąsienic, w kłębach spalinowego dymu, przejeżdżają obok nas czołgi, samochody pancerne, jakieś inne pojazdy, przemyka na motocyklach żandarmeria. Ci na motorach mają baniaste hełmy, ceratowe płaszcze i karabin maszynowy na przyczepie. Wyglądają jak ludzie z innej planety. Czekamy. Po pewnym czasie każą nam jechać, bo robi się korek na poboczu. Ruszamy za innymi furmankami do przodu. Ja siedzę na paczkach z jabłkami, Stacho powozi z przodu, tata jest z tyłu.

Kolumna pancerna przejechała, teraz za nią nadjeżdżają taborzy – mocne wozy wojskowe ciągnięte przez dwa potężne konie, załadowane jakimś sprzętem. Na każdym z nich siedzi kilku żołnierzy. Na

razie mijamy się z nimi, lecz w pewnej chwili kolumna zatrzymuje się. My jedziemy dalej wolno. Młodzi żołnierze patrzą na nas. Ja staram się ich nie widzieć. Wtem z jednego pojazdu zeskakuje Niemiec i woła w naszą stronę: „halt!”. Następnie podchodzi i mówi: „apfel, apfel” i jednocześnie wyjętym bagnetem usiłuje oderwać jedną cienką deseczkę z paczki z jabłkami. Widocznie dojrzał, że wieziemy jabłka i postanowił się poczęstować. Tata widząc, jak mocuje się ze skrzynką, podchodzi do niego i mówi: „Ja, gut apfel, aber langsam, daj mi swój giwer” i bierze od niego, nie pytając się, bagnet, po czym zręcznie odrywa deseczkę. Oddaje mu bagnet. Niemiec bierze do rąk kilka jabłek, ale tata wskazuje na jego furazerkę, że do czapki. Niemiec przekłada do niej jabłka. Ojciec dokłada mu jeszcze 4-5 i mówi: „für kameraden”. Tamten uśmiecha się, mówi „danke”, wraca do kolumny i wskazuje na swój wóz. Tata mówi do Stacha, że gdybyśmy im nie dali jabłek, to tam ich tyłu siedziało, że obskoczyliby nas i rozdrapali cały wóz w gnieniu oka.

W końcu tabory znikają, szosa jest wolna, wjeżdżamy na nią. Jest dobra kostka, konie truchtają, podkowy trzaskają o bruk. Zbliżamy się do przedmieścia Warszawy. Wkrótce zapada zmrok. Dojeżdżamy do Okęcia. Na ulicy pełno lejów po bombach i pociskach. Na szynach stoją dwa poharatane wozy tramwajowe, dalej trup koński, wywrócona ciężarówka. Ostrożnie przejeżdżamy pod zwisającymi, zerwanymi przewodami elektrycznymi, depczemy po leżących na ziemi przewodach telefonicznych, mijamy tramwaj leżący w poprzek ulicy.

Jesteśmy już na Ochocie. Ciągłe jedziemy zygzakiem, raz po jednej stronie ulicy, raz po drugiej. Mijamy zasieki z drutu kolczastego, okopy, stanowiska gdzie stały działa, jakieś drewniane skrzynki, blaszane beczki. Drzewa są osmalone i połamane, z jednej i drugiej strony zgłiszcza popalonych drewniaków, kupy gruzu, murowane budynki mają w ścianach wywalone dziury po pociskach. Widocznie była tu ciężka walka.

Furmanki, które jechały z nami stopniowo znikają w ciemnościach. Jeszcze z trzema przekraczamy most Poniatowskiego, a już w Alei Zielenieckiej jesteśmy tylko my i jakaś jedna fura.

Tata mówi żebyśmy teraz bardziej uważali, bo złodziei nie brakuje. Siedzę na wierzchu skrzynek i bacznie rozglądam się wokoło. Jest już ciemno. Skręcamy z Targowej w Ząbkowską. Ciasna ulica, kamienice wiszą nad nami, niektóre wypalone, gruz na jezdni. Na Kawęczyńskiej jesteśmy już sami. Od razu rzuca się w oczy, że od ul. Folwarcznej, po stronie nieparzystej, zieje pustka, nie ma domów, sterczą jakieś ruiny. Dopiero od numeru 37 pojawiają się domy. Dojeżdżamy do naszej kamienicy. Tata wywołuje dozorczynię, która otwiera bramę. Wjeżdżamy furą na podwórko. Ojciec ze Stachem zostają przy wozie, wyprzegają konie, poją je i obrokują. Ja biegnę na 2 piętro. Na klatce jest ciemno, na wycucie stawiam stopy, walę do drzwi. Otwierają się i staje w nich mama. W mieszkaniu jest półmrok, pali się tylko świeczka stojąca na stole. Rozglądam się wokoło – wydaje mi się, że nic się nie zmieniło.

Mama rozwija paczkę, którą przyniosłem ze sobą i wyjmuję na stół żywność. Za chwilę przychodzi tata, wita ją i mówi, że trzeba będzie na dole pilnować furmanki z towarem na zmianę ze Stachem. Szybko zjada i schodzi na dół. Z kolei pojawia się Stacho. Mama szykuje mu posiłek z przywiezionych wiktuałów i stawia przed nim szklankę z gorącą herbatą. Okazuje się, że do tej pory nie ma w budynkach światła i wody. Wodę przynosi się z ulicy, gdzie koło numeru 41 jest nieuszkodzona studnia – abisynka, bo wodociągi jeszcze nie pracują. Tak samo jest uszkodzona elektrownia i nie wiadomo, kiedy włączą prąd.

Najpierw będzie czuwać tata, później do 1-jej w nocy Stacho. Dalej będą pilnować razem. Mnie zwalniają z tego obowiązku. Potem mają zaprzęgać konie i pojadą z towarem na ulicę Brzeską, tuż przy Bazarze Różyckiego, by wszystko sprzedać. Jest to miejsce, gdzie zatrzymują się wszystkie chłopskie furmanki przywożące żywność do stolicy.

Jestem z powrotem szczęśliwie w domu rodzinnym, ale już nie w Polsce. Co teraz z nami będzie?

## Okupacja – ostatni kwartał roku 1939

Ciężko wracać myślami do tamtego czasu, ponieważ był to okres ponury i ciemny. Wstaje szary poranek 14 października 1939 roku. Tata pojechał ze Stachem na ul. Brzeską, aby pomóc mu sprzedać to wszystko co przywiózł. Mama rozpala ogień pod kuchnią, by zagotować trochę wody na herbatę. Wstaję, ubieram się i lecę na dół do ubikacji, która znajduje się na podwórku. Wracam i myję się w blaszanej misce z odrobiną zimnej wody. Wypijam kubek herbaty i zjadam dwie pajdki chleba, posmarowane przywiezionym ze wsi masłem.

Mama mówi, że całą szkołę przy ul. Otwockiej wojsko niemieckie zajęło na koszary. Na boisku mają ustawione swoje wozy i samochody. Do tej pory nie wiadomo, gdzie będę się uczył. Wychodzę więc z domu, aby na własne oczy zobaczyć to nieznanne. Idę w stronę Bazyliki. Przecinam wolno żuźlowy plac przed kościołem. W dali na prawo, na polu ogrodnika, widzę gromadkę ludzi. Niektórzy z nich kopią łopatami w ziemi, inni układają na powierzchni ziemi podłużne tobołki. Tam odbywa się ekshumacja poległych. Bazylika stoi cała, mur tylko jest mocno podziobany odłamkami i nosi na sobie ślady od kul.

Wchodzę do wnętrza kościoła i natychmiast ogarnia mnie chłód. Jest tu parę osób, ołtarz jest nieuszkodzony. Patrząc na sufit widzę kilka dziur od bomb, które wpadły do środka. Podłoga drewniana jest już wyremontowana i uprzątnięta. Nie ma tylko wszystkich ławek. Mówię krótki pacierz i kamiennymi schodami schodzę na plac. Idę wzdłuż ogródka jordanowskiego i patrzę na naszą szkołę. Z okien gmachu wychylają się głowy żołnierzy niemieckich w mundurach feldgrau. Po kilku w każdym oknie. Twarze są młode, rumiane, butne. W perspektywie ulicy Siedleckiej przy bramie szkoły widać wartownika z karabinem, który wolno przechadza się tam i z powrotem. Okupant zajął dla swoich celów wszelkie gmachy publiczne.

Wracam na Kawęczyńską. Widzę teraz wyraźnie, że również tynki naszych kamienic są upstrzone śladami od kul i w wielu miejscach odpadł tynk. W ścianie szczytowej kamienicy nr 34, po stronie „Ramówki”, zieje wielka dziura od pocisku artyleryjskiego. Za sklepem „Prażanka” nie ma jednopiętrowych, drewnianych domów. W jednym z nich mieszkał mój kolega Genek, którego tata miał dorożkę. Zostały po nich tylko ceglane fundamenty i czarne pogorzeliśko ze sterzącymi z niego osmalonymi kominami. Trzypiętrowa kamienica pani Śmigielskiej wypalona od dołu do góry. Nad pustymi czeluściami okien widnieją ciemne smugi od dymu, jaki powstał w trakcie pożaru trawiącego od środka wnętrze budynku. Nad jednym z okien, na najwyższym piętrze, widzę zawieszoną na sterzącym z muru przecie anteny spalonego kota. Zaczepiony ogonem zwisa łbem na dół. Kiedy szalał ogień biedak chciał się ratować, wyskoczył więc, ale niefortunnie nadział się na pręt. Spalił się żywcem.

Drewniaków przy ul. Łamanej nie ma. Pozostały same wypalone mury jednopiętrowych domków, w których mieszkali Żydzi. Nie ma już Łamanej, cała uliczka zasypana jest gruzem na wysokość człowieka. Wypalone są również kamieniczki przy ul. Łochowskiej i Folwarcznej. Można swobodnie przejść z Kawęczyńskiej na Siedlecką poprzez zwały gruzów i ruin koło wypalanej kamienicy pani Śmigielskiej. Już widać tam jakby ścieżkę, którą ludzie zaczęli sobie wydeptywać dla skrócenia drogi.

Pod „Prażanką” spotykam paru kolegów. Jest Józio, Ali, Mietek, Zenek. Wszyscy jakby trochę spowaźniali. W rozmowie najważniejszą rzeczą jest zdobyć zapalki, świece, kawałek mydła, naftę, a przede wszystkim kawałek chleba. Od nich dowiaduję się, że po 20 października ma ruszyć szkoła powszechna przy ul. Kawęczyńskiej 2. Tam mają zgłaszać się również uczniowie innych szkół. Idę więc, by sprawdzić tę wiadomość. Na drzwiach wejściowych wisi przypięta pineskami kartka, a na niej napis: „Uczniowie szkół nr 192 i 126 – zbiórka na terenie szkoły 22 bm”. Pędzę z tą wiadomością do domu.

Wieczorem przychodzi Wacek. Opowiada nam, jak tu było w czasie naszej nieobecności. Brakowało jedzenia, wybierali je więc skąd się dało. Po kartofle chodzili pod linie frontu, która była gdzieś na Zaciszu. Człógali się w redlankach, by wykopać choć parę bulw, a Niemcy widząc to strzelali do nich bezlitośnie. Opowiada nam, jak się tu na Szmulkach wszystko paliło. Mama za tę relację poczęstowała go kromką chleba z masłem.

Przeglądam swoje rzeczy. Nie ma paru drobiazgów i dużej, szczegółowej mapy Pragi, która przyklejona była na płótnie. Ocalał za to kieszonkowy atlas geograficzny Romera. Bardzo go lubiłem, bo za jego pomocą poznałem dalekie lądy i morza. Nadal nie ma światła. Palimy lampę naftową lub świece i wcześniej idziemy spać. Pojawia się woda w kranie. Tramwaje nie kursują. Trwa rozbiórka barykad, zasypywanie dołów po wybuchach bomb, naprawa zrujnowanych torowisk tramwajowych. Tata chodzi do pracy i obecnie uprząta gruz z szyn tramwajowych, by można było uruchomić komunikację miejską.

Pewnego dnia mama spotkała się z moją wychowawczynią panią Bańkowską. Jej syn nie wrócił jeszcze z wojny. Ona z mężem głoduje. Mieszkają w swoim mieszkaniu, w budynku przeznaczonym dla nauczycieli, ale część jego zajęli Niemcy i wchodzi się do nich przez tego wartownika, którego widziałem na ul. Siedleckiej. Prosi mamę o trochę soli do ziemniaków. Mama usypuje nieco do białego gałganka i zawiązuje na nim supeł. Mam to doręczyć mojej wychowawczyni. Idę więc na Siedlecką i wchodzę do dużej bramy, w której stoi wartownik. Mijam go swobodnie. On patrzy za mną. Czuję jego wzrok na plecach. Nie zatrzymuje mnie, więc skręcam na klatkę schodową, która prowadzi do mieszkań nauczycieli. Wdrapuję się na 3 piętro i pukam do drzwi. Otwiera mi mąż mojej wychowawczyni – drobny, szczupły mężczyzna. Mówię o co chodzi i słyszę jej głos: „wejść do środka”. Moja wychowawczyni siedzi na małym stołeczku i obiera ziemniaki, a następnie wrzuca do stojącego na podłodze garnka. Twarz ma zmęczoną, szarą, jakby postarzała się przez ten czas o parę lat, ale jest to ta sama twarz. Stoję zdumiony, bo w takiej sytuacji mojej wychowawczyni jeszcze nie widziałem. Ale ona to widzi, patrzy na mnie i uśmiecha się: „nie dziw się – mówi – to wojna. Cieszę się, że tobie i twoim rodzicom nic się nie stało. Teraz, od 22 bm. będziemy uczyć się w szkole przy ul. Kawęczyńskiej 2, bo tu jak widzisz siedzą Niemcy. Daj no tę sól. Aha, przekaż tę wiadomość innym kolegom i koleżankom”.

No i tak zaczęła działać ta „poczta pantoflowa” – przekazywanie wiadomości między ludźmi z ust do ust, z całkowitym pominięciem aparatu okupanta.

W październiku Niemcy ustanowili godzinę policyjną na 7.00 wieczór. Zamknięto szkoły średnie i wyższe uczelnie. Zabroniono słuchać radia.

Z walcowego, blaszanego słupa, w którym znajduje się transformator, a który stoi po naszej stronie ulicy za „Prażanką”, już straszy ogłoszenie pisane w dwóch językach – po niemiecku i po polsku – „Kto do 5 listopada nie odda radioodbiornika – będzie rozstrzelany!” Szkoda nam strasznie naszego nowiutkiego „Telefunkena”. Tata już go raz wyniósł, żeby oddać, ale wrócił się z nim do domu. Powiada, że część ludzi oddaje, ale są i tacy, co nie oddają. Może zakopimy ten nasz aparat w piwnicy? Ba – przecież cała kamienica wie, że u nas jest doskonale radio. Wiedzą o tym również ludzie spoza naszego budynku. A jak ktoś doniesie? Za nieoddanie aparatu grozi rozstrzelanie lub w najlepszym razie obóz koncentracyjny. Z ciężkim sercem tata bierze więc pod pachę radio i zanosí do punktu przyjęć. Tam zapisują kto oddaje. Wraca jakiś przygnębiony i przybity. Mówi, że tam są całe stopy oddanych aparatów radiowych. Ludzie stoją w kolejce, żeby się ich pozbyć. Nie ma co na ten temat więcej mówić.

Przyszedł do nas pan Banaszek (państwo Banaszekowie byli dobrymi znajomymi moich rodziców). Usiadł na krześle i płakał. Dom, w którym mieszkał z żoną zdruzgotała bomba lotnicza. Zdażyli oboje wyskoczyć z walącego się budynku tak jak stali, w bieliźnie i koszuli. Nie mają dosłownie nic. On ma na sobie mundur tramwajarski – dali mu go w zajezdni na Kawęczyńskiej. Śpią u przyjaciół na gołej podłodze. Może moglibyśmy mu dać chociaż jakąś podkoszulkę. Widzę człowieka zupełnie innego niż przedtem, a przecież to on rozstawiał po naszym mieszkaniu te słodkie buteleczki, ja ich szukałem i obaj bawiliśmy się doskonale. Mama bez słowa podnosi się z krzesła, podchodzi do łóżka, bierze w ręce największy jasiek i podaje mu go bez słowa. Pan Banaszek chowa płaczącą twarz w poduszkę. Trwa tak chwilę, wreszcie opanowuje się i dziękuje mamie. Wychodzi od nas zgarbiony, jakiś zgaszony. Przez dłuższą chwilę panuje w naszym mieszkaniu cisza. Jesteśmy wstrząśnięci nieszczęściem, jakie dotknęło tych ludzi.

Paczka moich kolegów i znajomków zmienia się powoli. Jedni odchodzą, inni przychodzą, w zależności od warunków życiowych. Każdy jest pochłonięty swoimi sprawami, z których zdobycie żywności jest najważniejsze. Rozładowują właśnie pociąg towarowy na bocznicę Dworca Wschodniego. Kartofle są przeznaczone dla instytucji niemieckich i wojska. Kawęczyńską ciągną załadowane ziemniakami ciężarówki i konne platformy. Jest to dla nas niepowtarzalna okazja. Wyskakujemy z bramy po dwóch, uzbrojeni w długi drut zagięty na końcu w formie haka i podbiegamy do jadących pojazdów z dwóch stron. Tym drutem staramy się strącić na jezdnię kilka bulw. Jeśli siedzący na górze ziemniaków konwojent jest żołnierzem Wehrmachtu i grozi karabinem, wtedy odskakujemy w najbliższą bramę, strącając od niechcenia drutem trochę kartofli. Jak przejedzie zbieramy je co do jednego. Jeśli jest to cywil, to wali on ziemniakami w podbiegających. Wtedy jest dobrze, niech wali, niech rzuca ich najwięcej na ziemię. Nic to, że czasem oberwiemy. W chwilę po przejeździe nie ma ani jednego na ulicy. Wszystkie zostają skrętnie pozbierane do płóciennych toreb, które każdy z nas ma na sobie.

Jest już zimno, pada śnieg. Pod koniec października zaczynam uczęszczać do szkoły przy ul. Kawęczyńskiej 2. Jestem uczniem klasy piątej. Wepchnięto tu jeszcze uczniów innych szkół, więc ciasnota jest okropna. W szatniach nie ma już miejsca dla nas. Wszystko nosimy ze sobą. Chodzę na godz. 11.00 i 13.00, bo rano uczą się inni. Widzę wielu nieznajomych mi nauczycieli. Ale jest i nasza wychowawczyni pani Bańkowska. Uczymy się z książek przedwojennych, bo na razie nic innego nie ma. Nauczanie historii i geografii jest zabronione.

Tata chodzi codziennie do pracy do zajezdni tramwajowej „Praga”. Dach głównej hali postojowej uległ zniszczeniu, wiele wozów spłonęło, sieć napowietrzna została zerwana, torowiska uszkodzone. Ojciec pomaga więc w tych odgruzowaniach i remontach, by można było puścić pierwsze tramwaje na miasto. Jest przecież motorniczym. Wreszcie gdzieś w listopadzie uruchomione zostają pierwsze linie na Pradze. Odtąd tata jest już na swoim stanowisku. Ale co to jest za jazda! Niemcy ograniczyli pobór prądu i wozy suną wolno, tylko na 4-kę. W lewobrzeżnej Warszawie ruszyły po Nowym Roku.

Na głowie mamy spoczywa cały dom. Zabiega ona usilnie o jedzenie dla nas. Wciąż martwi się co ugotować, z czego zrobić obiad, co zaoszczędzić, gdzie najtaniej można coś kupić. Niemcy wprowadzają kartki na żywność. A jest tego bardzo mało. Całe szczęście, że jest jeszcze trochę zapasów przywiezionych ze wsi. Te jednak już się kończą. Mama dokupuje co nieco od jakiejś znajomej baby.

Wieczory wydłużają się, nadchodzi zima. Nadal nie ma światła elektrycznego. Lampę naftową palimy krótko, by zaoszczędzić jak najwięcej nafty. Przychodzą do nas kolejno: wujek Władek, ciocia Jasia, Bogusia i Regina. Opowiadaniom nie ma końca. Wujek Ludwik wrócił już z wojska do domu, brak jest za to wiadomości o wujku Piotрку. Wujek Władek pracuje tam gdzie przed wojną, w stolarni na ul. Korsaka. Najgorzej los obszedł się z cocią Bogusią. Kamienica przy ul. Targowej, gdzie mieszkała z mężem, została trafiona bombą lotniczą i całkowicie zburzona. Teraz mieszka u teściowej na ul. Jagiellońskiej. Mama jak może pomaga swojej siostrze, daje jej jakieś ubrania, ręczniki, obleczenia na pościel. Ciocia prosi, żebyśmy z wujkiem Władkiem poszli i zobaczyli czy nie uda się coś jeszcze uratować z tej Targowej. Idziemy tam jeszcze tego samego dnia. Z daleka omijamy grupki żołnierzy niemieckich. Nie przyzwyczailiśmy się jeszcze do widoku mężczyzn w obcych mundurach, mówiących krzykliwie, arogancko i spoglądających na nas z pogardą.



Oficyna stała zaraz za ul. Marcinkowskiego. W tej chwili jest to sterta gruzu i popiołu, sięgająca 2-go piętra, przysypana śniegiem. Widać tu i ówdzie doły wygrzebane w tym rumowisku. Widocznie mieszkańcy szukali resztek swoich rzeczy. Patrząc do góry. Na szczytowej ścianie została mozaika różnych kolorów poszczególnych mieszkań. Na 3-cim piętrze, gdzie była kuchnia cioci Bogusi, wysoko na ścianie widzę wiszącą blaszaną solniczkę. Wszystko się zawaliło, stropy, ściany, a ta solniczka jakimś cudem została. Jak ją zdjąć? Rzucamy, wujek i ja, kawałkami cegły, by ją strącić. Mimo, że celujemy uważnie, nie udaje się nam w nią trafić. Jest za wysoko. Próbujemy parę razy i w końcu dajemy za wygraną. To wszystko. Niczego więcej w tej sprawie nie można zrobić.

Od 26 października 1939 roku jesteśmy już Generalną Gubernią. Językiem urzędowym ma być niemiecki. Pozostały obszar Polski został wcielony do Rzeszy, a od Bugu do Sowietów. Takie miasta jak Płońsk, Łódź i Modlin znalazły się w Rzeszy.

Pewnego mroźnego dnia idę w kierunku Bazyliki. Po prawej stronie, na polu pokrytym śniegiem, znów widzę grupę ludzi. Zbliżam się do nich. Kilku mężczyzn kilofami i łopatami kopie zmarzniętą ziemię w miejscu, gdzie były rowy przeciwlotnicze. Podchodzę blisko. Wtem jeden z nich przerywa pracę, odrzuca łopatę, klęka i delikatnie odgarnia ziemię rękami. Woła ludzi. Już jest przy nim kilkoro, jestem i ja. Widzę jak spod ziemi wystaje kawałek zielonego, żołnierskiego sukna i... ludzka dłoń. Rowy, które kopaliśmy w końcu sierpnia stały się bowiem w czasie wojny grobami żołnierskimi. Kopiający ostrożnie usuwają teraz ziemię wokół pogrzebanego, a z jego szynela grudki ziemi zdejmują rękami. W końcu wyjmują z dołu zwłoki owinięte w żołnierski płaszcz i składają na białym płótnie. Jeden z mężczyzn zrywa z szyi zmarłego metalową blaszkę oraz obszukuje kieszenie jego munduru. Wszystkie przedmioty wręcza starszej pani z opaską czerwonego krzyża na ramieniu, która skrupulatnie zapisuje coś w zeszytce. W końcu zawijają zwłoki w płótno, na którym starsza pani stawia jakieś znaki. Robi mi się zimno, nie patrzę już dłużej. Byłem oto świadkiem ekshumacji żołnierzy polskich poległych we wrześniu na Pradze.

Nastaje potworna zima roku 1939/40. Spadły duże śniegi. Mróz poniżej  $-30$  stopni. Kawęczyńska zostaje całkowicie zasypana. Śniegu jest po pas. Na chodniku chodzimy ścieżkami wydeptanymi przez ludzi. Od jezdni oddziela nas wał wysokości człowieka.

W domu przenikliwie zimno. Nie ma wody w kranie. Przynosimy ją z ulicy, z pompy abisynki określonej grubo słomą, wokół której utworzyła się gruba skorupa lodu. Jedna część okna zamiast szyby ma wstawioną dyktę i tu najbardziej wieje. Zaczyna braknąć opału. Te trochę węgla co nam zostało, mama przeznaczą na ugotowanie obiadu. Z tą wyciągamy nadpalone deski z gruzu, przynosimy kawałki drewnianego plotu do domu, by mieć czym palić i nie zamarznąć z zimna we własnym mieszkaniu. Śpimy w swetrach i nakrywamy się wszystkim, co się do tego celu nadaje.

Nadchodzi Boże Narodzenie. Mama zdobyła skądś kapustę i szykuje na wigilię kapustę z grzybami. Tata przynosi małą sosenkę, którą stroimy naszymi świecidełkami. Nie ma na niej w tym roku żadnych pierników lub cukierków. Ustawiam pod choinką swoją starą, wyciętą z papieru szopkę i zapalam przy niej jedną świeczkę. To wszystko. Siadamy do stołu wigilijnego tylko we trójkę. Przy jednym dodatkowym nakryciu nikogo nie ma. Twarze taty i mamy są poważne. Dzielimy się oplatkiem, który mama przyniosła z Bazyliki, od księży – „abyśmy wszyscy przetrwali, by nikomu nic złego się nie stało”. Odczuwam teraz wyraźnie wagę tych życzeń. Nie ma głośniego śpiewu kolęd, nie ma prezentów pod choinką. Wszystko odbywa się po cichu, jakby spłoszone nieznaną przyszłością.

Wychodzę na ciemną klatkę schodową. Przez okno, bez szyb bo wyleciały w czasie bombardowań, na półpiętrze, słyszę wpadający z zewnątrz śpiew. Melodia jest znana, lecz słowa są niemieckie. „Stille Nacht, heilige Nacht...” – „Cicha noc, święta noc...” To skoszarowani w naszej szkole przy ul. Otwockiej 3 żołnierze niemieccy śpiewają kolędy w swoim języku i wiatr je zanoszą aż do moich uszu.

Tuż po Bożym Narodzeniu wali w nas obuchem straszna wiadomość. Niemcy rozstrzelali w Wawrze przeszło 100 wywleczonych z mieszkań mężczyzn. A więc to tak? Jesteśmy przygnębieni tymi wiadomościami, przytłoczeni bezwzględny okrucieństwem i terrorem wroga. Tak kończy się rok 1939.

## Pierwszy rok

Zima tego roku była bardzo ciężka. Życie miejskie zamarło. Nie chodzę do szkoły przez większą połowę stycznia. Niemiecki wartownik, przy bramie naszej szkoły od ul. Siedleckiej, ubrany w grube kożuch z postawionym kołnierzem i w czapie z nausznikami, przerzuca karabin z jednego ramienia na drugie, rozciera sobie jedną rękawicę o drugą i przytupuje filcowymi buciorami. Ludzie mijają go obojętnie, opatuleni po czubki nosów chustami, kocami, czym kto ma, skuleni, przeważnie z głowami pochylonymi, by nie patrzeć wrogowi w oczy. Walcząc z niesamowitym zimnem palimy pod kuchnią resztkami jakichś mebli, porąbanymi oknami, kawałkami desek wyciągniętych z gruzu rozwalonych domów. Teraz wszyscy tak robią ratując się przed zamarznięciem.

Dni biegną leniwie. Słońce świeci jaskrawo, lecz wciąż jeszcze nie grzeje. Daje się natomiast zauważyć coś niezwykłego. Następuje jakby cicha umowa wszystkich – sąsiada z korytarza, kolejarza z drugiej kamienicy, sprzedającej w sklepie, zupełnie obcego przechodnia... Umowa dotycząca przeżycia. Ludzie zaczynają wzajemnie się ostrzegać przed niebezpieczeństwem, podają sobie zasłyszane wiadomości.

Sąsiad, pan Czarnecki, pracuje na parowozie jako maszynista. Przynosi zawsze w swojej drewnianej skrzyneczce trochę węgla, który można kupić od niego po niskiej cenie. Znajomy stojący w bramie ostrzega: „Panie sąsiedzie, nie chodź pan na Targową, bo łapią”. Pojawia się u nas pan Przedmojski, stary przyjaciel rodziny. Ubrany jest grubo po zimowemu, wąsik oszroniony, ale oczka jego wydają się wesołe. Po rozmowie i rozgrzaniu się herbatką, którą częstuje go mama, mówi, że ma dla nas niespodziankę. Upewnia się czy drzwi są zamknięte i wyciąga z rękawa swego swetra tajną gazetkę „Polska żyje” – *Biuletyn Informacyjny*. Skupiamy się przy nim, przy stole, a on cichym głosem czyta: „7 listopada 1939 gen. Sikorski obejmuje stanowisko premiera i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. W kraju powstaje armia podziemna do walki z wrogiem”. Patrzę na starszego pana jak na zjawę. Widzę go teraz w zupełnie innym wcieleniu. Przyglądam mu się uważnie, natomiast tata i mama przyjmują to z dziwnym spokojem. Czuje widocznie mój wzrok na sobie, bo nagle patrzy mi prosto w oczy i mówi: „Ale o tym nikomu ani słowa”. Kiwam głową na tak i uśmiecham się do niego. Jedną ręką kotłuje mi włosy na głowie i mówi do rodziców, że będzie do nas wpadał od czasu do czasu. Zaraz też się żegna i wychodzi na ciemną klatkę schodową.

Jest luty. Mróz srogi. W mieszkaniu jest jasno i jakby radośniej. Jestem razem z mamą – przyszedłem właśnie ze szkoły. Nagle słyszymy w naszym korytarzu śpiew jakiejś kobiety okutanej w kolorową wiejską chustę: „Dnia pierwszego września roku pamiętnego, wróg napadł na Polskę z nieba wysokiego. Najgorzej się zawziął na naszą Warszawę, Warszawa kochana, tyś jest miasto krwawe. Kiedyś byłaś piękna, bogata, wspaniała, teraz tylko kupa gruzów pozostała...”. Słyszymy jak otwierają się kolejno drzwi od sąsiadów i widocznie dają coś kobiecinie, bo ta odpowiada: „dziękuję, dziękuję”. Po chwili i moja mama otwiera drzwi na korytarz. W otworze pojawia się twarz jakby uśmiechniętej kobiety w średnim wieku. Mama coś jej daje, ona dziękuje i wali głośno: „Im słońeczko wyżej, tym Sikorski bliżej”. Mama zamyka drzwi i mówi: „Oby tak było”.

Tak to wszystko wyglądało.

Pewnego marcowego dnia mróz był jeszcze duży, ale słońeczko jakby mocniej przygrzewało. Tata miał coś do załatwienia na mieście. Wybraliśmy się więc we dwóch. Ojciec w służbowym, tramwajarskim płaszczu, pod którym miał swój kożuch oraz w czapce z syrenką warszawską, ja w palcie z kołnierzem z baranka. Pojechaliśmy tramwajem przez most Kierbedzia. Przy wjeździe na most przed wojną znajdował się lunapark z diabelską kolejką. Obecnie w tym miejscu była tylko skręcona, pogmatwana kupa żelastwa i spaleniżna pokryta śniegiem. W dali stała uszkodzona, stalowa wieża do skoków spadochronowych. Wysiedliśmy na przystanku przy ul. Miodowej. Patrzę w stronę Placu Zamkowego. Zamek Królewski spalony; wieża z zegarem bez kopuły, nad murami sterczą trzony kominowe i resztki konstrukcji dachu. Okoliczne domy, mające tak piękne elewacje, również spalone. Idziemy Krakowskim Przedmieściem. Na chodnikach, pod ścianami domów, leżą stosy gruzów jednopiętrowej wysokości, gdzieś tam już uprzątnięte.

Plac Teatralny w ruinie. Ratusz i Teatr Wielki – wypalone. Jakieś belki i cegły sterczą spod śniegu. Ulica Świętokrzyska od Nowego Światu po Plac Napoleona jest jednym zwałiskiem gruzu. Ludzie ciągną sanki z uwiązanymi na nich tobołkami. Widzę paru mężczyzn w narciarskich butach, w paltach przewiązanych paskiem, z chlebakiem na ramieniu. Mijają nas dwaj inwalidzi o kulach – takich spotykało się bardzo często. Grupa kolejarzy niemieckich, czekająca na kogoś, tupie nogami po chodniku. Skręcamy koło pomnika Kopernika na drugą stronę Nowego Światu. Idziemy po warstwie ubitego śniegu, który skrzy się w słońcu. Trzymam się ramienia taty i patrzę na przechodzących żołnierzy Wehrmachtu. Nagle drogę zastępuje nam oficer w zielonym płaszczu. Ma czapkę z denkiem wywiniętym do góry od strony daszku. Stało się to tak niespodziewanie, że przestraszyłem się i ścisnąłem mocno ramię taty. On natomiast wcale nie wydawał się być zaskoczony. Zatrzymaliśmy się. „Wo ist Tamka Strasse?” – zapytał Niemiec tatę. Ojciec wskazał ręką kierunek. Wcale się Niemca nie przestraszył i co więcej, usłyszałem jak mówi po niemiecku. Przypomniałem sobie, że podczas I wojny światowej zetknął się w wojsku z Prusakami, no i to przydało się teraz. Jeszcze coś tam tłumaczył Niemcowi. Widać to poskutkowało, bo oficer zasalutował, podziękował i odszedł. Spojrzeliśmy z tatą na siebie. „Zobaczył mnie w tramwajarskim płaszczu – mówi tata – a oni wiedzą, że to służba miejska, stąd zwrócił się do mnie o pomoc. Całe szczęście, że przypomniałem sobie trochę niemieckiego... Nic się nie bój. To też tylko ludzie. Jeszcze będą zwiewać”.

Aresztowania masowe całymi domami. Ulice wyludniają się. Chodzę do szkoły na godz. 11.00. Do budynku wchodzi się z podwórka po wąskich betonowych schodach, zabezpieczonych ceglany murkiem. Jedni o 11.00 kończą lekcje, drudzy w tym czasie przychodzą do szkoły. Spotykają się dwie fale. Ci co schodzą są silniejsi, bo pchają się całym swym ciężarem na dół. My, którzy wchodzimy,

stajemy murem przy balustradzie. Dochodzi do rękoczynów. W ruch idą pięści, wszystko kłębi się na schodach – nikt nie interweniuje. W końcu „korek” samoistnie się rozładowuje. Wchodzimy w paltach do klas i tam się rozbieramy. Płaszczki trzymamy przy sobie, bo w szatni mógłby nam je ktoś ukraść. Zaczyna się lekcja. Pani nauczycielka wędruje od swej katedry do drzwi i z powrotem i objaśnia nam temat lekcji. W trakcie tego spaceru pisze kredą na tablicy. My piszemy w zeszytach chuchając raz za razem w zamrażnięte palce trzymające pióro (maczało się wtedy pióro w kałamarzu z atramentem) lub ołówkę.

Kartkowe przydziały chleba, marmolady i sacharyny (nie było cukru) są niewystarczające. Najłatwiej można było dostać koninę. Tak więc, gdy tata ma wolny dzień, jadą razem z mamą na „szmugiel”, by przywieźć trochę żywności ze wsi. Ba, ale trzeba ją tak sprytnie przewieźć, by Niemcy jej nie zabrali. Jadą oczywiście, „ciuchcią” grójecką, na Dąbrówkę lub Ignaców. Mama zabiera jakieś narzuty, kapy, sweter, firanki – na wymianę za żywność. Tam część wymieniają z Helą, a resztę z innymi mieszkańcami wsi, których poleca Hela. W ten sposób zdobywają słoninę, kielbasę, jaja, chleb. Wszystko to starają się przywieźć do Warszawy tą samą drogą. Wracają następnego dnia wieczorem. Otwieram drzwi, w których staje ośnieżony tata i okryta dużą chustą mama. Oboje objuczeni paczkami i węzełkami. Udało się. Niemcy rewidowali pobieżnie – widać było, że szukają czegoś innego. Na stół wjeżdżają same smakowitości. Odkrojony kawałek kielbasy (nie widziałem jej od świąt) polykam w oka mgnieniu.

Następnego dnia mama przetapia słoninę na szmalec, wlewa go do szklanych słoików, po czym wstawia wszystko do kredensu. To samo robi z innymi wiktuałami, przygotowując je do dłuższego przechowania. Kolejnego dnia na obiad jest pyszny kapuśniak z kartofelkami – pływają w nim kawałki mięsa, a na wierzchu układają się piękne oczka tłuszczu.

Przychodzi do nas wujek Władek i mówi, że Niemcy zajęli Danię i Norwegię. Przed sklepem „Tylko dla Niemców” na Marszałkowskiej widzę wielką tablicę z wykazem ile ton brytyjskich statków zatopiły niemieckie U-boty. Wykres pnie się do góry. Co działo się za Bugiem – o tym nie było jeszcze konkretnych wiadomości. Wiadomo, że za rzeką są Rosjanie. Zabrali nam pół Polski. Niektórzy tam się wybierają, bo muszą uciekać przed Niemcami. Ci, którzy się stamtąd wydostali mówią, że lepiej tam nie wracać.

W kwietniu otrzymujemy niezwykłą wiadomość. Przychodzą do nas od wujka Piotra Blicharza dwie karty pocztowe z Węgier. Karty są tak zaadresowane: Deutsches Okupations Gebiet in Polen – Warschau 4, ul. Kawęczyńska 45. Okazuje się, że wujek Piotrek we wrześniu 1939 roku przeszedł wraz z wojskiem na Węgry i tam został internowany. Obecnie znajduje się w obozie w miejscowości Fekohangony koło miasteczka Ozd. Na jednej z kart widnieje fotografia tego miasteczka. Cieszymy się, że wujek żyje, bo do tej pory nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości. Ciocia Bogusia już o tym wie.

Koledzy i „kolesie” z Kawęczyńskiej. Na podwórku u nas pozostało wszystko po staremu, wszyscy tu są znani i raczej pewni. Na ulicy jakoś dziwnie się rozdzieliliśmy, staliśmy się ostrożniejsi. Uważamy co powiedzieć, zwracamy uwagę, kto co mówi, stajemy się jeszcze bardziej cwani.

Jest maj, słońce dogrzewa. Wychodzę na ulicę i idę w kierunku „Prażanki”. Mam tam przyjaciela szkolnego Józia B. i dwóch kolegów: Alego i Wojtka. Widzę ich przed sklepem, jak kogoś otaczają, z kimś rozmawiają. Podchodzę bliżej. W środku koła stoją nasi rówieśnicy, dziewczyna i chłopak, nasi znajomi, pięknie ubrani w czystość mundury Hitlerjugend. Ona w białej bluzce, brązowej spódnicy i białych skarpetach, on w białej koszuli, brązowych krótkich spodniach i też w białych skarpetach. Przy boku ma mały mieczyk – taki kordzik. Oślupiałem, ale nie daję poznać tego po sobie. O rany! To już nie nasi koledzy – to już są Niemcy! Rodzice ich stali się Volksdeutsche, a ich dzieci należą teraz do organizacji niemieckiej. Patrzymy na siebie tak jakoś dziwnie. Rozmowa nie klei się, utyka. On jest bardzo pewny siebie, wypowiada się ze swobodą, daje nam do obejrzenia mieczyk, który wisi mu na boku w pochewce. Podziwiamy głośno jego dobre wykonanie – przydałby się nam – i fajne ubranko właściciela. Ale dalej rozmawiać nie ma o czym. Rozstajemy się bez podania ręki. Każdy wybiera własną drogę.

Odtąd unikam jak ognia spotkania z właścicielami brązowych spodenek i spódniczek. Wkrótce zresztą rodzice ich zmieniają mieszkanie i wyprowadzają się do innej dzielnicy.

„Szczekaczki” – czyli głośniki radiowe przyłączone do niektórych latarni na ulicach – przynoszą nam niedobłą wiadomość. Niemcy zaatakowały Belgię i Holandię. Wkrótce wojska ich wtargnęły w głąb Francji, która się poddała. W części południowej utworzono państwo francuskie ze stolicą w Vichy, zależne od Niemców.

Częściej teraz przychodzi do nas wujek Władek. Za pomaganie mi w lekcjach mama zawsze częstuje go obiadem. Wydaje mi się, że jest to tylko pretekst, ale w ten sposób mama chce pomóc swemu bratu, który jest kawalerem. Zresztą potrafi pięknie rysować i malować. Podarował mi stare atlasy pamiętające czasy Austro-Węgier, Prus i carskiej Rosji. Zawsze zwracał mi uwagę, gdy odrabiałem lekcje: „głowa wyżej od zeszytu. Patrz Genia, jak on pisze, będzie później ślepy”. Pewnego dnia przyniósł ilustrowane wydanie, pokazujące siłę żołnierza niemieckiego w wojnie z Francją. Był to

oczywiście materiał propagandowy, ale obejrzelśmy go wszyscy. Na atlasie geograficznym Romera dokładnie ustaliliśmy, jak przebiega linia frontu na Zachodzie i tata powiedział: „No, zobaczymy co teraz będzie”.

Przychodzi następna kartka pocztowa od wujka Piotрка. Treść jej jest bardzo krótka: „Jadę na wakacje do ciepłych krajów”. Wtedy domyślaliśmy się, że chodzi o Afrykę. Teraz już wiemy dokładnie jak to było. Wujek Piotrek ucieka z obozu internowanych na Węgrzech i przedostaje się do Jugosławii. Tam z innymi towarzyszami broni z portu Split wypływa statkiem transportowym przez Morze Śródziemne do Bejrutu, a dalej do Syrii. Wstępuje do polskiego wojska, jakie się tam uformowało, do Brygady Strzelców Karpackich. Wujek postanowił nadal walczyć pod polskim sztandarem z Niemcami. Dostaje przydział do grupy łączników na motocyklach, ponieważ umiał prowadzić ten pojazd. Przed wojną miał własny motocykl „Sokół”. Wkrótce brygada przechodzi do Palestyny i żołnierze polscy, w tym i wujek, zwiedzają Jerozolimę i Betlejem. To wiemy ze zdjęć, jakie przysły do nas już po wojnie.

Kończy się rok szkolny i przechodzę do klasy 6-tej. Wysypujemy się z ciasnoty budynku na pokryte żużlem boisko. Rozpryskujemy się każdy w swoją stronę. Następnego dnia rodzice wywożą mnie na wieś. Po pierwsze – tak będzie bezpieczniej, po drugie – ubędzie im troska o wyżywienie syna, o które jest w mieście bardzo trudno. Na wsi jest pod tym względem znacznie lepiej, zresztą ciocia Zosia – siostra taty – chce nas widzieć u siebie w Ignacowie.

Jedziemy z tatą „ciuchcią” grójecką. W wagonie pełno ludzi. W pewnym momencie w Piasecznie wsiadają dwaj osobnicy ubrani w stare, wojskowe szynele. Jeden jest inwalidą, drugi gra na harmonii. Zaraz rozlega się ich śpiew:

„Siekiera, motyka, piłka, pałasz, przegrał wojnę głupi malarz,  
siekiera, motyka, piłka, nóż, przegrał wojnę już, już, już..”.

Wagon się kołysze, ludzie siedzący i stojący ciasno jak śledzie w beczce kiwają się na boki, no i uśmiechają się jeden z drugim. Patrzę na nieznajomego siedzącego naprzeciw mnie w długim szarym płaszczu, przepasanym skórzanym paskiem. Puszczą do mnie oko i również uśmiecha się. Do licha, wszyscy wiedzą o co chodzi. Wytworzyła się bowiem jakaś sympatia między ludźmi, jakaś cicha zmowa, której przewodnią myślą była walka z wrogiem wszelkimi sposobami. Nawet tą piosenką. Czuję to przez skórę. Do podstawionej przez inwalidę czapki sypią się drobniki i papierowe pieniądze. Przed Grójcem obaj śpiewacy wysiadają z wagonu i znikają.

Z Golian tą samą ścieżką, co we wrześniu 1939 roku idziemy na Dąbrówkę. Wśród pięknej zieleni dojrzewających pól, drzew, krzewów i wolnej przestrzeni człowiek psychicznie czuje się znacznie lepiej niż w ciasnocie zabudowy miejskiej. Po pewnym czasie przechodzimy drewniany mostek nad rzeczką i wychodząc na górkę jesteśmy już na miejscu.

Na Dąbrówce Hela przygarnia mnie do swojej gromadki i na razie nie puszcza na Ignaców. Jedną gęba więcej do jedzenia nie czyni żadnych zmian w prowadzeniu gospodarstwa. Biorę za to udział w różnych zajęciach, by tym sposobem chociaż trochę pomóc w pracach domowych. Najlepsze jest pasanie krów, przed południem i po południu, za mostkiem, nad rzeczką Mogielanką.

Krowy popętane pasą się na łące, a tu przychodzi Władek i jego brat Stasięk, synowie pana Antoniego M. Znamy się od dawna. Krowy ich pasą się w pobliżu moich, tak że baczenie mamy na wszystko. Siadamy sobie na pięknej trawie w cieniu drzew, tuż nad rzeczką. Wyciągam swoją „finkę” – nóż harcerski – i zaczynamy grać w pikuty. Nóż jest tu podstawą gry, no i stanowi przedmiot pożądania innych. Słoneczko pięknie grzeje, po niebie przesuwały się białe obłoki, od traktu zasłaniają nas rosnące krzaki. Do Niemców stąd daleko. Wojna jakby odpłynęła ode mnie w nieznaną. Jak już znudziło nam się granie – łowimy ryby. Do kijków wystruganych z wikliny przywiązujemy cienkie sznurki, a na ich końcu haczyki z drutu. Najwięcej ryb łapie Władek – co raz jakaś płotka trzepece mu na haczyku. Ja jakoś w porę nie potrafią podciąć. Stoję więc na złocistym piasku z nogami zanurzonymi po kolana w wodzie i patrzę jak oni łowią. Gdy odczuwamy pragnienie idziemy napić się wody ze źródelka, które znajduje się niedaleko traktu. Jest to mały dołek otoczony kępą traw. Woda w nim jest kryształowo czysta. Nabieramy ją oburącz rękami i gasimy pragnienie.

Prowadzimy niekończące się rozmowy z Tadeuszem, moim szwagrem, na temat wojny. Po pewnym czasie przyjeżdża mama i wybieramy się na Ignaców. Idziemy pieszo. Ostrzegają nas, że w szkole w Błędowie stoi żandarmeria niemiecka, która legitymuje i łapie każdego, kto się jej nawinie. Lepiej więc nie wchodzić do miasteczka. Przed domami skręcamy więc na lewo, na widoczną ścieżkę, która jest już wydeptana w trawie i omija to, co jest niebezpieczne. Od wachty niemieckiej oddziela nas wysoki, drewniany płot, gęste krzaki i pojedyncze drzewa. Pochylamy się i zgięci w pół mijamy to nieprzyjemne miejsce. Wychodzimy na drogę poza kościołem, przechodzimy mostek koło młyna i zaraz skręcamy w prawo, w wąską, piaszczystą drogę wiejską. Na ścieżce, która prowadzi wzdłuż drogi poza rzędami drzew, jesteśmy już bezpieczni. Niemcy przeważnie jeżdżą gościńcami lub traktami utwardzonymi.

Na Ignacowie o wojnie prawie nie słyhać. Leży on w bok od wszelkich gościńców. Poza obowiązkowym kontyngentem żywności dla Niemców oraz doniesieniami o najazdach i rabunkach żandarmów

na okoliczne wsie, na razie nic tu się nie dzieje. Za to u wujka zastajemy zmianę. W małym pokoiku po dziadku K. zamieszkała wysiedlona z ciechanowskiego rodzina polskiego rolnika. Ciechanów należy obecnie do Rzeszy i Niemcy wysiedlają Polaków do Generalnej Guberni, a na ich miejscu osiedlają swych rodaków. Rodzinę pana Karola powiadomiono o wyjeździe w ostatniej chwili. Zabrać ze sobą mogli tylko niewielki bagaż. Zrewidowano ich następnie i ograbiono z pieniędzy, wtłoczono do bydłowych wagonów i wysadzono w szczerym polu, ale już w Guberni, gdzie zajęły się nimi gminy polskie i przydzieliły na wieś do poszczególnych rolników. Jest to rodzina składająca się z 4 osób. On jest postawnym mężczyzną z nieodłącznym papierosem w ustach, jego żona – drobną kobietą. Mają dwóch synów mniej więcej w moim wieku, którzy pracują u innego gospodarza.

Jest lato, a więc okres żniw. Wszyscy bierzemy w tym udział. Wujek kosi zboże konną żniwiarką, a my wiążemy snopki. Znam sposób skręcania powrósla i wiązania nim błyskawicznie snopka. Nie boję się już ostów, że wejdą mi w rękę. Moja dłoń jakoś stwardniała i zrobiła się odporna na te sprawy. Jest piękna pogoda i ten wysiłek fizyczny wyjdzie mi tylko na zdrowie. Apetyt mam ogromny, a kolacje były wtedy znakomite. Wszystkim pracującym wydawano jednakowo: ziemniaki z dużymi, rumianymi skwaremami i czerwony barszcz z wiśni, zabieleny śmietaną. Do tego dokładano po dwie pajdy wiejskiego chleba o powierzchni zbliżonej do dzisiejszych bochenków. Trzymając to wszystko w rękach wychodziło się na dwór, siadało na leżących drągowinach i zjadało ze smakiem. Wujostwo wychodzili z założenia, że do ciężkiej pracy potrzebne jest dobre jedzenie.

Poza wujostwem nikt nie nocuje w chałupie. Stasiek w ogrodzie, Jurek na stercie siana, ja czasem w domu, a często też w ogrodzie, parobek w stajni, inni w stodole. Chodzi o to, by w razie łapanki wszyscy nie byli w jednym miejscu.

Kończą się wakacje i wracamy do Warszawy z paczkami żywności. Momenty decydujące to Grójec i Dworzec Południowy. Żandarmi rewidują ludzi w pociągu i wyciągają z niego handlujących wraz z ich tobołkami. Szukają „szpeku” – słoniny. Przed dojściem pociągu do stacji fruwają więc przez okna walizki i paczki, a na zewnątrz odbierają je znajomi lub rodzina. My mamy trochę szczęścia – nasz wagon jakoś łagodniej przechodzi nalot żandarmów i już jesteśmy z bagażami w tramwaju jadącym do placu Unii Lubelskiej. W końcu nasza Kawęczyńska. Zmęczeni, ale z ulgą, że się udało, jesteśmy w naszym mieszkaniu. Tata akurat przyszedł ze służby i jest w domu. On nie ma urlopu, jest w ciągłym ruchu prowadząc swój wóz. Bierze służbę z godzinami nadliczbowymi, by powiększyć pensję, która i tak jest niewystarczająca na skutek ogromnej drożyzny. Bardzo to przeżywa, denerwuje się, przychodzi po pracy zmęczony. Na dodatek Niemcy wyznaczyli platformę pierwszego wozu oraz dwa pierwsze miejsca w wagonie „nur fur Deutsche”. Odtąd tata ma pracę uciążliwą nie tylko z uwagi na prowadzenie tramwaju, ale również z powodu ciągłej obecności Niemców wokół siebie. Ciągłe jest teraz otoczony żołnierzami, gestapowcami, bahnszucami, folksdojczami, reichdojczami i ciągle musi uważać, by nie palnąć czegoś niestosownego pod ich adresem.

W nowym roku szkolnym nie będziemy uczyć się na Kawęczyńskiej 2. Księża Salezianie z Bazyliki Serca Jezusowego przyjęli naszą szkołę nr 192 do siebie i odstąpili na ten cel swoje pomieszczenia pod podłogą nawy głównej kościoła. Przed wojną odbywały się tam jasełki w okresie Świąt Bożego Narodzenia lub przedstawienia „Droga Męki Pańskiej” w okresie Wielkiej Nocy. Teraz ustawiono tu trochę ławek szkolnych, których pozbyli się Niemcy oraz zwykłe ławy kościelne. Trzy duże okna z łukowymi sklepieniami tuż nad ziemią dawały nam trochę światła dziennego, w pozostałych pomieszczeniach światło musiało się palić przez cały dzień. Byliśmy tu tylko my z naszej szkoły, więc już nie było takiego tłoku jak uprzednio. Wchodziło się bocznym wejściem, położonym naprzeciw pętli tramwajowej przy ul. Kawęczyńskiej. Chodziliśmy na godz. od 8 do 15-tej.

Mimo, że wyposażenie w pomoce szkolne było żadne, szybko przyzwyczailiśmy się do panujących tu warunków. Była to przecież nasza szkoła. Niemordowany jest przy organizowaniu nauki nasz ksiądz prefekt Blezień i nasza wychowawczyni, pani Bańkowska. Lekcje stają się stopniowo normalne, czujemy się tu bezpiecznie. Potężne stropy i mury grubości około 1 metra oraz sam teren świątyni – niedostępny dotychczas dla Niemców – poprawiają samopoczucie uczniów i nauczycieli. Mamy tylko uważać, by obcy ludzie nie wchodzili do wewnątrz, do szkoły i w razie czego powiadamiać o tym dyrektora lub księdza prefekta.

Jak zwykle na herbatkę przychodzi pan Przedmojski. Po wstępnych rozmowach i wypiciu jej wyciąga z rękawa tajny „Biuletyn Informacyjny”. Cichym głosem podaje nam wiadomości prawdziwe, a nie te, które wciska nam szmatławiec „Nowy Kurier Warszawski”. Dowiadujemy się o rozstrzelaniach w Palmirach, o śmierci słynnego biegacza Janusza Kusocińskiego i o masowej wywóźce znajdujących się za Bugiem Polaków. Rosjanie zsyłają całe rodziny za Ural na Syberię.

Październik. Obławy niemieckie trwają ciągle w różnych dzielnicach miasta. Tym razem los padł na Szmulki. Obława zaczęła się w godzinach rannych od 4 do 7-ej. Obstawiono domy i obchodzono mieszkanie za mieszkaniem. Zatrzymano wszystkich mężczyzn od 18 do 45 lat. Piszę to na podstawie rozmowy, jaką mama prowadziła ze swoją siostrą już po ustaniu łapanki, a której ja byłam mimowolnym świadkiem. Tata jak zwykle wyszedł przed 4-tą rano do zajezdni, do pracy i tym sposobem

uratował się od branki. Mama usłyszała na ulicy hałas, gardłowe ryki Niemców i zobaczyła „budy” stojące po drugiej stronie ulicy. Przy „Ramówce” słychać było głośnie krzyki na schodach, trzaskanie drzwiami. Uchyliła więc drzwi i przez szparę zobaczyła Niemców, jak kolejno wchodzą do mieszkań sąsiadów i wyciągają mężczyzn. Rozlegał się płacz kobiet i wrzaski: „raus!”. Weszli do naszego korytarza. Do pierwszych mieszkań załomotali żołnierze. Do naszych drzwi walenie było krótkie. Ja spałem wtedy na otomanie i o dziwo... nic nie słyszałem. Miałem nie ostrzyżone włosy i wszystko potargane w czasie snu. Paliło się wtedy tylko światło przy kuchni, zasłonięte zasłoną, która oddzielała pomieszczenie od reszty mieszkania. Mama wyskoczyła do drzwi w koszuli nocnej. Do mieszkania wszedł oficer niemiecki w długim, zielonym płaszczu, rozejrzał się i mówi: „Wo ist Vater? Wo ist Mann? Mama usiłuje mu wytłumaczyć po polsku, że ojciec dawno umarł, a mąż jest w pracy. Niemiec trochę rozumie, ale dla pewności każe jej otwierać szafę, bielizniarkę oraz dolne drzwiczki od kredensu, czy tam się ktoś nie schował. Zobaczył w końcu mnie jak śpię. Ponieważ w mieszkaniu nie było dorosłych mężczyzn postanowił zabrać mnie. Mama mówi, że to jest dziecko, mały chłopiec – kleine kinder – ale on zabiera się do ściągania kołdry ze mnie. Mama ciągnie go za płaszcz, zaczyna płakać i powtarza po niemiecku: nein, nein. Oficer stoi tuż przy szafie, przy otomanie i sięga ręką po mnie. Mama chwyta tę rękę, przyciska do siebie i całuje ją. „Meine kinder, meine kinder” – powtarza. Z oczu lecą jej łzy. Oficer jest zaskoczony, znieruchomiał na moment przy szafie. Odwrócił się raptownie i machnął ręką: „Ach, kinder” – powiedział i skierował się do drzwi, które wciąż były uchylone. Wszedł i zaraz rozległ się jego głos na korytarzu: „Fertig!” – gotowe.

Wkrótce ucichły hałasy na naszym piętrze. Mama zamknęła drzwi i bezsilnie osunęła się na krzesło. Wtedy zaczęła szlochać. Jej płacz obudził mnie. Zobaczyłem najpierw palącą się żarówkę przy kuchni, a potem mamę siedzącą przy stole. Głowę miała opartą na rękach, którymi wspierała się o blat stołu. Spostrzegła, że patrzę na nią, podeszła do mnie, objęła moją głowę rękami i przytuliła do siebie. Czulem jak na moją głowę kapią jej łzy. Byłem wtedy o włos od życiowej tragedii. Ocalała mnie moja mama. Już było jasno. Zaraz wstałem i ubrałem się. Nie wychodziliśmy z mieszkania, nad słuchując oddalające się hałasy. Potem zawarczały silniki na ulicy i ciężarówki zaczęły odjeżdżać, zakręcając na miejscu i kierując się w stronę ul. Żąbkowskiej.

Otwieramy drzwi na korytarz. Coraz więcej kobiet wychodzi na klatkę schodową, część z nich zanoszą się płaczem. To te, którym zabrano męża lub syna. Sąsiadka, pani Kąkiel, rozpacza po mężu – została z dwoma małymi córeczkami. Schodzimy na parter. Widzę kilka osób – kobiety, dzieci i paru mężczyzn. Wszyscy rozmawiają o tym, co się stało. Ze złapanych przez Niemców mężczyzn uratował się w sposób nieprawdopodobny syn sąsiadów z 1-ego piętra, młody chłopak Jurek Zieliński. Niemcy schwytanych wyprowadzali z mieszkań na schody i tam pod obstawą karabinów sprowadzali gęsiego na podwórko. Gdy już dochodzili do drzwi wyjściowych, które stały otworem i na podwórku widać było czekających żandarmów, musieli minąć znajdujące się z boku uchylone drzwi do piwnicy. Chłopak wykorzystał ten moment i w chwili, gdy je mijał zniknął błyskawicznie w ciemnej czeluści. Na szczęście żaden z żandarmów nie zauważył tego. Chłopak przesiedział w piwnicy do chwili, gdy usłyszał na podwórku rozmów po polsku. Ocalałego cudem syna matka witała ze szlochem.

Ciągle trwa walka o jedzenie. Na kartki żywnościowe można nabyć tylko ćwiartkę czarnego chleba. Dla tramwajarzy przydzielono tzw. deputat żywnościowy. Było to pudełko zgniecionych na masę rybek, trochę przypominających pastę rybną. Mimo, że było to obrzydliwe, smarowało się tym chleb i jadło.

Utworzono getto dla Żydów. Widziało się ich chodzących z opaską na lewym rękawie, na której wymalowana była gwiazda Dawida. Teraz stopniowo znikają, bo są zmuszeni przenieść się do getta.

Samoloty niemieckie atakują bez przerwy Anglię i jej stolicę. Tak podają „szczekaczki” zamocowane na słupach. Prasa podziemna natomiast mówi o sukcesach polskich lotników w bitwie o Anglię. Podobno biorą oni srogi odwet za wrzesień 1939 roku, strącając dużą liczbę maszyn niemieckich.

Jak wspominałem lubiłem czytać książki. Świetna polonistka, nasza wychowawczyni, czytała nam w podziemiach Bazyliki „Pana Tadeusza”. Słuchaliśmy tego z zapartym tchem, bo to lektora zabroniona, skupieni w sobie, ucząc się na pamięć jego fragmentów. Spowodowało to u mnie „skok” w krainę, jaką roztacza przed czytelnikiem książka. Czytanie stało się moim nałogiem, przenosiło mnie w inny świat i pomagało przetrwać ciężkie lata głodu i niepewności.

## Drugi rok

Zima roku 1940/41 była śnieżna i mroźna. Przy Bazylice, między ulicami Siedlecką i Otwocką znajdował się utworzony przed wojną tzw. ogródek jordanowski. Uczęszczały tam dzieci na zajęcia na świeżym powietrzu, na zabawy, obiady, zajęcia świetlicowe. Była to bardzo pożyteczna placówka. Zimą wylewano tam ślizgawkę, na której jeździliśmy na łyżwach do utraty tchu. Teraz też wylano taflę lodową, a śmieci z niej zgarnięto na boki. Wstęp dla dzieci był bezpłatny. W czasie ferii chodziłem na ślizgawkę każdego dnia, bo lubiłem łyżwy i jeździłem na nich dobrze. Niemcy to jakoś tolerowali,

choć baliśmy się, by któregoś dnia nie zrobili łapanki na polską młodzież. Oczywiście jeździło się w ciszy, nie było żadnej muzyki. Ale jak świeciło słońce wyglądało to wszystko bardzo ładnie. Naprzeciw, z naszej szkoły na Otwockiej, z otwartych okien patrzyli na to młodzi niemieccy żołnierze. Był to Wehrmacht.

Pewnego dnia, gdy jak zwykle jeździliśmy na lodowisku, od furtki doleciały nas jakieś wrzaski i ryki. Na teren ogródka wkroczyła grupa niemieckich żołnierzy z sierżantem na czele. Przestraszyliśmy się wszyscy, bo gruby podoficer z pistoletem w rękę i dwaj szeregowi z karabinami natychmiast spędzili nas ze ślizgawki pod domek dozorca. Staliśmy tam na łyżwach, których nie zdążyliśmy odpiąć od butów. Wtem zobaczyliśmy 5-ciu młodych Niemców ubranych po cywilnemu, w swetrach pod szyję, z butami hokejowymi przerzuconymi przez ramię. W rękach trzymali kije hokejowe. Rozsiedli się na ławkach, założyli łyżwy i rzucili się pędem na naszą opustoszałą ślizgawkę. Trzeba przyznać, że jeździli dobrze, a jeden wręcz znakomicie. Po prostu chłopaki postanowili sobie potrenować. Po rozgrzewce chwycili za kije hokejowe i zagrali we cztery do jednej bramki, bo była tylko jedna. My patrzyliśmy na to najpierw spod domku dozorca, potem przysunęliśmy się bliżej, aż w końcu zatrzymaliśmy się tuż przy przyzmach śniegu. Niemcy jakby nieco się zmęczyli; dwóch z nich miało dosyć i odeszło z żołnierzami. Jeden poszedł na papierosa. Zostało dwóch jeżdżących i jeden żołnierz pilnujący im butów. I wtedy wyszedł na lód jakiś mały chłopczyk, za nim para dziewczynek, a po nich jeszcze kilkoro dzieci. Ze strony Niemców nie było żadnej riposty. Tymczasem tafla lodowa zapełniła się dziećmi jeżdżącymi w koło. Pokręcili się więc jeszcze trochę, potem wycofali się do tych swoich koszar.

Mama prowadzi gospodarstwo domowe i dokonuje cudów jeśli chodzi o jedzenie. Wyczarowuje jakieś zupki prawie z niczego. Cukier zastąpiła sacharyna. Na śniadania i kolacje jest tylko czarny chleb z marmoladą z buraków i herbatka z ziół z dwoma białymi tabletkami sacharyny. Gdy zapada zmrok mama siedzi przy oknie z robótką złożoną na kolanach i patrzy gdzieś w dal. Jest jakby nieobecna. Wiem co ją boli. Rozmyśla o tym co będzie jutro, z czego zrobi obiad, czy będziemy jeszcze razem, czy los da nam jeszcze pożyć. Siedzi przy oknie tak długo, aż postać jej zamazuje się całkowicie w ciemności.

Wieczorem nie świeci się już lampa naftowa; nie ma nafty. Teraz pali się karbidówka i swym jaskrawym światłem psuje nam oczy. Są to dwa blaszane pudełka skręcone razem w jedną całość. Z górnego wystaje rurka zakończona palnikiem. Jest to zbiorniczek, który zawsze musi być napełniony wodą. Do dolnego zbiorniczka wkłada się kawałek biało-szarego karbidu. Zaworkiem otwieramy w górnym spust, tak by woda wykapywała z niego po kropelce i stykając się z karbidem wytwarzała gaz, który palnikiem wydostaje się na zewnątrz. Zapalony daje silne, oślepiające światło. Gdy wody kapnęło więcej, płomień był czasami długi na 20 centymetrów. Regulowało się go tak, by był wysoki na 2-3 centymetry. Przy tym świetle zwykle odrabiałem lekcje. Karbid można było kupić w mydlami.

Jakimś cudem dociera do nas kartka od wujka Piotrka z Egiptu, ale przesłana jakoś dziwnie, bo nie przez pocztę niemiecką. Jest to fotografia 3 żołnierzy z Brygady Strzelców Karpackich. Jeden z nich po lewej stronie to mój wujek. Kartę ma ciocia Bogusia, ale po pewnym czasie zawiłymi drogami trafia do nas. Jest to ostatnia wiadomość od niego.

Robi się cieplej. W podziemiach Bazyliki czujemy się bezpiecznie. Wróciły tu lekcje geografii i historii, prowadzone przez nauczycieli, ale pod inną nazwą. Z tych przedmiotów nie będzie stopni i nie będą one na świadectwach. Chodzę do klasy 6-tej. Prowadzący tu lekcje śpiewu pan Nizner postanowił utworzyć chór szkolny. W tym chórze znalazłem się i ja. Przeszedłem egzamin ze słuchu i zakwalifikowano mnie do tenorów. Było nas tylko trzech, ale dawaliśmy sobie radę nieźle i śpiewaliśmy całym chórem na zakończenie roku szkolnego w Bazylice. Był to taki sympatyczny przerywnik w czasach szkolnych za okupacji.

Lekcje gimnastyki odbywały się na placyku przy kościele, odgrodzonym od ulicy szczelnym, wysokim, drewnianym płotem. Z tego placyku-boiska korzystali przeważnie księża. Graliśmy tam zwykle w piłkę nożną tak zwane „ciche mecze”. Na prośbę księży nie wrzeszczeliśmy, by nie zwracać uwagi nieproszonych gości.

Drugim azylem był dom – rodzinne mieszkanie. Gdy tu się wracało, człowiek oddychał głęboko, jakby już mu nic nie groziło. Dawał on poczucie bezpieczeństwa i spokoju. To mama swym ciągłym krzątaniem, zabieganiem o utrzymanie rodziny, sprawiała, że atmosferą tą mogliśmy oddychać i mieć chwilowe odprężenie. Ale tego bezpieczeństwa i spokoju nie było nigdzie. Dużo zależało od tzw. szczęścia. Jedni, nawet bardzo ostrożni, wpadali w łapanki, drudzy wychodzili cało z nieprawdopodobnych sytuacji. Ludzie czuli się jednak solidarni i w każdej nieomal sytuacji można było liczyć na drugiego człowieka, nawet nieznanego.

Gazety przynoszą nowe wieści. Niemcy zaatakowały Grecję i Jugosławię. Ulicą Kawęczyńską każdego dnia maszerują oddziały żołnierzy. Wrażenie jest bardzo nieprzyjemne. Łoskot podkutych butów o „kocie łby” i ich głośny, buńczuczny śpiew: „haili. Hailu, haila!”

Pewnego razu przyszedłem do wujka Władka na Kawęczyńską 22. „Przyjdź to coś ci dam dla mamy” – powiedział. Mieszkał sam w mieszkaniu po mojej babci. W kuchni miał jakby warsztat,

w przedpokoju stała szafa i olbrzymi kufer. On sam przeniósł się do pokoju. Na środku tego pomieszczenia stała „koza” – piecyk z blachy na jedną fajerkę, od którego biegła rura wpuszczona do przewodu kominowego. Z piecyka buchał żar. Wujek stał przy nim i poruszając odpowiednio dużą patelnią podrzucał wysoko brązowe kotlety, a potem łapał je zręcznie z powrotem na nią. „No, jak ci się to podoba?” – zwrócił się do mnie. Wyczyny ekwilibrystyczne wujka z patelnią podobały mi się, ale mój nos poczuł zapach fajnego jedzenia i ślinka zaczęła mi cieknąć. Wujek momentalnie to zauważył i zaraz miałem na talerzu kotlet o powierzchni rękawicy boksinowej, przyprawiony cebulką i sosikiem. Była to pychota jakiej dawno nie widziałem. Po konsumpcji wujek oświadczył, że są to końskie kotlety. To wyznanie nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia, bo w żołądku siedział już mój kotlet, a trzeba powiedzieć, że smakował mi niezmiernie. „Dwa kotlety zaniesiesz mamie – zadysponował wujek – ale nie mów, że są z konia, bo nie wiem jak to przyjmą. A teraz chodź, to pokażę ci coś ciekawego”. Zobaczyłem jak wujek wycina z dykty ładne, kolorowe motyle, jak powiększa rysunki pantografem, jak pięknie maluje. Wyciągnął w końcu spod łóżka dwie drewniane skrzynki, załadowane różnymi śrubkami, pokrętłami, drutami i w ogóle wszelką różnorodnością. „No, a teraz nikomu ani słowa. Z tego szmelcu, co tu widzisz, mogę w ciągu paru minut mieć radio” – powiedział. Zbaraniałem, a jednocześnie wujek mnie zachwyił. Bo tam okupacja, Niemcy, a tu kotlety końskie i radio. Niesamowite!

Zabrałem te kotlety do domu i smakowały one bardzo tacie i mamie. Zaakceptowaliśmy wszyscy ten rodzaj pożywienia.

Z samego rana łapanka na Kawęczyńskiej! Z biciem serca czekamy z mamą na rozwój sytuacji. Tata na szczęście zdążył już wyjść do zajezdni. Z ulicy dochodzą wrzaski Niemców. Zbliżam się nieznacznie do filarka międzyokiennego i zza firanki rzucam ostrożnie okiem na ulicę. Robię to wolno, bo Niemcy po zauważeniu jakiegokolwiek ruchu strzelają bez ostrzeżenia. Widzę jak kordon żandarmów rozsypuje się po drugiej stronie ulicy. Już stoją w rozkroku z karabinami wycelowanymi w okna. Dalej grupka zatrzymanych osób spędzonych pod płot „Ramówki”. Na jezdni zatrzymuje się ciężarówka kryta brezentem – „buda”. Jakaś groza wieje od tego widoku. Odstępuję od okna. Uchylamy za to drzwi na korytarz, by słyszeć co się dzieje na klatce schodowej. Sąsiad z przeciwnego korytarza wygląda ostrożnie z podestu na podwórko, ale ruchem ręki daje znać, że nic nie widzi. Słychać już za to gardłowy wrzask Niemców z podwórka i stukanie podkutych butów. Krzyk się podnosi, pada pojedynczy strzał. Zamieszanie przenosi się na ulicę. Warkot motoru samochodowego. „Buda” wolno odjeżdża w kierunku ul. Żąbkowskiej, a z nią oddalają się i wrzaski. Powoli wszystko cichnie. Nie wierzymy własnym uszom. Odczekujemy i wyglądamy na ulicę. Pusto, tramwaje nie jeżdżą. Wychodzi z bramy jakaś staruszka, potem pokazują się dwie panie, wyskakują paru chłopczków. Robi się normalnie. Wkrótce rusza tramwaj z pętli przy Bazylice i wolno przejeżdża pod naszymi oknami. Tym razem skończyło się na strachu – łapanka objęła tylko ulicę i podwórko.

Od kilku dni przewalają się ul. Radzywińska czołgi, motocykle, samochody, ciągniki. Wszystko kieruje się na wschód. 22 czerwca 1941 roku Niemcy uderzają na Rosję. Komentarz wśród ludzi jest krótki: teraz nareszcie dostaną łupnia!

Kończy się rok szkolny w podziemiach Bazyliki. Nie ma kwiatów, parę słów mówi kierownik szkoły pan Brzozowski oraz żegna nas ksiądz prefekt Blezień. Następuje rozdanie świadectw. 28 czerwca 1941 otrzymuję z rąk mojej wychowawczyni pani Bańkowskiej Schulzeugnis, czyli świadectwo ukończenia 6-tej klasy szkoły powszechnej nr 192. Świadectwo to jest w języku niemieckim i polskim. Nie ma na nim takich przedmiotów jak historia i geografia. Na górze dużymi literami wydrukowano General Gouvernement, natomiast małymi najważniejsze: przechodzi do 7-ej klasy.

No i teraz pojawił się problem. Rodzice moi chcą, bym dalej się uczył systemem przedwojennym, tj. poszedł do gimnazjum. Tata zawsze mi powtarzał: „Pamiętaj – ucz się. Nie mamy majątku, nie jesteście bogaci. Twoim majątkiem niech będzie głowa”. Słowa te zapamiętałem na zawsze. Ale jak to zrealizować? Niemcy zlikwidowali średnie i wyższe szkolnictwo. Chcą, by Polacy stali się tylko wyrobnikami, siłą roboczą. Mama odbywa dłuższą naradę z panią Bańkowską, która prowadziła mnie przez całą szkołę powszechną. Decyzja jest taka: po wakacjach będę dalej uczęszczał do klasy 7-ej swojej szkoły, która jest uznawana przez Niemców. Jednocześnie będę przerabiał materiał I klasy gimnazjalnej – nieoficjalnie. Wyjeżdżam więc na wieś, tam bezpieczniej, na Dąbrówkę i do Ignacowa. W „ciuchci grójeckiej” ciżba szmuglujących i handlujących. I znów płynie piosenka: „Teraz jest wojna, kto handluje, ten żyje. Jak sprzedam rąbanekę, słoninę, kaszanekę, to bimbru się też napiję”.

Mama zostaje u Heli, która ma dla niej dużo szycia i czeka na nią, jak na zbawienie. Gospodynie już wiedzą, że przyjechała mama. One też mają dla niej pracę. W ten sposób mama zarobi na swoje utrzymanie i na żywność, którą później zabierze do Warszawy. Ja przenoszę się na Ignaców, do dobrze znanego mi miejsca. Ciozia Zosia trochę niedomaga, staram się więc być uczynny dla niej. Uczestniczę we wszystkich pracach polowych, którymi kieruje Staszek. I tu jednak wprowadzono środki ostrożności. Przy „dołku”, małym stawiku z nieruchomą wodą, rośnie stara, wysoka lipa o średnicy 1,5 metra i potężnych, rozłożystych konarach. I właśnie tam wysoko, za gęstym listowiem, Jurek i Janusz bez rozgłosu zbudowali drewnianą platformę, mocowaną do gałęzi drzewa. W razie łapanki może ukryć się



tam 3-4 mężczyzn. Z dołu nic nie widać. A na lipę jest bardzo trudno wejść, bowiem pierwsze gałęzie są dopiero na wysokości 4 metrów. Jest to dobry schowek i wie o nim tylko parę osób z rodziny.

Prace rolnicze na wsi wykonywane są zgodnie z harmonogramem, jaki narzuca przyroda. Każdy z nas śpi w osobnym miejscu, psy spuszczone są na noc z łańcuchów, nocną czujkę wystawia każdy gospodarz po kolei. Ale i tu zawitali Niemcy.

Pewnego dnia parobek, który pracował w polu, przybiega zadyszany i już z daleka woła: „Niemcy, Niemcy jadą!” Jakoż widzimy od strony Błędowa ciągnący się tuman pyłu i kurzu i słyszymy dudnienie ciężko pracującego silnika. Po pewnym czasie wyłania się z oddali szara ciężarówka, a na jej skrzyni widnieją postacie w zielonych mundurach. To żandarmi! Jest sypki piach, w którym grzęzną koła pojazdu, motor wyje na dużych obrotach, wóz wolno przebiega przez rozjeżdżoną drogę. Stacho i parobek znikają momentalnie wśród gęstych drzew ogrodu za stodołą. Jurek wpada w krzaki jeżyn i malin za ogrodzeniem podwórka. Ulatnia się również gospoia i młody pastuch Franek. Zostają tylko ciocia Zosia i wujek L. Dziwnym trafem i ja, jakoś oglupiały, zostaję na podwórku, przy chałupie.

Ciężarówka podjeżdża pod zamkniętą bramę gospodarstwa wujka. Już słychać wrzaski żandarmów. Zeskakuje ich dwóch z pistoletami maszynowymi w rękach. Wóz jedzie dalej i znów następni zeskakują i rozbiegają się po wsi z głośnym krzykiem. Kopniakiem wywalona furtka otwiera się, oderwany z niej zamek wylatuje na ziemię, wpadają na podwórko z wycelowanymi pistoletami. A tu chodzą sobie wolno kury, gęsi, kaczki, spaceruje świnka. Przy budzie ujadają psy, szarpia się niespokojnie na łańcuchach. Jeden z żandarmów mierzy do kury – trach i leży martwa. Drugi strzela do gęsi – trafiona. Znów strzały – padają następne zwierzęta. Niemcy głośnie rechoczą i coś szwargoczą do siebie. Stoją zdrętwiały i przerażony przy otwartych drzwiach do chałupy, trzymając się drewnianego płotka. Jeden z Niemców przymierza się z pistoletu do Kanisa – dużego, brązowego kundla. Widzi to wujek, podbiega do niego i krzyczy: „nein, nein!” Wujek dostrzega, że jeden z Niemców jest starszy, chyba sierżant, więc zwraca się do niego: „Głupi pies, nie strzelać, nie trzeba”. Niemiec zna polską mowę, bo opuszcza pistolet, macha do drugiego ręką, zawiesza sobie broń na ramieniu i spoglądając na wujka mówi: „Szpek, słonina, wódka, dawać!” Wujek lekko się uśmiecha: „gut, gut” – mówi. Bierze Niemca pod rękę, zaprasza gestem do chałupy i kiwa na tego drugiego. Tamten rozgląda się jeszcze po podwórku, tak na wszelki wypadek. Wzrok jego prześlizguje się po mnie. Wolno wchodzi do sieni...

Zaimponował mi wujek swoją odwagą. Przecież jest to starszy, nieco pochylony pan z sumiastymi włosami i jasną, rzadką czupryną, ale z jakże mądrymi, niebieskimi oczami. Przechodząc koło cioci, stojącej w sieni, rzuca krótko: „daj prędko słoninę i chleb” – i już zaprasza Niemców do stołu. Sam sięga do kredensu, stawia na stole pół litra wódki (bimbru), rozstawia talerze oraz kładzie widelce. Żołnierze już są w kuchni, a widząc stojącą na stole butelkę oraz talerze rozsiadają się szeroko na ławach. Sierżant zdejmuje czapkę, ociera sobie chustką pot z czoła. Jest gruby, twarz jego jest czerwona. Luzuje sobie mundur pod szyją, rzuca czapkę na łóżko. Wnet pojawia się słonina i chleb, wujek napełnia szklanki – sobie troszeczkę, Niemcom do pełna. Słyszę jak mówią: „gut, gut – dobry szpek” i zaraz chwytają za szklanki. Wujek mówi „prosit” i wszyscy razem wychylają pierwszy toast do dna. Żandarmom oczy trochę wychodzą na wierzch, bo to czysty bimber, ale ratują się sięgając łapczywie po słoninę i chleb. Pistolety maszynowe, które im teraz przeszkadzają, odkładają na łóżko obok. Widzę to wszystko stojąc w kącie sieni obok cioci, która kroi nożem chleb na szerokiej desce. Niemcy siedzą tyłem do nas i mnie nie widzą. Wujek stara się z nimi jakoś porozumieć. W pewnej chwili jego oczy zatrzymują się na mnie. Podnosi się z krzesła, idzie do cioci, odbiera od niej pokrojony chleb. Tym razem spogląda na mnie groźnie i mówi cicho: „zmykaj”. Nie trzeba mi dwa razy powtarzać. Już oprzytomniałem, już wziąłem się w garść. W jednej chwili jestem na podwórku, gdzie leżą zabite kury, gęsi, kaczki. Uchylam furtkę do ogródka i pomykam schylony wąską ścieżką obok uli w stronę ogrodu. Na wysokości stodoły z krzaków wyłania się nagle jakaś ręka, która chwytą mnie i błyskawicznie wciąga w gęstwinę bzu, pokrzyw, powoju i innego zielska. Za chwilę Jurek przykładą palec do ust i prowadzi mnie w dalszą gęstwę zieleni, gdzie jesteśmy całkowicie niewidoczni. Obok nas jest stodoła i płot oddzielający nas od podwórka. Siedzimy cicho i czekamy. Jurek co pewien czas przykładą oko do szpary w płocie i patrzy co się dzieje na podwórku.

Po pewnym czasie wychodzi z chałupy gruby sierżant, czerwony jak burak, lekko zatacza się na nogach, za nim wyskakuje ten drugi – też bardzo chwiejny. Pistolety maszynowe zarzucone mają niedbale na plecy, czapki w rękach. Sierżant dopina sobie pas na wystającym brzuchu. Są zadowoleni, coś szwargoczą do siebie. Widzimy jak ciocia i wujek zbierają zabite kury, gęsi, kaczki i układają je przy otwartej furtce. Potem wujek daje każdemu Niemcowi coś zawinięte w papier. Jeden z nich zostaje przy furtce, drugi idzie na wieś. Słychać warkot motoru. Wraca ciężarówka ze zrabowaną we wsi żywnością. Wujek mówił później, że zabrali krowę, kilka świń – to było widać – na dnie skrzyni natomiast było pełno zabitego drobiu, słoniny i innego mięsa. Samochód zatrzymał się pod kasztanem przy furtce. Niemcy wrzucają swój łup do jego wnętrza, a sami gramolą się do skrzyni. Gruby sierżant popędza ich. Sam ładuje się do szoferki i wóz wolno rusza. Zjechał z górki i zaraz motor zaczyna wyć, koła grzęzną

w głębokim piasku, krowa ryczy, słychać chrząkanie świnek, dochodzi do nas głośny śmiech żandarmów siedzących na burtach skrzyni.

Okrażamy z Jurkiem stodołę i kucamy w krzakach. Z górki widać doskonale, jak żandarmi zeskakują z ciężarówki i pchają ją pod wzniesienie, aż ryczący silnik wyciąga ją na twardszy grunt. Tu już jest lepiej, wskakują do niej w końcu znikają. Wracamy do chałupy. Wujek siedzi przy stole, na którym stoją nieuprzątnięte jeszcze talerze i resztki jedzenia. Jest zmęczony i wyczerpany nerwowo. Swoimi zabiegami obronił rodzinę i dobytek przed rabusiami. Ciocia poszła do pokoju położyć się do łóżka. Sprzątam z Jurkiem stół, potem idę po Stacha i pozostałych, aby wracali.

Tym razem nikogo nie zabrali, nikogo nie zastrzelili, przyjechali tylko po łupy. Nie zawsze tak będzie. Przychodzi mama i szyje u cioci oraz u znajomych. Schodzą się do niej kobiety prawie z całej wsi. Mama ładnie szyje, ceruje, potrafi haftować, wszyscy podziwiają piękne kwiaty wykonane przez nią na poduszkach, serwetkach. Kilka dziewczyn pod jej okiem uczy się szycia.

Wieczorami lubiłem siadać z wujkiem na ganku. Wszędzie cisza, słychać tylko szelest liści wielkiej lipy. A my z wujkiem rozmawiamy o tym co się dzieje, o wojnie, o polityce, że w Polsce nie było wszystkim dobrze, że nie była ona mocarstwem. Polska powinna utworzyć federację państw od Bałtyku po Morze Czarne – jak to było zamysłem Piłsudskiego. To było dla mnie coś nowego, nie wiedziałem o tym. No, mój wujek był czytany, miał niewielką biblioteczkę, potrafił ciekawie opowiadać o swych polowaniach, zwierzętach, pszczołach, o drzewach, o przyrodzie.

Kończą się wakacje, czas wracać do domu. Następuje skrętne pakowanie zdobytych wiktuałów w paczki i powrót tą samą trasą co zawsze do Warszawy.

Klasę 7 rozpoczynamy w podziemiach Bazyliki. Jednocześnie od połowy października będę chodził na tajne komplety, na których będę przerabiał program 1 klasy gimnazjalnej. Jak to będzie wyglądało, dowiem się w odpowiednim czasie. Jest to sprawa poważna, obowiązuje tajemnica, trzeba być ostrożnym. Wiadomość przekaże mi moja wychowawczyni pani Bańkowska. W ten sposób zetknąłem się z tajnym nauczaniem, jakie istniało za okupacji. Były to komplety liczące od 3 do 6 osób, rzadko kiedy więcej. Zbierano się na lekcje w prywatnych mieszkaniach, przeważnie u rodziców uczniów. Uczono się z podręcznika, częściej jednak z notatek robionych w zeszycie.

Nie odczuwam żadnego dreszczyku emocji czy strachu, bowiem jestem nieświadomy czym to grozi. Czuję jednak, że to poważna sprawa i już później wiem, że w przypadku dekonspiracji narażeni jesteśmy na ostre represje.

W połowie października, po skończonych lekcjach, wezwała mnie do siebie moja wychowawczyni i powiedziała tak: „Dziś o godz. 15-tej pójdziesz do pani Dzieźbickiej i zanieśes jej te 5 zeszytów z lekcjami z języka niemieckiego do sprawdzenia”. Do drzwi miałem zapukać w określony sposób: puk – przerwa – puk, puk. Pomyślałem sobie, że to właśnie tak się zaczyna.

Pani Dzieźbicka mieszka w budynku dla nauczycieli, w zespole gmachów szkolnych przy ul. Otwockiej zajętych przez wojsko niemieckie. Wchodzi się tam przez bramę, której pilnuje niemiecki wartownik. W razie czego mam mówić, że niosę zeszyty do poprawki. Wychodzę z domu przed wyznaczonym czasem. Skręcam w Siedlecką i już z daleka widzę przed bramą wartownika. Stoi nieruchomo, karabin wisi mu z przodu na piersi. Oparł sobie na nim obie ręce i lustruje oczami ludzi spod baniastego hełmu. Przechodzę na jego stronę i idę wprost na niego. Na razie nie zwraca na mnie uwagi, ale że zbliżam się do niego, już patrzy na mnie. Ja podchodzę do bramy i bez pytania skręcam w jej prześwit. Chyba zdumiała go moja bezczelność, bo na chwilę zaniemówił, ale już słyszę głośne: „halt!” Wiem co to znaczy. Zatrzymuję się natychmiast i odwracam w jego stronę. „Ausweis” – słyszę, a później – gdzie idziesz?” Mówi jakby gwarą śląską, a więc dogadamy się chyba. „Idę do nauczycielki i niosę jej te zeszyty do sprawdzenia” – odpowiadam i otwieram je przed jego nosem. Jest tam piękna lekcja języka niemieckiego, specjalnie dla niego przygotowana. Zerka tam przez moment, potem patrzy na mnie: „Ja, gut, dobrze. Ty idź schnell, prosto, ruszaj, weg!” Macha ręką popędzając mnie. Idę oczywiście prosto, bo czuję, że ogląda się za mną. A z boku, o kilka metrów ode mnie, stoją na naszym szkolnym podwórku ich samochody wojskowe, ciężarowe, osobowe, ciągniki, kuchnie polowe i jeszcze jakieś inne pojazdy. Patrzą w tamtą stronę nie odwracając głowy. Dochodzę do wąskiego chodniczka, który prowadzi do budynku nauczycielskiego i znikam w wąskiej sieni. Na drugim piętrze pukam w umówiony sposób. Drzwi otwiera pani Dzieźbicka. Odbiera zeszyty i zaprasza mnie do pokoju. Wchodzę – przy okrągłym stole siedzą kolega i koleżanka z mojej klasy, moi dobrzy znajomi. W szkole nikt nie wiedział kto będzie uczył na komplety; było to otoczone tajemnicą, do której dopuszczono tylko wybranych i zdecydowanych uczniów.

Na tajne nauczanie będziemy przychodzić tylko w trójkę, gdyż większa liczba osób mogłaby zwrócić uwagę Niemców. Pani Dzieźbicka była wieloletnią profesorką w gimnazjum. Skończyła wyższe studia. Była małego wzrostu garbuską. Zawsze ubrana na czarno, czyściutka, potrafiła doskonale radzić sobie z uczniami. „Widzę, że się znacie – powiedziała na wstępie – doskonale! Będziecie przerabiać tu program I klasy gimnazjum. Ja będę prowadziła lekcje języka niemieckiego oraz historii starożytnej. Podręcznik do nauki domowej przekaże wam kolega Zet. Nic nie będziemy pisać, wszystko należy

zapamiętać”. Rozłożyła przed nami atlas historii starożytnej, otworzyła bogato ilustrowany podręcznik na środku stołu i rozpoczęła wykład. Trzy głowy pochyliły się nad atlasem. Cisza była kompletna, słychać było tylko przytłumiony głos profesorki. Tutaj państwo kartagińskie, Asyria, Egipt, Fenicjanie, a za oknem wokół nas Niemcy. Dosłownie wokół nas, bo tajne nauczanie odbywało się w środku koszar.

Po przeszło godzinnej lekcji pani profesor szybko dokonała korekty naszych zeszytów z języka niemieckiego i zaczęliśmy kolejno wychodzić. Opuszczaliśmy mieszkanie w odstępach 10-15 minutowych. Nikt z nas dotychczas nie był na wartowni, a to było ważne, bo tam zapisywali dokąd się idzie. Nie zawsze tak się udawało. Zależało to od wartownika, który stał przy bramie, ale wkrótce Niemcy zaostrzyli rygory dotyczące wejścia na teren koszar i było znacznie gorzej. Pozostałe przedmioty, takie jak łacina, jęz. polski, matematyka – mamy już poza terenem koszar, w mieszkaniu naszej koleżanki na ul. Łochowskiej i u naszego kolegi na ulicy Siedleckiej. Jest nas teraz pięcioro: trzy koleżanki – Danusia P., Hania K., Irenka G. oraz Zbyszek Karasim i ja. Od matematyki i łaciny mamy nowego profesora. Polskiego uczy nas pani Bańkowska. Lekcje trwają zwykle 2 lub 3 godziny co drugi dzień, każdego dnia w innym miejscu. Zasada jest taka sama: trzeba przyjść dokładnie o wyznaczonym czasie, pojedynczo, by nie zwracać uwagi sąsiadów. Wejścia i wyjścia poszczególnych osób tylko w pewnych odstępach czasowych (koleżanki czasami wychodziły po dwie). Oczywiście umówione pukanie do drzwi. Później wystawiano obowiązkowy kwiatek w oknie; jak był – wszystko w porządku, można wejść. Jeśli go nie było – niebezpieczeństwo, należy oddalić się natychmiast.

W listopadzie zaczyna się zima. Z nieba spadają płatki śniegu, przychodzi mróz. Jest to dla nas bardzo ciężka zima. Mieszkanie wychłodzone, nie ma już czym palić. Spiżarnia robi się pusta. Na początku grudnia mama z tatą jadą na wieś po żywność. Biorą koszule, swetry, materiały, a przywożą słoninę, mięso, jaja. Czasami na wsi się słyszy: „a dobrze tym warszawiakom, nareszcie teraz mają gorzej, za dobrze im się powodziło”. To mówią nieliczni chłopcy, których nie dotknęła jeszcze zawierucha wojenna. Większość jednak handluje czym się da i w ten sposób poprawiają sobie sytuację. Obie strony są zadowolone, że nie idzie to w ręce Niemców. Szmugiel staje się wszechobecny, ale i niebezpieczny. Żandarmi stale już obstawiają „ciuchcie”, konfiskują żywność, a na dodatek łapią ludzi i wywożą do Niemiec.

Pamiętam jak rodzice przyjechali raz z takiej podróży do domu. Mama cała zaśniewiona, tata miał od mrozu białe brwi i wąsy. Wyprawa nie udała się całkowicie. Część żywności Niemcy zrabowali w Grójcu, a później w Warszawie. Ocalało tylko to, co mama miała ukryte pod ubraniem, a tata pod płaszczem. Gdy zdjęła swoje stare karakuły okazało się, że jest obwieszona kilkoma kielbasami. Tata miał pod płaszczem tramwajarskim podwieszony polcie słoniny, a na plecach i brzuchu płaskie paczki, w których było mięso. Rodzice wrócili zmordowani i wyczerpani fizycznie i psychicznie. Niemcy bezlitośnie grabili wszystko.

Wojska niemieckie podobno są już pod Moskwą. Ale podobno zamarzają im motory w czołgach. Gazety podają, że front na okres zimy zatrzymał się na strategicznych pozycjach. Pana Przedmojski podczas wizyty u nas informuje, że Rosjanie odrzucili Niemców o ileś tam kilometrów do tyłu. Są setki zabitych i rannych Niemców. W Afryce trwa ofensywa brytyjska, bije się tam Brygada Strzelców Karpackich, w której służy wujek Piotrek. Coś zaczyna powoli się zmieniać w wojennych zmaganiach obu stron. Wujek Władek przychodzi i do tych wiadomości dodaje nowe: do szpitali warszawskich przywieziono dużo odmrożonych żołnierzy niemieckich prosto spod Moskwy.

Druga wiadomość – atak japoński na Pearl Harbour na Hawajach. Ameryka przystępuje do wojny po stronie Aliantów! No, teraz Hitler to już wojny nie wygra! Poprawia się samopoczucie nas wszystkich. Zima jednak trwa. Mróz zamalował całkowicie szyby w naszym mieszkaniu. Tylko gdy gotuje się obiad jest trochę ciepła. Ubieramy się w co tylko można. Karbidówkę palimy krótko, wcześniej kładziemy się spać. Kawęczyńska zawalona śniegiem – w szkole dłuższa przerwa świąteczna z powodu braku opału.

## Trzeci rok

W zimie wybucha w Warszawie epidemia tyfusu. Trudne warunki mieszkaniowe, głód, brud, nieusunięte gruzy, wszystko to sprzyja epidemii. Rozpełza się ona na wszystkie dzielnice, nie oszczędza więc i Pragi. Niemcy wprowadzają obowiązkowe szczepienia. Kartę żywnościową otrzyma tylko ten, kto ma zaświadczenie o szczepieniu przeciwtyfusowym. Jedziemy więc na Grochów do przychodni i tam się szczepimy – mama i ja. Tata w swoim zakładzie pracy.

W połowie stycznia rozpoczynają się znów zajęcia na tajnych kompletach. Do klasy 7-ej szkoły powszechnej chodzę już bez przekonania. Wiem, że to jest konieczne, ale nie poprowadzi mnie to dalej. Dla części moich kolegów jest to koniec wszelkiej nauki. Po skończeniu 7-ej klasy idą już do pracy. Dla tych, co chcą dalej się uczyć, przygoda ze szkołą trwa nadal.

Idę na lekcje – tajne komplety – do pani Dzieźbickiej. Mróz, zima w pełni. Wartownik niemiecki przed bramą w kożuchu, na głowie gruba czapa z nausznikami, na rękach rękawice i grube futrzane buty na nogach. Karabin ma przewieszony przez ramię, chodzi tam i z powrotem i raz za razem chucha w zziębnięte palce u rąk. Podchodzę jak zwykle. „Halt!” Pokazuję więc starą, ograną już sztuczkę z zeszytami do jęz. niemieckiego, ale coś musiało się stać. Niemiec gniewnie macha ręką, popycha mnie do bramy i krzyczy: „Nach wache, rechts nach Wache!” Widzę przed sobą jego rozszoszczoną twarz. Co u licha? Każe mi iść na wartownię. Pod swetrem, na brzuchu, mam zeszyt do historii, a na zewnątrz, pod pachą te zeszyty z lekcjami jęz. niemieckiego. Idę więc przez bramę, skręcam w prawo pod czujnym okiem wartownika i przechodzę tuż przed oknami „Wache”, skąd patrzą na mnie niemieccy żołnierze. Otwieram drzwi zewnętrzne i wchodzę do korytarza. Przy stoliku, pod ścianą, siedzi wartownik z karabinem, na prawo drzwi zamknięte, na nich duży napis: „Wache”. Już wiem co robić – na tę okoliczność też zostaliśmy przygotowani. Pukam do drzwi, otwieram je i zdejmuję czapkę. W środku jest bardzo widno, palą się wszystkie lampy. Przy oknie stoi stół, obok krzesło, na którym siedzi rozwalony młody niemiecki blondyn. Siedzi tyłem do mnie, mundur ma rozpięty, nogi rozłożone na drugim krześle. Na moje głośnie: „Gut Morgen!” odwraca głowę i podnosi zdziwione brwi. Przy sąsiednim stole siedzi dwóch żołnierzy niemieckich i grają w szachy. Spod stołu wystają lufy karabinów. Podchodzę do blondyna. Przygląda mi się przez chwilę. Widzi, że pod pachą mam jakieś zeszyty. Patrząc mi prosto w oczy wolno wyciąga mi je. Zdejmuje nogi z krzesła, kładzie zeszyty na stole, otwiera jeden z nich, pochyla się nad nim i ruszając mocno brwiami zaczyna na głos wolno czytać: „Vater und Mutter sitzen am Tische und lesen”. Przerzywa nagle i pytająco patrzy na mnie. Dwaj żołnierze grający w szachy podnieśli głowy znad szachownicy. Na chwilę zapada cisza. „Was ist das?” – pyta mnie po chwili. „Das ist meine funfte lektion” – odpowiadam bez zająknięcia. „Wohin gehst du?” „Ich zu frau Dzieźbicka“. Niemiec patrzy na mnie, bierze pióro do ręki, przysuwa do siebie duży otwarty brulion i zaczyna pisać. Widzę jak wstawia kolejny numer, godzinę przyjścia, kto przyszedł (uczeń – schuler) i zabiera się do napisania tego najgorszego dla niego wyrazu. Pyta raz jeszcze: „Wie nahmen?” „Dzieźbicka” – odpowiadam uprzejmie. Niemiec stara się coś napisać, trwa to dosyć długo, chyba coś kaligrafuje, zaczyna sapać, w końcu rzuca pióro na stół i mówi (do siebie chyba) „genug”. Obraca się do mnie gwałtownie i pokazując ręką na drzwi wrzeszczy: „Weg!” Wiem co to oznacza. Zgarniam szybko zeszyty ze stołu, wycofuję się na korytarz i wkładam czapkę. Idę przez podwórkę do budynku nauczycielskiego, gdzie mamy lekcje, ale czuję, że przez okno odprowadza mnie para czujnych, nieprzyjaznych oczu.

U pani profesor jest tylko jedna koleżanka. Zbyszka K. nie ma. Pani Dzieźbicka mówi: „To jest już ostatnia lekcja w moim mieszkaniu. Niemcy stali się czujni i podejrzliwi, nasiliły się represje w stosunku do nas. Na wartowni, jak widzicie, ciągle się powtarza to trudne dla nich do wymówienia moje nazwisko. Na pewno coś zaczną podejrzewać, ostrzegali mnie już nasi sąsiedzi. Nie kuśmy więc losu. Od dnia dzisiejszego lekcje odbywać się będą poza obrębem koszar Wehrmachtu. Tak będzie bezpieczniej dla nas wszystkich”.

Po godzinie wychodzę pierwszy i znów idę na „wachę”. Służbę ma ten sam żołnierz. Skwapliwie odnotowuje godzinę mojego wyjścia. Mówię grzecznie „Auf Wiedersehen” do mego blondyna i na tym nasza znajomość na szczęście się kończy. Wychodzę przez bramę na siarczysty mróz i oddycham głęboko. Przytupujący wartownik w kożuchu zostaje za moimi plecami. Czuję wyraźne odprężenie.

Od tego czasu komplety odbywały się już poza koszarami Wehrmachtu, w mieszkaniach rodziców uczniów. Ponieważ wszyscy byli ze Szmulek, więc na lekcje mieliśmy blisko, bo na ul. Siedlecką, Łochowską i Kawęczyńską. W naszym mieszkaniu odbywały się tylko 2 razy. Profesorowie doszli do wniosku, że pojedyncze mieszkanie nie nadaje się do takich celów. Najlepsze byłoby wieloizbowe, np. pokój z kuchnią, a jeszcze lepiej, gdyby miało drugie wyjście.

Niemcy ustalili godzinę policyjną w zimie na 20-tą. Patrole żandarmów aresztowały każdego spóźnialskiego, ba – strzelały bez ostrzeżenia do ludzi. Nieraz po tej godzinie słyszano się w oddali lub pod oknami głośnie „halt!”, strzały i tupot podkutych butów. Zaczęto wyciągać ludzi niespodziewanie z własnych mieszkań. Odbywało się to przeważnie nocą. Musieliśmy więc spać czujnie i nasłuchiwaliliśmy.

Jednej nocy, gdzieś po godz. 24-tej jeszcze nie śpimy. Na ulicy panuje cisza. Wtem z oddali słyszymy warkot nadjeżdżającego samochodu, który nagle cichnie. Słychać tylko szum toczącego się pojazdu i bicie opon po „kocich łbach”. Podjeżdżając pod wybraną kamienicę gestapo przeważnie już z daleka wyłączało silnik samochodu. Wyskakuję z otomany i podchodzę do okna. Tato z mamą stoją za moimi plecami. Na ulicy ciemno, palą się tylko niektóre latarnie gazowe. Czy pojedą dalej czy zatrzymają się pod naszą bramą? Widzę, pod ostrym kątem w prawo, że jakiś samochód zatrzymał się pod kamienicą nr 34, po drugiej stronie ulicy. Głośnie walenie do bramy, krótki hałas, postacie ludzkie zlewają się ze ścianą budynku. W jednym z okien na drugim piętrze zapala się nagle jaskrawe światło. Widać na firance poruszające się gwałtownie cienie ludzkie. Po chwili wyprowadzają kogoś przed bramę. W smudze światła z latarni widać tylko części dolne postaci: dwa ciemne długie płaszcze po bokach

i ktoś w spodniach pośrodku. Wybucho głośny płacz kobiecy. Jakaś szarpanina przed samochodem – nie widać tego dokładnie. Silnik auta już warczy, czarne sylwetki znikają w środku. Pojazd zakręca ostro, przetacza się przez rynsztok i odjeżdża szybko w stronę miasta. Na chodniku przed bramą zostaje ciemna, samotna postać kobiety. Podchodzi do niej druga, obejmuje ją i obie znikają w budynku. Głośny łoskot zamykanej bramy kończy ten nocny napad.

W domu najlepiej było wieczorami, kiedy pod kuchnią mógł się palić ogień. Piec kaflowy dawał trochę ciepła, mama siadała pod nim na stołeczku i grzała sobie plecy. Na stole paliła się karbidówka. Tata po pracy odpoczywał, leżał na otomanie, a ja wtykałem mu w ręce zeszyt od łaciny, by mnie przepytał z gramatyki. Minęło sporo czasu nim opanowałem podstawy tego języka.

Teraz każdy Polak musiał mieć Kenkartę, czyli tzw. dowód osobisty ze zdjęciem, obok którego musiały być odbite linie papilarne dwóch jego palców. Ja miałem jeszcze legitymację szkolną, czyli *offentliche polnische volksschule* nr 192. Kenkartę otrzymałem na początku 1944 roku.

Umarła ciocia Zosia na Ignacowie. Na pogrzeb jedzie tylko tata, mama zostaje. Chodzę na tajne nauczanie i lepiej żeby ktoś z dorosłych został ze mną. Pogrzeb ciotki odbywa się w ścisłym gronie rodzinnym.

Urywa się, już od dłuższego czasu, korespondencja od wujka Piotrka, który jest w Afryce. Jeszcze nie wiemy co się stało, bo jakiegokolwiek wiadomości z tamtej strony idą bardzo długo lub nie dochodzą wcale. Później dowiadujemy się, że zginął śmiercią żołnierza. Brygada Strzelców Karpackich po wyjściu z Tobruku zabezpiecza odwrót armii brytyjskiej pod naciskiem nowej ofensywy Rommla. Dochodzą do Ghazali i tu właśnie ginie wujek Piotrek. W dniu 10 lutego 1942 roku. W tym dniu w czasie nalotu zginęło 4 żołnierzy, a 34 zostało rannych. W księdze poległych żołnierzy polskich poza granicami kraju jest taki zapis: „Piotr Glicharz – poległ 10 lutego 1942 roku. Tobruk. Libia C.P. (pochowany w Tobruku, Libia, cmentarz poległych)”. Tego wszystkiego dowiedzieliśmy się dopiero w roku 1945.

W czerwcu kończę klasę 7-ą i definitywnie żegnam się ze szkołą powszechną. Świadectwo otrzymuję z rąk mojej wychowawczynie pani Bańkowskiej. W podziemiach Bazyliki do zebranych 7-klasistów przemawia krótko dyrektor, pan Brzozowski, a potem tworzą się samorzutnie małe grupki dyskutantów, które stopniowo maleją. W pewnej chwili widzę jak kiwa na mnie ręką moja wychowawczynie. Podchodzę do niej i razem odchodzimy na stronę. Informuje mnie, że zostałem dopuszczony do egzaminu do II klasy gimnazjum im. Władysława IV na tajnych kompletach. Podaje mi dokładnie, kiedy to będzie i gdzie mam się zgłosić.

W wyznaczonym dniu jadę tramwajem na Grochów, patrząc czujnie czy nie ma gdzieś łapanki. W pierwszym wagonie, tzw. motorowym, dwie pierwsze ławki od strony motorniczego zostały przeznaczone dla Niemców. Przedział ten oddziela od pozostałych tylko zwykła deska. Widzimy się więc wzajemnie i obserwujemy. U nas ścisk niemożliwy i tłok, a tam rozwalony na ławce jeden gruby Niemiec. Wsiadam przy ul. Podskarbińskiej i idę pieszo w stronę Terespolskiej. Kieruję się do bramy Instytutu Weterynaryjnego. Wchodzę przez małą furtkę i kieruję się wprost do budynku, w którym mieści się laboratorium. Pukam do drzwi i na gromkie „wejść!” – śmiało włączę do środka. W niewielkim pomieszczeniu, w świetle małej lampy pracuje trzech panów. Dwóch ubranych w białe fartuchy, trzeci w marynarce siedzi przy biurku i coś pisze. To właśnie do niego mam podejść. „Dzień dobry” – mówię głośno i jestem zaskoczony, bo dwaj panowie w fartuchach odpowiadają mi: „Jest dobry”. Podchodzę do tego w marynarce i mówię: „Jestem od pani Marii” (jest to imię pani Dzieźbickiej). A on mi odpowiada: „Doskonale. A co tam się stało?” Mężczyzna za biurkiem uśmiecha się do mnie, uśmiechają się też dwaj pozostali. Jeden z nich puszcza do mnie perskie oko. Sytuacja momentalnie rozładowuje się i jest jednoznaczna. „My teraz wyjdziemy na trochę – powiada ten w marynarce i wstaje zza biurka – a wy zadbajcie, by nikt nam nie przeszkadzał”. Opiera mi rękę na ramieniu i wychodzimy na klatkę schodową. Kluczem otwiera następne drzwi i znajdujemy się w małym pokoju, stanowiącym coś w rodzaju magazynu. Jest tam małe stoliczek, krzesło i skrzynka. On siada na krzesło i wskazuje mi skrzynkę. „No, a teraz powiedz mi czego się uczyłeś?” – zadaje mi pytanie i tak zaczął się mój egzamin. Odpowiedzi są ustne z poszczególnych przedmiotów, natomiast rozwiązania przykładów i zadań z matematyki robię w zwykłym zeszytce w kratkę, na tym maciupkim stoliku. Profesor pilnie śledzi moje poczynania, zadaje pytania, czasem prostuje wypowiedzi. Po przeszło 2 godzinach patrzy na zegarek. „W porządku” – jest zadowolony. „Egzamin zdałeś. Jesteś teraz uczniem II klasy gimnazjalnej. Gratuluję!” Notuje tylko moje nazwisko i imię, natomiast dalsze wiadomości – co, gdzie i kiedy – dostanę po wakacjach od osoby, która mnie już dobrze zna. Podaje mi rękę na pożegnanie i mówi: „Pamiętaj o naszej zasadzie – nie daj się złapać Niemcom. Do zobaczenia”. Tak wyglądał mój pierwszy egzamin gimnazjalny. Mój profesor ma rację. Nie daj się złapać! 25 lipca 1942 roku kończę 14 lat i Niemcy już polują na takich jak ja. Łapanki i oblawy na Polaków są stale i wszędzie. Wywożeni na roboty do Rzeszy pracują w fabrykach i na roli. Ale też wywożeni są do Oświęcimia, Treblinki, Majdanka i innych obozów koncentracyjnych. Słyszymy o strasznej siedzibie Gestapo w Al. Szucha, gdzie przesłuchują i katują złapanych Polaków oraz Pawiaku, skąd już prawie wcale nie ma powrotu. Wszyscy Żydzi są już zapędzeni do getta.

Ciocia Jasia ma syna Wojtka. Mieszkają wraz z wujkiem Ludwikiem na ul. Cmentarnej, na parterze jednopiętrowego domku. Ulica jest wysypana żużlem, a naprzeciwko wznosi się czerwony mur Cmentarza Bródnowskiego. Wujek Ludwik pięknie gra na harmonii Hohnera i wraz ze swym bratem Józkiem, skrzypkami, grywają jakiś czas w knajpie na ul. Targowej, by związać koniec z końcem.

Ciocia Bogusia przesyła nam fotografię swego synka Piotrusia. Ma on już 2 latka. Siedzi sobie na foteliku z małym dzwoneczkiem w ręku. Dostał imię po swym ojcu Piotрку (tym, który walczył w Afryce). Mieszkają u teściowej w mieszkaniu na ul. Jagiellońskiej, ale warunki są tam ciężkie. Ciocia Rena ma syna Mirka. Mieszka razem ze swym mężem Stefanem na Saskiej Kępie.

Pewnego dnia rozmawiam z kolesiami ze Szmulek. Jeden z nich chwali się, że był w kinie na przedwojennym polskim filmie pt. „Królowa przedmieścia”. Teraz w ogóle nie przyszedłoby mi do głowy, żeby iść do kina, bo na takie sprawy nie było pieniędzy. Ale zazdrościłem mu jednak. Na parę dni przed moim wyjazdem na wieś zderzam się z nim na ulicy. „Chodź do kina – mówi – do tajnego, nie byłes jeszcze w takim”. Tajne kino – pierwszy raz słyszę o czymś takim. Oponuję, bo nie mam pieniędzy, ale mój kolega, nie pamiętam jak się nazywał, kiwa niedbale ręką. „Spokojna głowa, jakoś to będzie”. Od Ząbkowskiej wchodzimy w ul. Tarchomińską i skręcamy w prawo do bramy jednej z kamienic. Drzwi jednego lokalu są uchylone i w progu stoi człowiek. Mój kolega pozdrawia go, wchodzimy do przedpokoju, gdzie znajduje się... kasa. Przyjaciel mój uiszcza opłatę za wejście i zamienia parę słów z inkasującym. „Dobra – słyszę – ale na razie w przedpokoju”. Zostaję więc w przedpokoju, ale przez otwarte drzwi do pokoju widzę, że w nim jest ze 20 osób, przeważnie młodych chłopaków. Większość stoi, ci co na przodzie siedzą lub klęczą na podłodze. Za ich plecami stoi na statywie, pod ścianą, aparat filmowy z dwoma dużymi bębniami. Okna są zasłonięte czarnymi roletami. Gaśnie światło i zaczyna się polski film pt. „Czarna perła”, dźwiękowy. Dźwięk z głośnika jest stłumiony, cichy, ale wszystko doskonale słychać. Oglądałem go początkowo z przedpokoju, lecz później wcisnąłem się do środka i było fajnie. Podobno właściciel kina przeznaczał część dochodu na prasę konspiracyjną i był pod cichym nadzorem AK.

Jadę znów na wieś do Ignacowa. Nie ma cioci Zosi. Pomagam w pracach polowych, pasę krowy i świnki. Rodzice postanowili odwiedzić brata mego ojca, Antoniego, który jest w Błażejowicach, powiat Rawa Mazowiecka. Podwozi nas tam Stacho i zostawia. Jesteśmy tam cały tydzień. Jest to wieś niepodobna do Ignacowa. Gospodarstwa są położone osobno, daleko jedno od drugiego, otoczone sadami i polami. Drogi gruntowe bardzo wąskie, przejezdne tylko dla furmanki. Poziom gospodarki rolnej niższy niż w Ignacowie. Po przyjeździe jesteśmy serdecznie goszczeni i patrzymy na siebie ciekawie, bo ja widzę ich po raz pierwszy. Chałupa stryjka jest już przy stawie, po którym pływają kaczki. Idziemy do sadu na czereśnie, prowadzeni przez Stacha i Cześka – synów stryja. Jest gorące popołudnie, połowa lipca. Czesiek siedzi na czereśni i przygina nogami gałęzie, na których aż się roi od soczystych owoców. Łapiemy lewą ręką gałąź, a prawą zrywamy garściami dorodne czereśnie. Stacho wyciąga nas na papierówki – pierwsze jabłka oraz na porzeczki. Zaraz za ogrodem łany złocistego zboża falują lekko pod podmuchami wiatru. Chodzimy po całym gospodarstwie, ogrodzie i polu. Wokół cisza i spokój. Nie widać żadnych Niemców.

Pewnego dnia Stacho pokazał mi, jak się łowi ryby w przydomowym stawie. Zabrał ze sobą duży, okopcony sagan, na którego ściankach przywarły resztki gotowanych ziemniaków. Poszliśmy nad staw. Zauważyłem, że jest tam sporo ryb, które żyją z kaczkami w najlepszej komitywie. Stacho wszedł do wody po kolana, zanurzył sagan w wodzie i czekał. Po pewnym czasie u jego nóg zrobiło się gęsto od ryb. Co która odważniejsza, to zaglądała do garnka i skrobała resztki ziemniaków. W końcu, jedna większa sztuka wpłynęła prawie cała do wnętrza naczynia. Stacho tylko na to czekał. Raptownie poderwał sagan z wody i wyskoczył na brzeg. Z wnętrza jego wylała się woda, a wraz z nią na trawę wyleciał ładny, duży karp, mocno trzepiąc ogonem o ziemię. Wkrótce mieliśmy też i drugą rybę. „Wystarczy, na kolację w sam raz” – zawyrokował mój brat stryjeczny i zakończyliśmy tak udany połów.

Jestem znów w Ignacowie i pomagam we wszystkich pracach polowych. Zrywam jabłka w sadzie, koszę koniczynę – nauczyłem się bowiem posługiwać również kosą, zwożę saradeli i siano.

Koniec wakacji i powrót do Warszawy. Gorączkowe szukanie dla mnie jakiejś szkoły, do której mógłbym uczęszczać – legalnej wobec władz niemieckich. W grę wchodzi tylko zawodowe, bo innych nie ma. Za namową jednej z mamy przyjaciółek decyduję się na mechaniczną przy ul. Chmielnej 88, do której chodził jej syn. Przyjmują tam chłopców po szkole powszechnej i przyuczają do zawodu ślusarza, tokarza, mechanika. Zawody te są przydatne dla okupanta. Szkoła daje dobre legitymacje i przepustki, które respektuje administracja niemiecka.

1 września jadę tramwajem do śródmieścia na Chmielną 88 i tam na wywieszanej liście widzę swoje nazwisko wśród innych uczniów klasy I C. Idziemy na drugie piętro i rozchodzimy się do swoich klas. Od razu, bez żadnego pieszczenia, rozpoczynają się lekcje. Warsztaty, czyli zajęcia praktyczne, zaczynają się od 15 września na ul. 11 Listopada na Pradze.

W nocy z 1 na 2 września mamy niespodziankę. Wyją syreny fabryczne i parowozów. Alarm lotniczy. Gasną nagle wszystkie światła w domach i na kolei. W głębokiej ciszy nocnej, gdzieś tam na ciemnym niebie, słychać warkot. I nagle rozbłyskują flary zapalające, spadają wolno na spadochronach i oświetlają wszystko dokoła jaskrawym światłem. Kontury budynków widoczne są przez kilka długich chwil jak w dzień. Wtem słychać świst lecących bomb i po chwili przytłumione wybuchy. Dzieje się to daleko od nas. Okazało się, że był to nalot samolotów sowieckich. Od tego czasu naloty te będą się powtarzały kilkakrotnie.

W trzy dni po tym dostaję „cynk” od znajomego kolegi o rozpoczynających się lekcjach na tajnych kompletach gimnazjum Władysława IV. Mam zgłosić się następnego dnia na ul. Siedlecką 15. Numeru mieszkania nie pamiętam. W tym dniu został utworzony nowy komplet uczniów klasy II, w którym znalazłem się i ja. Kolegami moimi byli: Kądziela, Kubiński, Strzałkowski, Kowalski, Masny i Sawoń. Uczyliśmy się „lotnie”. Przez dłuższy czas punkt nasz mieścił się na ul. Siedleckiej w mieszkaniu państwa Kubińskich, na III piętrze. Ze względów bezpieczeństwa wynaleziono szereg innych miejsc, gdzie się zbieraliśmy, umiejscowionych w różnych częściach Pragi. Chłopcy przychodzili z książkami i zeszytami ukrytymi pod swetrami, na brzuchu, z książkami niedozwolonymi przez hitlerowców. Za uczęszczanie na tajne komplety groziła przecież kara śmierci; w najlepszym wypadku wywózka do obozu koncentracyjnego. Szpicle węszyli za takimi sprawami i mógłby zwrócić ich uwagę ciągły ruch do jednego mieszkania w tej samej kamienicy. Toteż po ulokowaniu naszych lekcji w kilku innych mieszkaniach poprawiło się i nasze samopoczucie.

Historii nauczyliśmy się na ul. Księcia Ziemowita na Targówku, w mieszkaniu rodziców Kowalskiego; niemieckiego i matematyki na ul. Łochowskiej na Szmulkach w mieszkaniu Sawonia; łaciny zaś na ul. Brzeskiej, naprzeciwko szpitala kolejowego w mieszkaniu Masnego. Wykłady prowadzili profesorowie Flak i Janiszewski.

Pewnego dnia idę na lekcję historii na ul. Ziemowita. Wychodzę z krętych uliczek Szmulek, z Wołomińskiej na Radzymińską. W oddali widzę wiadukt i nasyp kolejowy oraz pętlę tramwajową linii 7. Uderza mnie, że na ulicy jest pusto. Jakiś nieznamy mężczyzna zza rogu domku na Wołomińskiej kiwa na mnie ręką. Zatrzymuję się, cofam między płoty i podchodzę do niego. „Panie młody, nie chodź tam pan – łapanka” – ostrzega mnie. Wyglądamy teraz obaj zza sztachet drewnianego ogrodzenia. Widzimy odjeżdżające „budy” ze złapanymi ludźmi. Na końcu każdej platformy widnieją postacie dwóch żandarmów z karabinami. Czekam jeszcze kwadrans. Na ulicy pojawiają się ludzie, rusza wolno tramwaj linii 7, jedzie platforma na gumach ciągnięta przez jednego konia. Zaczyna się zwykły ruch uliczny. Wychodzę na Radzymińską, przechodzę koło pętli tramwajowej, zanurzam się pod wiadukt kolejowy i skręcam w prawo. Obok mnie idzie jakaś kobieta. „Co się stało?” – pytam się jej. „Zabili Bahnschutza (kolejarza niemieckiego) przy nastawni na nasypie” – odpowiada mi babina i ostrzega: „Ty uważaj, bo pojedziesz na Skaryszewską”. Na ul. Skaryszewskiej mieścił się punkt zborny wszystkich zatrzymanych w łapance przed wywiezieniem ich na roboty do Niemiec. Dochodzę do ul. Ziemowita i przechodzę obok domku, do którego mam wejść. Widzę w oknie na parterze wystawione kwiaty w doniczkach. Zawracam więc i pukam do drzwi. Otwiera mi sam Kowalski, więcej nikogo nie ma. Czekamy, lecz nikt nie przychodzi. Łapanka, która odbyła się przy wiadukcie kolejowym na Radzymińskiej, nie pozwoliła kolegom i profesorowi przyjść na lekcje. Tym razem lekcja historii się nie odbyła. Czasami tak się zdarzało.

Wszyscy po cichu powtarzają taką dziwną nazwę: El Alamein. Co to jest? Już wiemy: Anglicy zastopowali niemiecką ofensywę w Afryce. Dobra nazwa. Oby tak dalej.

Oficjalnie uczęszczam do szkoły mechanicznej. Trzy razy w tygodniu jadę tramwajem na Chmielną 88 na wykłady i zaliczenie poszczególnych przedmiotów, takich jak matematyka, obróbka materiałów, rysunek techniczny itp. Trzy dni mam praktykę, czyli warsztaty na ul. 11 Listopada. Jednego dnia szkoła, następnego warsztaty i tak na zmianę. Zajęcia lekcyjne są po południu, warsztaty od 8.00 do 16.00. Budynek warsztatów to jednopiętrowa hala z czerwonej cegły w głębi podwórza wyłożonego „końskimi łbami”. My praktykowaliśmy na I piętrze. W hali stały ustawione po jednej stronie w dwóch rzędach stoły obite blachą. Do każdego z nich przykręcone było duże imadło ślusarskie. To były nasze stanowiska. Na pozostałej powierzchni hali ustawione były różne maszyny, służące do obróbki metalu – wiertarki, szlifierki, tokarki, obrabiarki.

Instruktor wyjaśnił nam, co będziemy robić. Na pierwszą pracę wszyscy dostali jeden temat – zasuwę. Przeszedł wzdłuż naszych stanowisk i każdemu rzucił na stół kawał surowego metalu – płaskownik grubości 12 mm, kwadrat blachy grubości 4 mm i 2 małe kluski żelaza. Z tego miała powstać prawdziwa zasuwa, zamykana na łamany klucz. No i do dzieła. Nie tylko ja trzymałem pierwszy raz pilnik w ręku. Męczyliśmy się z tym okropnie. Trzeba było to opilać, wygładzić, wyrównać, odpowiednio przyciąć, wywiercić, zgiąć, przynitować, a na końcu miało to błyszczeć jak... słońce. Zasuwa wymagała od nas prawie wszystkich czynności wykwalifikowanego ślusarza, a my dopiero raczkowaliśmy. Niektóre nasze początkowe wyroby instruktor po krótkim obejrzeniu natychmiast wrzucał do kosza na tzw. braki i kiwał głową nie mogąc się nadziwić, jak można sknocić taką prostą

robotę. Delikwent natychmiast dostawał nowy kawał metalu do obróbki ze słowami pociechy: „No, teraz jak sknocisz, to będziesz płacił. Pospiesz się, bo będzie dwója”.

Okazało się jednak, że stopniowo opanowaliśmy technikę pracy z metalem i później robiliśmy już dobrze bardziej skomplikowane elementy. Przydało się to w życiu ogromnie. Raz zdarzył się wypadek: chłopak przez nieuwagę przewiercił sobie wiertarką elektryczną palec u ręki. Wiertło przeszło przez całą kość na wylot. Rykszą rowerową odwieziono go do szpitala Przemienienia Pańskiego.

O 12.00 mieliśmy przerwę na posiłek. Wychodziliśmy wtedy na boisko szkolne mieszczące się po drugiej stronie ulicy. Tam siadaliśmy na murawie i każdy pałaszował swój chleb z marmoladą przyniesiony z domu. Miałem w tym poważny kłopot, ponieważ rozkład zajęć w tej szkole i na warsztatach kolidował z moimi lekcjami na tajnych kompletach. Nie można było bowiem zwalniać się, nie zaliczać, nie zdawać, gdyż szkoła miała nadzór władz niemieckich. Przyuczenni tutaj byli bardzo potrzebni do pracy w zakładach działających na potrzeby wojska i stąd brała się ta kuratela. Musiałem coś z tym zrobić. Przedłożyłem swoje kłopoty prof. Janiszewskiemu, który był naszym wychowawcą (na kompletach). Porozumiał się on wkrótce z dyr. Ursakiem i wnet zapadła następująca decyzja: ponieważ nie mogę uczęszczać na lekcje jednego kompletu, będę chodził na lekcje z poszczególnych przedmiotów na różne komplety, w godzinach które mam wolne od zajęć w szkole zawodowej i na warsztatach. Decyzja ta pozwoliła mi kontynuować naukę w tajnym gimnazjum.

Na lekcje geografii i botaniki, prowadzone przez profesora Sparrowa, uczęszczałem na ul. Stalową na godz. 9.00 rano. Był tam komplet kolegi Burharda. Uczyliśmy się w oficynie na parterze w pokoju, do którego wchodziło się z podwórka przez mały oszklony ganek. Następnego dnia, na lekcje języka polskiego, chodziłem na ul. Wileńską do państwa Gałekkich. Piękne, trzypokojowe mieszkanie na II piętrze, od frontu błyszczało zawsze czystością. Wykłady prowadził prof. Sosnowski. W środku tygodnia miałem lekcje łaciny. Odbywały się one wieczorem, o godz. 18.00, w mieszkaniu rodziców kolegi Sawonia na ul. Łochowskiej, na II piętrze kamienicy naprzeciwko ogródka jordanowskiego. Lekcje matematyki odbywały się na ul. Brzeskiej w kamienicy naprzeciwko Dworca Wileńskiego. Nie pamiętam już dalszych szczegółów. Był taki ładny niepisany zwyczaj, że prawie zawsze profesorów prowadzących wykłady częstowano herbata.

Raz przyszedłem do mieszkania państwa Gałekkich na Wileńską tuż po zakończeniu łapanki. Na moje pukanie drzwi uchyliła mi przerażona pani Gałeczka: „Skąd się tu wziąłeś? Przed chwilą byli tu żandarmi. To jest łapanka. Lekcji dziś nie będzie”. Wycofałem się więc pośpiesznie, a tu w bramie łapie mnie za rękaw dozorca i wciąga z powrotem na podest: „Poczekaj pan trochę. Nie odjechali jeszcze. Stoją na Inżynierskiej” – powiada. Odczekuję więc jeszcze trochę. Dozorca wygląda z bramy na ulicę, daje mi znak ręką. Droga wolna – wtapiam się w zwykły ruch uliczny.

Muszę tu powiedzieć, że rodzice, którzy udostępniali swe mieszkania na naukę, byli ludźmi odważni. Wiedzieli, że ryzykują własnym życiem, ale wiedzieli również, że tylko w ten sposób mogą pomóc własnemu synowi czy córce. Należą im się słowa najwyższego uznania.

W ten sposób udało mi się skoordynować zajęcia w obu szkołach: tej tajnej i tej legalnej. Wymagało to ode mnie dużego trudu i było bardzo męczące. Musiałem ciągle szwendać się po mieście, jeździć tramwajami, chodzić pieszo. Byłem w ciągłym ruchu – a to już było niebezpieczne.

Ulice Warszawy były przeważnie zapełnione ludźmi (jak nie było łapanki). Tam, gdzie zawsze chodziłem, Chmielna róg Marszałkowskiej, było pełno przechodniów, czy to za dnia czy wieczorem. W okresach wzmożonego terroru panowały pustki – kto mógł, to siedział w domu. Ulice wtedy były pełne patroli żandarmerii i spotykało się je wszędzie. Nieraz ocierałem się o niebezpieczne sytuacje. Spotkanie z patrolem żandarmerii nigdy nie należało do przyjemności i zawsze było wielką niewiadomą.

Idę ulicą Targową do księgarni po książkę. Była tam przy rogu ul. Brukowej malutka księgarnia. Mijam ul. Korsaka i figurkę Matki Boskiej. Wokół mnie pełno szarych ludzi gdzieś śpieszących. Przemykają się chodnikiem, każdy z jakimś zawiniątkiem lub koszykiem w ręku. Wtem z daleka dostrzegam trzy hełmy niemieckie wystające ponad głowy ludzkie. Zbliżają się w moim kierunku. To patrol żandarmerii. Mają specjalne mundury, z szyi zwisają im blachy z trupimi czaszkami, w ręku pistolety maszynowe gotowe do strzału. Chłopy rosłe, potężne – trzy byczki niemieckie. Tłum przechodniów rozstępuje się przed nimi na obie strony, a oni posuwają się wolnym krokiem tupiąc buciorami o płyty chodnika i obserwując spod hełmów przechodzących ludzi. Idą tyralierą przez całą szerokość chodnika; są panami ulicy. Mogą każdego zatrzymać, zrewidować, aresztować, zastrzelić na miejscu. Tu nie wolno wahać się ani przez moment. Trzeba iść spokojnie prosto na nich, patrząc gdzieś przed siebie drętowymi oczami i ustąpić im miejsca, schodząc na jezdnię, minąć ich obojętnie, bez zwracania uwagi na siebie, aby nie zaczęli. Przeszli – uff, udało się i tym razem.

Znów nadeszła zima. Od pewnego czasu mroźna, pełna śniegu i wiatru. Zawieje potworzyły duże zaspasy na drogach i ulicach. W mieszkaniu chłodno, głodno i ciemno, bo okna zasłonięto kapami z łóżka, by było cieplej. Na ulicach dzieje się coś nowego. Niemcy zabierają przechodniom futra, kozuchy, pelisy i palta. Po prostu wybierają z tłumu człowieka odpowiednio odzianego i zdzierają



z niego ciepłe ubranie wprost na ulicy. Armia niemiecka zamarza na wschodnim froncie i na gwałt potrzebuje ciepłych okryć. Widocznie panuje tam jeszcze sroższa zima.

Pewnego wieczoru przychodzi niez mordowany pan Przedmojski – oczywiście z gazetą. Jest w grubym swetrze, a twarz czerwona od mrozu. Wiadomości są rewelacyjne. W listopadzie Niemcy ponieśli druzgocącą klęskę pod Stalingradem. Moc ich żołnierzy dostało się do niewoli wraz z generałem Paulusem. Jest to pierwsza tak potężna klęska hitlerowców na froncie wschodnim.

Od pewnego czasu widzę w różnych miejscach wymalowane na murach czarną farbą kotwicę i literę P. Jest to symbol Polski Podziemnej, która czuwa i walczy. Znaki te podnosiły nas na duchu, a wzbudzały wściekłość Niemców.

## Czwarty rok

Mimo siarczastej zimy lekcje na tajnych kompletach trwają. Nie poddajemy się, mimo że w pomieszczeniach, w których przebywamy, panuje przenikliwe zimno. Profesorowie siedzą w paltach, my w swetrach i innych dodatkowych okryciach. Stajemy się coraz bardziej ostrożni i czujni, bo licho nie śpi. Jak zwykle sygnałem rozpoznawczym jest kwiatek w oknie lub palące się światło w dzień. W razie niebezpieczeństwa należy ostrzegać wszystkich.

17 stycznia 1943 zdesperowani Niemcy swymi niepowodzeniami na froncie wschodnim urządzają w Warszawie wielką łapankę. Przeprowadzona zostaje we wszystkich dzielnicach miasta. Łapią ludzi na ulicach, wyciągają z tramwajów i kolejek, obstawiają całe bloki domów, wyciągają z mieszkań mężczyzn i kobiety. Obstawiono szereg kościołów – ponieważ była niedziela – i zagarniano ludzi wychodzących z nabożeństw. Przez cały dzień krążyły po mieście „budy”, ulice pustoszały, słychać było poszczególne strzały. Łapanka była przed bazyliką i w tamtym rejonie. Tata po przyjeździe z pracy opowiadał, jak ludzie wyskakowali z jego wagonu, gdy zobaczyli co się dzieje. Specjalnie wolniej prowadził tramwaj, żeby mogli wyskoczyć, ale nie mógł więcej zrobić, bo Niemcy wszystko widzieli i przynagli go machaniem rąk. Obawiał się, że motorowych też mogą zgarnąć, lecz po wybraniu ludzi kazali odjeżdżać. Tego dnia nie wychodziliśmy nigdzie z mieszkania, wiadomości docierały do nas z klatki schodowej przez sąsiadów, czekaliśmy na wydarzenia. Jakiś młody człowiek uciekając przed złapaniem od strony bazyliki przeskoczył przez mur na podwórku i schronił się do naszej klatki schodowej. Ktoś otworzył mu strych i on schował się tam między trzonami kominowymi. Nikt po niego nie przyszedł i w ten sposób ocalał.

Na warsztatach pracujemy nad drugim tematem. Nieśmiertelna zaszuwa już została zrobiona i przekazana instruktorowi. Teraz jedni robią zawiasy, inni zamek suchaldowy. Po 17 stycznia, po przyjeździe na warsztaty, instruktor zwołuje nas na odprawę. Przerywamy zajęcia. Władze niemieckie potrzebują nas natychmiast do robót pomocniczych dla wojska. Jedni, bardziej zaawansowani ze starszych klas, będą demontować na lotnisku Okęcie rozbite i uszkodzone samoloty niemieckie. Mają z nich wyciągać elementy nadające się do ponownego montażu. Resztę przeznaczają na złom. Mają pracować pod okiem niemieckiej obsługi naziemnej. Na rękawach mają nosić żółte opaski. Nas, z klas młodszych, przeznaczają się do zajęć prostszych. Będziemy remontować dla niemieckich szpitali wojskowych metalowe łóżka. Praca nasza odbywać się będzie w pomieszczeniach byłego Pałacu Rzeczypospolitej na Placu Krasieńskich. Papiery będą słabsze od papierów naszych starszych kolegów, ale lepsze niż zwykłe szkolne. Pracę zaczynamy od jutra. Ja znalazłem się w grupie drugiej.

Następnego dnia zbiórka przed 7 rano na Placu Krasieńskich. Jest nasz instruktor i jakiś Niemiec ubrany po cywilnemu. Dzieli nas na dwie grupy, które będą pracować na zmianę co drugi dzień. Zostajemy skierowani do pałacu, gdzie wchodzimy bocznym wejściem, od strony dawnej Komory Celnej, prowadzeni przez nieznanego cywila. Idziemy przez dużą, wysoką salę na parterze. Naszym oczom ukazują się taki widok: zwały futer rzucone na piękne wyściełane fotele, popękane wielkie lustra na ścianach, kamienne posągi bogiń i bożków podziobane, poobtrącane, plafony poszczerbione, pełno stylowych mebli, szaf, stolików, gablot ustawionych chaotycznie. Wąskim przejściem, wśród tego zebranego bogactwa, dochodzimy do klatki schodowej, wchodzimy na I piętro i tam przez małe drzwiczki dostajemy się do wąskich schodków, którymi wychodzimy na II piętro, czyli na poddasze. Są tam takie małe okienka widoczne dzisiaj, gdy jadąc autobusem popatrzymy w stronę Pałacu Krasieńskich. Parapet znajduje się tam na wysokości kolan, a sufit na wysokości głowy. W tych pomieszczeniach znaleźliśmy się wśród stosu starych, zardzewiałych, metalowych łóżek, które mamy remontować. Łóżka pochodziły z różnych szpitali, schronisk, z grabieży od ludzi prywatnych, ale przede wszystkim z getta żydowskiego. Instruktaż był krótki: poreperować, co trzeba ponitować, powymieniać sprężyny, oskrobać i pomalować na biało. Raz w tygodniu niemiecka ciężarówka będzie przywoziła nowy transport do remontu. Praca od 7 rano do 17 wieczorem. Na obiad mamy przychodzić o 13-tej, we dwóch, z tym oto kociołkiem, do budynku dawnej Komory Celnej, w której mieści się kuchnia żołnierska. Miski blaszane i łyżki dostaniecie. Auswajsy będą dla was dzisiaj po skończonej pracy.

I tak zaczęliśmy tę pracę. Było jeszcze ciemno, gdy jechałem tramwajem przez most Kierbedzia do ul. Miodowej, a stamtąd na Plac Krasieński. Wdrapywałem się na poddasze, podpisywałem listę (bez podpisu nie było obiadu), przebierałem się i do roboty. Gdy łóżko było w stanie dobrym, to oskrobanie go ze starej farby i pomalowanie białą było bardzo proste. Gorzej, gdy trzeba było coś nitować, wymieniać sprężyny. Wtedy praca przy nim trwała dłużej. Pracowaliśmy po parę osób w każdym niziutkim pomieszczeniu. Pilnował nas ten sam cywilny Niemiec lub folksdojcz. O 13-tej przerwa na obiad. Chodziliśmy do sąsiedniego budynku dwupiętrowego na zupełną grochową lub kapuśniak. Najważniejsze, że była gorąca, bo parowało obficie. Wracaliśmy do siebie na poddasze i tam rozlewało się zupełnie do blaszanych misek. Każdy z nas konsumował ją z przyniesionym z domu chlebem. Zupy były dobre, takie jak dla Wehrmahtu.

Praca przy odnawianiu łóżek spowodowała dodatkowe kłopoty z tajnym nauczaniem. Znow musiałem zmieniać grupy, w których się uczyłem, a niektóre lekcje w ogóle opuszczałem. Dowiadywałem się co przerabiano w tym czasie, co zadano, douczałem się eksternistycznie. Ale to było bardzo ciężkie i czułem, że nie nadążam za programem. Szczególnie na samym początku, w styczniu, lutym i częściowo w marcu. Niemcy w grudniu 1942 roku ponieśli klęskę pod Stalingradem. Przywieziono wielu rannych i odmrożonych żołnierzy. Zapotrzebowanie na łóżka gwałtownie wzrosło. Muszę przyznać, że to nas niezmiernie ucieszyło. Wiedzieliśmy jedno: dostali porządnego łupnia – nie żadne tam „skrócenie frontu”.

Nie puszczali nas do domu o 17-tej. Pracowaliśmy do 19-tej, by przed godziną policyjną, czyli 20 znaleźć się w domu. Niejednokrotnie wpadałem do bramy tuż przed jej zamknięciem. Całe szczęście, że pani dozorczyńni przezornie czekała przy zamkniętej bramie na spóźnialskich. Wracało się tramwajem nabitym ludźmi do granic możliwości. Wszyscy chcieli zdążyć do domu przed godziną policyjną. Jak wbiłem się do środka to było dobrze, jak nie – wisiałem na zewnątrz, trzymając się metalowych rączek wejścia. Zresztą ludzie oblepiali wagony wszędzie: stali na zderzakach, na stopniach, na wszelkich wystających elementach konstrukcji pojazdu, tak że prawie zawsze wisiały „winogrona” z boków i z tyłu tramwaju. Tak się jeździło. W środku konduktor siedział lub stał w jednym miejscu, bo nie mógł się ruszać – taki pył tłok. Ludzie kupowali u niego bilety, a przy wysiadaniu wrzucali je z powrotem do jego torby. Był to prawdziwy sabotaż niemieckiej komunikacji miejskiej, bo konduktor sprzedawał ten sam bilet kilka razy i w rezultacie przywoził do zajezdni bardzo mały utarg. Zarobionymi zaś w taki sposób pieniędzmi załoga tramwaju dzieliła się sprawiedliwie. Każdy dostawał swoją działkę: motorowy i 2-ch konduktorów jeśli skład był dwuwagonowy. Nieraz tata przynosił do domu zarobione w ten sposób pieniądze.

W połowie marca zrobiło się lżej. Nacisk na wyremontowane łóżka szpitalne zmalał, pracę kończyliśmy o 17-ej. Wszystko wróciło do normy. Trochę więcej czasu miałem na naukę.

21 marca mamy niespodziankę. Wychodzi dodatek nadzwyczajny. Mali gazeciarze biegają po ulicach i krzyczą: „Hiszpania przystąpiła do wojny” – oczywiście po stronie „Osi”. Każdy kupuje gazetę. Nawet Niemcy. A tam po paru pierwszych zdaniach: „(...) dalej zostawmy w spokoju Hiszpanię i zajmijmy się sprawami Polski. Nasza siła zbrojna na Zachodzie walczy... itd., itd”. Wszystkie wiadomości tajne, z którymi tak walczył okupant, znalazły się w tym wydaniu. Każdy mógł to na własne oczy przeczytać, zanim się w tym żandarmi połapali. Numer ten wykreśliły Niemcom tajne drukarnie podziemia.

W tym czasie przeżywałem taką oto historię. Zadarliśmy się z moim dawnym kolegą Genkiem Kazimierzakiem, który też chodził do tej samej szkoły co ja. Odgrażał się on nieraz, że jak mnie dorwie, to sprawi mi tęgie lanie. Miał swoją paczkę koleśków i mieszkał tak samo jak ja na Kawęczyńskiej. Ale poszedłem na remont i jakoś ta sprawa zeszła na drugi plan. Zawarłem za to przy remoncie łóżek znajomość z Tomkiem, chłopakiem mocnej postury, trochę się jაკającym. Mieszkał na Starym Mieście, w małej kamieniczce przy jednej z tych wąziutkich uliczek. Raz byłem u niego: malutkie mieszkanie, babcia jego siedziała na małym stołeczku i obierała kartofle. Jakoś dogadaliśmy się z Tomkiem. Tematy, które poruszaliśmy przy pracy były ciekawe, przypadliśmy sobie do gustu. Czasem razem skrobaliśmy jedno łóżko. No i tak, w tych pogaduszkach przy malowaniu, wyszedł na wierzch mój problem z Genkiem K. Tomek, który uczęszczał do innej klasy niż ja, ostrzegł mnie, że Genek i jego paczka podburzają innych kolegów i szykują się na mnie. „Ale nic się nie bój. Będziesz walczył z Genkiem sam na sam. Moja w tym głowa”. I zaczął dawać mi cenne wskazówki co do bicia. Jedną z nich zapamiętałem do dnia dzisiejszego. „Wal prosto w mordę – powiedział – i chowaj swoją twarz przed ciosem”. Wynikała z tego prosta prawda, że sprawa musi być załatwiona. Nie ma na to rady. Nikt mnie w tym nie wyreczy. Ja też jestem ze Szmulek i o niejedno się otarłem.

Kończyła się ostatnia lekcja w szkole na Chmielnej. Był wieczór i paliły się lampy na korytarzach i klatce schodowej. Już na ostatnich lekcjach Genek i jego poplecznicy głośniejszymi wyrazami opisywali, co będzie ze mną po wyjściu ze szkoły. Pozostali koledzy zachowywali neutralność, ale byli bardzo ciekawi co się szykuje. Jeśli to ma być bijatyka, to będzie ciekawe widowisko. Nie można tego nie zobaczyć. Wychodzę na korytarz, za mną sunie Genek ze swoimi kumplami. Zaraz otaczają nas koledzy

i kierujemy się do klatki schodowej. Pojawia się Tomek i idzie obok mnie. „Będzie walka na podeście i piętra. Tam nauczyciele nic nie będą widzieli” – mówi i klepaniem po plecach dodaje mi trochę otuchy. Czy się bałem? Na pewno tak, ale wiedziałem, że muszę przez to przejść, tylko nie wiedziałem z jakim skutkiem.

Stoimy już na podeście: ja, Tomek, Genek i jego paczka. Otaczają nas koledzy; z których część zasiadła na schodach jak na jakiejś trybunie. Kładę teczkę na podłodze pod ścianą. Podbiega do mnie Genek, bije mnie pięścią od tyłu. Rzucają się na mnie jego kolesie. Tomek wali potężnie jednego i drugiego i wrzeszczy: „sam na sam, a nie kupą na jednego!” Chłopaki na schodach podnoszą ryk. Kilku z nich wpada między nas i rozdziela kłębiących się na podeście. Tomek i paru innych odpychają znajomków Genka na bok. Jak walka, to musi być sprawiedliwa. Zostajemy we dwóch na podeście. Wiem jedno, bo Genka znam – bije się chaotycznie, młóci rękami jak cepami. Ja muszę boksować na pięści. I uważać, uważać! Genek rzuca się na mnie z obiema rękami przed sobą, dosięga mojej twarzy. Obrywam w nos, a pod okiem rośnie prawidłowych kolorów piękna śliwa. Za gapiostwo się płaci. Jego przyjaciele już ryczą: „po ryju go, po ryju!” Przypomniały mi się wskazówki Tomka – przecież on tak samo mówił, może używał trochę innych wyrazów. Skupiłem się. Genek znów na mnie idzie. Uchyliłem się od jego ciosów i palnąłem go mocno dwa razy pięścią w buźkę. I zaraz zobaczyłem w jego oczach coś, jakby zawahanie. Znów się starliśmy, ale ja walczyłem teraz na śmierć i życie. Jeszcze raz trafiłem go w nos, a później w usta. Ucho miał już takie samo jak moje. Zaczęła mu ciec krew z rozbitej wargi. Powstrzymałem jego młócenie rękami i oddawałem cios za cios. Genek zaczął się cofać, a ja waliłem. Poplecznicy jego umilkli, a widownia rozgrzana walką zaczęła mnie dopingować: „lej go, jeszcze raz” – słyszałem wokół. Ale ja nie chciałem dalej lać mojego dawnego kolegi. Jakoś mi to nie pasowało do tego, co miałem już poukładane w głowie i zwolniłem akcję. Tomek, widząc że sprawy mają się dobrze, wkroczył między nas, rozdzielił i powiedział tak by wszyscy go słyszeli: „Panowie, już dosyć! Wszyscy chyba widzieli, że walka była sprawiedliwa. Ogłaszam koniec widowiska!” Koledzy podskoczyli do mnie, zaczęli poklepywać po plecach i ramionach: „No, dałeś mu wycisk, szkoda, że to się tak szybko skończyło” – mówili z żalem. „Było dobrze – powiedział Tomek – a teraz podajcie sobie ręce”. Wyciągnąłem rękę do Genka, a on niechętnie podał mi swoją. Schodzimy na parter otoczeni już kupą sympatyzujących z nami kolegów. Genek zostaje w tyle tylko z jednym przyjacielem. Tak zakończyła się ta sprawa. Potem miałem w szkole całkowity spokój i dużo przyjaciół. Zapamiętałem to doskonale: jak najwięcej przyjaciół, zaś wrogów wcale. Z czasem wydarzenie to zatarło się w pamięci mojej i Genka. Po jakimś miesiącu podeszliśmy do siebie i zaczęliśmy rozmawiać normalnie, jakby nic się nie wydarzyło.

Z Tomkiem rozstałem się po zakończeniu I roku szkoły mechanicznej na ul. Chmielnej. Potem straciłem z nim kontakt całkowicie. Nie wiem co stało się z nim w czasie Powstania. Przecież całe Stare Miasto zostało zburzone i spalone. Wszystkie te sprawy sprawiły, że brakło mi czasu na naukę na tajnych kompletach. Praca przy łózkach zajmowała mi niemal cały dzień; przychodziłem zmęczony i wtedy w ogóle nie byłem na lekcjach. Zacząłem mieć trudności z matematyką, bo nie mogłem systematycznie uczęszczać na wykłady prof. Jankowskiego, a to był bardzo ważny przedmiot. Z pozostałymi przedmiotami jakoś dawałem sobie radę. Jak zbawienia doczekałem się drugiej połowy kwietnia i wtedy już zacząłem odrabiać zaległości. Ale nie ze wszystkimi mi się udało. Na koniec roku szkolnego 1942/43 zdałem wszystko z wyjątkiem matematyki. Egzamin ten przełożony na po wakacjach.

Idąc do szkoły obserwujemy wielkie, gęste, czarne kłęby dymu nad śródmieściem. Trwa walka Żydów w getcie z Niemcami, którzy chcą je całkowicie zlikwidować. Ludzie powtarzają z trwogą nazwy koncentracyjnych obozów śmierci: Oświęcim, Treblinka, Majdanek, Stutthof.

Jadę tramwajem do szkoły. Jest dosyć ciasno. We wnętrzu wagonu, nad oknami, znajduje się miejsce na umieszczanie reklam czy ogłoszeń. Widzę jak ludzie wpatrują się w jedną z... Ale to nie jest reklama. Nad zabitym polskim oficerem w zielonym, wojskowym płaszczu, unosi się wielka łapa sowieckiego NKWD-zisty. Cała umazana jest we krwi, która spływa z palców na sukno polskiego żołnierza. Duży ukośny napis krzyczy czerwonymi literami: Katyń! Jeszcze w tej chwili nie wiemy czy to jest prawda czy niemiecka propaganda. To Niemcy ujawniają informację o odkryciu w Katyniu masowych grobów pomordowanych przez NKWD oficerów polskich.

W domu coraz gorzej. Mama dokonuje cudów, by z niczego upichcić jakiś obiad, odmawiając sobie wszystkiego. Często ją widzę, jak wieczorami odmawia w kąciu różaniec. Tata pracuje od rana do nocy, czasem po 12 godzin, aby mieć więcej wyjeżdżonego czasu i przynieść parę groszy więcej. Znów wrócił z pracy pobity przez Niemców. Nie chce o tym mówić, ale z jego kilku słów wynika wszystko. Prowadził swój wagon normalnie. Pomost, gdzie pracuje motorniczy jest „nur für Deutsche”. Jednemu z nich nie podobało się, że tata przy hamowaniu kręcił tą dużą korbą od hamulca ręcznego. Ojciec poprosił go, aby się cofnął trochę, a ten walnął go w twarz. To był gestapowiec.

Przypomniał sobie tata swoje umiejętności krawieckie. Przecież jest krawcem męskim, zaczyna więc po cichu przyjmować różne prace do wykonania. A to przyjdzie jakiś znajomy kolejarz, aby skrócić mu spodnie, kolega tramwajarz ma płaszcz porwany – chce przerobić go na kurtkę dla syna, jakaś pani, znajoma mamy, prosi by poprawić i jej palto, a temu zwięzić marynarkę itd. Zamówienia nie sypią się

jak z rękawa, ale od czasu do czasu maszyna do szycia warczy. Działalność ta poprawia trochę rodzinny budżet, ale nie na długo. Wszystko jest bardzo drogie. A zatem znów wyprawa rodziców na wieś po żywność, tym razem nieudana. Przywożą niewiele, większą część rabują żandarmi podczas ostrej rewizji w Piasecznie. Całe szczęście, że się tylko na tym skończyło.

Przyjeżdża brat mamy Genek Ryglewicz z Nowego Dworu. Zostawia u nas swój rower i wychodzi na miasto, bo ma coś kupić i sprzedać. Wychodzi i nie wraca. Następnego dnia obcy zupełnie człowiek przynosi nam kartkę od niego, na której napisane są tylko dwa słowa: „złapali mnie, siedzę na Skaryszewskiej”. Mama pędzi tam natychmiast. W budynku szkolnym siedzą zatrzymani w łapankach, czekając na wywóz do Niemiec. Pod drewnianym, szczelnym, wysokim płotem stoją ludzie, których bliscy zostali złapani. Wyglądający z okien szkoły przerzucają przez płot różne drobne przedmioty, owinięte czasem papierem. Są to wiadomości zza płotu. Wartownicy o dziwo przymykają na to oczy. Mama widzi Genka w oknie między innymi młodymi ludźmi. Coś jej pokazuje rękami, coś mówi, krzyczy, ale w tym zamieszaniu niewiele można wyłowić słów.

Mama wraca do domu. Po wujku zostaje przedwojenny rower na drewnianych obręczach i z wywiniętą kierownicą. Będzie u nas przez dalszy czas okupacji, aż do zakończenia wojny. Rozłożony na części spoczywa pod łóżkiem rodziców.

Któregoś dnia wracam z pracy tramwajem. Jest jakieś zamieszanie w pierwszym wagonie. Tramwaj zatrzymuje się na Wiadukcie Pancera, tuż przed mostem Kierbedzia. Ze środka rosły żandarm z cywilnym osobnikiem wywlekają jakiegoś człowieka w białym płaszczu i biją go tuż obok nas. Wszyscy w wagonie momentalnie ucichli. Patrzymy co się dalej stanie. Oprawcy kopiąc go i tłukąc, wloką między sobą i oddalają się w kierunku Wisły. Tramwaj rusza, wjeżdża wolno na most, a my oglądając się widzimy jak bity człowiek przewraca się na bruk.

Zaczynają się naloty rosyjskie. Od tego czasu będą się powtarzały coraz częściej. Będą nas trzymały ciągle w pogotowiu. Działo to strasznie na nerwy moich rodziców i udzielało się mnie. Ledwo człowiek zapadł w pierwszy sen, a tu wyją syreny. Znamy to z września 1939 roku. Wiemy co to jest. Część nocy w ogóle nie śpimy. Układamy swoje ubrania starannie, by w razie nalotu każdy mógł od razu znaleźć odzież i szybko ubrać się po ciemku. Mieliśmy jeszcze dodatkowo własny sygnał ostrzegawczy o mającym nastąpić nalocie. Spałem na otomanie twarzą zwrócony w stronę białego, kaflowego pieca. Jeśli wszystko było w porządku, to na białych kaflach odbijały się światła lamp przy torach kolejowych Dworca Wschodniego, wpadające przez nasze okna. Była to taka poświata. Jeśli poświaty na kaflach nie było, oznaczało to, że za minutę będą ryczeć syreny i będzie nalot. Spałem bardzo czujnie, często jakby w takim półśnie, przez niedomknięte oczy cały czas obserwując kafle pieca. Gdy do godz. 2-3-iej w nocy nic się nie działo, wiadomo było, że już nalotu nie będzie.

Nastała noc z 12 na 13 maja. W pewnej chwili widzę, że nie ma białej poświaty na kaflach pieca. Zaraz będzie nalot! Rodzice szybko się ubierają, ja też i wychodzimy na ciemną klatkę schodową, bo światło już wyłączono. Otwierają się kolejne drzwi z obu stron korytarza – to poszczególni sąsiedzi schodzą na parter, a my z nimi. Trzymamy się poręczy i deptamy sobie po piętach. Wyszedłem na podwórko i wraz mamą i innymi ludźmi stanęliśmy pod murem wychodka, twarzami w stronę bramy. Stoimy w ciemnościach. Nad nami czern nocy, a spływające z nieba flary zapowiadają rychłe bombardowanie. Trupie, niebieskie światło oświetla co pewien czas nasze podwórko i nas. Na niebie słychać jęczenie motorów, lecz samolotów w ogóle nie dostrzegamy. Słychać także jazgot pelotek od strony Dworca Wschodniego. Widać w górze ogniki rozrywających się pocisków. Wtem warkot staje się intensywniejszy, głośnie, wyraźnie zmierza w naszą stronę i w tej chwili słyszymy narastający świst, gdzieś w oddali wybuch. Samolot zaczyna zrzucać bomby. Warkot się przybliży, maszyna leci nisko. Znów świst przechodzący w wysoką tonację, ale wybuch znacznie bliżej, warkot przewala się nad naszymi głowami i zaczyna się ten trzeci świst. Rozległ się ogłuszający huk. Ziemia zadrżała. Nogi zrobiły się miękkie, jak z waty. Warkot oddalił się, słabł i wreszcie ucichł. Odetchnęliśmy głęboko i popatrzyliśmy na siebie. Jeszcze chwila i parowozy gwiżdżą odwołanie alarmu – jednostajny długi sygnał. Wracamy do mieszkania po ciemnych schodach, wolno, zmęczeni i wyczerpani nerwowo.

Rano już wiemy, że ta trzecia bomba trafiła w narożnik fabryki mięsa na rogu ulicy Otwockiej i Łochowskiej, tuż przy mojej szkole powszechnej nr 192. Rozorała budynek aż do samej ziemi wywalając na ulicę stos pogruchotanych cegieł. Samolot zrzucił ją nad nami, ale prędkość jego oraz wiatr spowodowały, że zniosło ją dalej. Upadła w odległości 100-120 metrów od naszego podwórka.

Naloty trwają, a z nami jest coraz gorzej. Podczas jednego nalotu w czasie nocy, tata nie wytrzymał nerwowo i pobiegliśmy schronić się do Bazyliki. Cisza kompletna na ulicy, miasto zastygło w oczekiwaniu, a my przebiegaliśmy po chodniku jak cienie duchów. W podziemiu kościoła jest sporo ludzi, jedni się modlą, inni rozmawiają. Rażniej człowiekowi, gdy patrzy na grube stropy i mury. No i jest bliżej Boga.

Na wakacje wyjeżdżam do Heli i do wujka L. Hela ma już drugą córkę, Alę. Na Ignacowie spotykam wujka Władka, który pracuje u wujka L. Okazuje się, że za namową mamy zdecydował się przenieść tymczasowo na wieś i tam zatrudnił się jako stolarz. A ponieważ u każdego gospodarza jest coś do

roboty, to pracuje przechodząc od jednego do drugiego. Dla niego jest tak bezpieczniej, no i łatwiej mu się wyżywić. Robi również czasami zdjęcia rodzinne swoim starym aparatem fotograficznym. Ma on obiektyw wysuwany przy pomocy harmonijki na pewną odległość od szklanej kliszy. Zdjęcia robi jednak po cichu i tylko ludziom pewnym, polecanym przez wujka L.

Po niecałym miesiącu muszę wracać do Warszawy. Te wakacje mam krótkie. W czasie mojej nieobecności w domu mama pojechała do Grodziska Mazowieckiego, do swego brata Kazika. Wujek Kazik jest nauczycielem matematyki i zarazem dyrektorem szkoły. Uzgodniła z nim, że przez dwa tygodnie będzie udzielał mi lekcji, tak bym mógł nadgonić zaległości z 11 klasy gimnazjalnej. Wujek zresztą prowadził lekcje również na tajnych kompletach i zgodził się mi pomóc. Na ten czas mam zamieszkać u nich, w ich willi, bo córki wyjechały na wakacje do rodziny. Ciocia Ziuta zajmie się również moim wyżywieniem. Mam się stawić u wujka 1 sierpnia.

Odwoził mnie tata. Poszliśmy na dworzec kolejowy i po wykupieniu biletów chcieliśmy wsiąść do pociągu elektrycznego. Na dworcach przeważnie są łapanki i tata bał się o mnie. Wszędzie widzi się patroly żandarmów i bahnszuców, więc lepiej gdy jadę z tatą ubranym w służbowy mundur tramwajarski. Nagle hałas i podjeżdża skład pociągu podmiejskiego złożony z trzech wagonów. Tłum rzucił się w tamtą stronę, szturmując wagony siłą i wchodząc do nich przez okna i drzwi. Rozdzielono nas w tym zamęcie i niesamowitym tłoku. Mnie wepchnięto do przedziału przez okno, do którego sięgnąłem włączając na jakiś wypchany wór. Zleciałem z wysokości parapetu prosto na siedzących, którzy ułatwili mi lądowanie spychając z siebie na podłogę. Zaraz za mną wleciał przez okno worek, ale złapali go zrećnie podróżni, żeby ich nie przygniótł, bo był dosyć ciężki. Jak się okazało tata wcisnął się drzwiami i stał w przejściu do przedziału, w którym ja się znalazłem. Byliśmy jednak osobno.

Całemu temu widowisku przyglądali się z uśmiechem niemieccy bahnszuce. Na szczęście tym razem nie było w pobliżu żandarmów. W miarę oddalania się od Warszawy w wagonie robiło się luźniej, tak że w Grodzisku wysiedliśmy całkiem spokojnie. Trzeba było tylko przez cały czas uważać, czy gdzieś nie ma żandarmów. Wujostwo mieli dom niedaleko torów kolejowych. Prowadziła do niego wąska, nieutwardzona uliczka, porośnięta gęsto drzewami. Wnet zapukaliśmy do ich furtki. Wujek powitał nas serdecznie. Tata przebywał krótko, zostawił trochę artykułów żywnościowych i musiał zaraz wracać, by zdążyć do domu przed godziną policyjną. „Od jutra do pracy – powiedział wujek – muszę wiedzieć co umiesz i w czym mam ci pomóc, wstawiamy o 7-ej rano”.

Spanie miałem bardzo dobre, w małym pokoiku na piętrze. Ciocia robiła nam jedzenie, na które schodziliśmy do kuchni na parter. Nauka odbywała się w pokoju na piętrze z balkonem wychodzącym na ogród. Praca trwała od 8 rano do 16-tej, potem przerwa na obiad, następnie odrabianie zadanych przykładów do godz. 19, kolacja i czas wolny do 21-ej. O tej porze chodziłem spać, by mieć konieczny wypoczynek przy tak intensywnej pracy. I tak każdego dnia. Wujek wziął się za mnie ostro, ale serdecznie. Wysondował dokładnie co umiem, a czego nie pojąłem. Cierpliwie tłumaczył mi to, czego nie rozumiałem i spokojnie wprowadzał w zawilosci nauki ścisłej, jaką jest matematyka. Czasami aż się uśmiechałem po wytłumaczeniu przez wujka jakiegoś problemu, bo stawał się on dla mnie dziecinnie prosty. Łączyło się to codziennie z wykonywaniem zadań i przykładów pod okiem czujnego profesora. Dla uzyskania perfekcji odrabiałem dziesiątki innych zadań i różnych przykładów w czasie przeznaczonym na naukę osobistą. Przykładałem się do tego gorliwie, wiedząc że to jest moja szansa, którą dali mi rodzice. Zwłaszcza zrozumienie, to że już wiem, dawało mi pewną satysfakcję i radość. Do egzaminu poprawkowego przygotowywałem się więc dokładnie.

Ciocia miała mały ogród, gdzie trzymała w klatce króliki. Były one małe, wszystkie białe i niektóre pozwoliły się brać na ręce. Chwytało się je za uszy i sadzało na zgiętym przedramieniu. Futerko miały bardzo miłutkie w dotyku. Był też mały ogródek warzywny i kilka drzew owocowych. Parę razy pomagałem przy królikach, ale w zasadzie wujek nie chciał, bym przebywał w ogródku. Chodziło o sąsiadów i różnych ludzi, żeby nie widzieli u nich młodego człowieka. Przecież wujek prowadził również tajne nauczanie przed wakacjami, a i chyba miał zamiar robić to dalej. Tego tematu nie poruszaliśmy, lecz pewnego dnia pokazał mi schowek w ścianie, który przygotował dla siebie w przypadku łapanki, czy najazdu gestapo. W jednym z małych pokoików na pięterku była druga ściana drewniana w pewnej odległości od ściany zewnętrznej. Uchyłało się jedną z desek na zawiasach i przez otwór szerokości około 30 centymetrów wchodziło się do przestrzeni między ścianami. Po zasunięciu deski w dawne położenie miejsce było nie do wykrycia. Na ścianie wisiał jeszcze dodatkowo dużych rozmiarów kilim.

Ciocia codziennie przynosiła mleko. „Piłeś kiedy kozie mleko?” – zapytała. Odpowiedziałem, że piłem tylko krowie. „No, to teraz spróbujesz i orzekniesz które lepsze” – zakończyła. Przez cały czas mego popytu u wujostwa karmiony byłem co wieczór mlekiem kozim. Początkowo raził mnie jego zapach, ale wkrótce przywykłem do tego i uznałem je za pyszne. Oprócz walorów zdrowotnych miało wyborny smak. Młody organizm potrzebował tego w czasie, gdy w Warszawie racje były głodowe.

U wujka była duża biblioteka. Zainteresowała mnie tam książka St. Skarżyńskiego „Na RWD-5 przez Atlantyk”. Wujek wyciągnął mi ją i dał do przeczytania. „Kiedy ją będziesz czytał?” – dziwił się.

Ale ją przeczytałem. Było to wspaniałe przeżycie dla mnie, gdyż książka była napisana przez pilota, który dokonał tego wyczynu. Czytało się ją z zapartym tchem. Przy tak intensywnej pracy 2 tygodnie, spędzone u wujostwa w Grodzisku Mazowieckim, upłynęły bardzo szybko. Wracalem do domu podbudowany psychicznie znajomością realiów matematyki. Wracalem przez Dworzec Wschodni, gdzie znów powitały mnie wrzaski żandarmów na peronie. Zniknałem im z oczu wśród tłumu pasażerów i do domu dobiegłem szczęśliwie.

Tydzień później byłem już umówiony na egzamin z matematyki do prof. Janiszewskiego. Egzamin poprawkowy miał się odbyć w jego mieszkaniu, w kamienicy na ulicy Brzeskiej, w pobliżu Dworca Wileńskiego. Stawiłem się punktualnie. Sprawdzian mojej wiedzy matematycznej wyszedł nadzwyczaj dobrze, profesor był zadowolony (ja też) i zaliczył mi ten przedmiot. Teraz już bez żadnych przeszkód stałem się uczniem III klasy gimnazjum im. króla Władysława IV.

Zajęcia na tajnych kompletach miały się rozpocząć 3 września. W tym czasie uzyskałem ze Szkoły Mechanicznej świadectwo ukończenia 1 klasy wraz z zaliczeniem warsztatów. Przeszedłem więc do następnej klasy i zrezygnowałem z dalszej nauki. Szkoła ta, będąc pod czujnym nadzorem władz niemieckich, uniemożliwiała mi kontynuowanie zajęć na tajnych kompletach, a ta sprawa była dla mnie najważniejsza. Zacząłem więc gorączkowo poszukiwać innej legalnej szkoły, która dałaby mi jakąkolwiek prawdziwą legitymację. Nie pamiętam kto powiedział: „Idź na Targową 12”. Poszedłem i niemal w ostatniej chwili zostałem uczniem I klasy handlowki, czyli Zawodowej Szkoły Handlowej na ulicy Targowej pod numerem 12. Mieściła się ona w zwykłym pięciopiętrowym budynku mieszkalnym i zajmowała parę pomieszczeń na trzecim piętrze. Podanie o przyjęcie pisałem w przedpokoju na kolanie i wręczyłem sekretarce, która pracowała również w tym pomieszczeniu. Nauka w tej szkole była dla mnie łatwa, bo znów zaczynałem od I klasy (przedmioty podstawowe miałem już dobrze opanowane, natomiast do zawodowych nie przykładałem się, wiedząc że pożegnają ją przed wakacjami). W ten sposób znów miałem krycie przed Niemcami, ale było ono znacznie słabsze od szkoły mechanicznej.

Zacząłem rozglądać się za książkami do nauki. Wymienialiśmy je między sobą, np. między uczniami tajnej szkoły, ze znanymi kolegami lub przyjaciółmi. Gdy trzeba było coś dokupić jechało się na Świętokrzyską, między Marszałkowską i Jasną. Tam w pobliżu księgarni zawsze grupował się czujny tłumek, gdzie uczniowie, studenci, nauczyciele handlowali starymi podręcznikami wszelkich roczników. Panowały oczywiście tylko wydania przedwojenne. Tłumek na znak grożącego niebezpieczeństwa ulatniał się jak kamfora. Parę podręczników kupiłem od jakiejś starszej pani, która rozłożyła je wprost na krawędzi chodnika przy dużej kupie gruzów.

Więść podawana po cichu, z ust do ust, mówi o tragicznej śmierci gen. Sikorskiego, Naczelnego Dowódcy Wojsk Polskich na Zachodzie. Nie wierzymy, a jednak jest to wiadomość prawdziwa. Jest to ogromna strata dla narodu polskiego. Parę dni później dowiadujemy się o wyładowaniu aliantów na Sycylii i wkrótce o kapitulacji Włoch.

W tym czasie dostaję od jednego z kolegów do poczytania małą broszurkę. Jest to „Dywidżon 303”, wydanie podziemne, rok 1943. Są tam opisy zwycięskich walk polskich myśliwców w pamiętnej bitwie o Anglię we wrześniu 1940 roku. Jak ta książeczka podnosiła człowieka na duchu może przekonać się tylko ten, kto ją w tym czasie czytał. Kolega, który mi ją podrzucił nie powiedział mi tego wprost, ale wyczuwałem z rozmowy, że należy do AK. O tych sprawach zresztą nie mówiło się otwarcie i głośno.

Idę ulicą i w pewnej chwili widzę na parkanie wymalowanego na zielono żółwia. Wszyscy dobrze wiedzą, że dla Niemców należy pracować powolutku. Takiego żółwia wymalowano na płocie zajezdni tramwajowej przy ul. Kawęczynskiej. Widniał tam dosyć długo, aż pewnego razu dozorca w asyście dwóch granatowych policjantów pilnujących sprawy musiał zamalować część płotu na zielono, bo żółwia zeskrobać się nie dało w żaden sposób.

Zaczęła się nauka w tajnym gimnazjum. Na początku spotyka nas innowacja. Zostają połączone dwa komplety w jeden, tworząc w ten sposób klasę III. Spotkałem tutaj kolegów: Dyjasa, Jurka Jaszczuka, Leszka Wieczorkiewicza, Hildebranda, Świątka i innych. Uczyliśmy się po różnych mieszkaniach: u Dyjasów na Ząbkowskiej, u Wieczorkiewiczów na Otwockiej, u państwa Hildebrand na Ząbkowskiej, no i na poddaszu szkoły powszechnej przy ul. Radzymińskiej 1. Lekcje łaciny z prof. Wąsikiem i religii z księdzem prefektem Blezieniem (uczył mnie religii przed wojną) mieliśmy w podziemiach Bazyliki. Profesor Wąsik zawsze przychodził w sztywnym, czarnym meloniku, z laską zakończoną białą gałką. Profesor Janiszewski wykładał nam matematykę, fizykę i chemię. Na początku zimy wydarzył mu się przykry wypadek. Poślizgnął się na ulicy i złamał nogę. Wywołało to u nas zaledwie tygodniową przerwę w wykładach jego przedmiotów. Już podczas rekonwalescencji, gdy nie mógł się ruszać, wykłady i niektóre egzaminy odbywały się w jego mieszkaniu na Brzeskiej. Powróciwszy do zdrowia szybko nadgonił z nami program. My nauczyliśmy się wtedy lepiej i szybciej, mimo tak niezwykłych warunków, w których przyszło nam żyć.

Pamiętam zabawny incydent, jaki zdarzył się podczas czekania przed Bazyliką na rozpoczęcie lekcji. Spacerowaliśmy w grupach po dwóch w różnych miejscach wielkiego placu przed kościołem, by nie

rzucac się w oczy. Paru nas weszło do wnętrza pustej o tej porze Bazyliki, bo miała być lekcja religii. Jurek Juszczyk znakomicie grał na fortepianie. Jak weszliśmy, to zaczęli go nękać: „Jurek, patrz jakie organy, lepsze niż fortepian”. Jurkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zaczęły go śwędzić palce obu rąk. Wdrapał się szybko po schodkach na chór, zajął miejsce organisty, włączył dmuchawę i wałnął w klawisze. Buchnęła na cały kościół melodia przedwojennego fokstrota: „To jest Ameryka, to słynne USA. Masz pod ręką drapacz nieba, możesz drapać się gdzie trzeba... itd. Organy huczały, wyły, piszczałki pracowały pełną mocą, bo nie żałował dźwięku. Hałas wypełnił całe wnętrze. Wtem otworzyły się drzwi zakrystii, wyleciał z nich z rozwianą sukmaną nasz ksiądz prefekt i pognął na chór. Radosna muzyka urwała się nagle. Z czerwoną twarzą Jurek zjechał na dół po schodkach, a po kościele rozległ się donośny głos naszego prefekta: „Ja wam dam, łapserdaki!”

W październiku dzieje się straszna rzecz. Umiera ciocia Bogusia. Dosięga ją tyfus i mimo, że była w szpitalu nic nie pomogło. Zostawia swego 3-letniego synka Piotrusia Blicharza jako całkowitą sierotę. Dała mu imię jego ojca – Piotra, który walczy tam gdzieś w Afryce za Polskę i ostatnio nie daje żadnego znaku życia. Mama jest zrozpaczona, ale jednocześnie zdeterminowana. Teściowa Bogusi ma trudne warunki życiowe, więc postanawia zabrać Piotrusia do nas. Tata popiera tę decyzję. Po rozmowie z teściową mama przyprowadza do naszego 3-letniego malucha. Będzie spał na moim byłym łóżeczku dzieciennym. Są na nim w czterech narożach małe słoniki pokryte chromem – może one pomogą mu odmienić jego los. Będzie teraz u nas ciśnieiej, ale się pomieścimy.

Mama zabiega o to, by Piotruś chodził do jakiegoś przedszkola. Powinien przebywać ze swoimi rówieśnikami. Tam będą jakieś zajęcia dla dzieci, zabawy, no i co najważniejsze – dożywianie. Księża z Bazyliki znają nas dobrze. Podają mamie informację o przedszkolu, które prowadzą siostry zakonne. Na Kawęczyńskiej, za Bazyliką, niedaleko wału kolejowego jest drewniany budynek jednopiętrowy z mansardami. Znajduje się tam Zgromadzenie Sióstr Niepokalanej Maryi, które prowadzą mały sierociniec. Mama przedstawia sytuację siostrze przełożonej i ta wyraża zgodę. Moi rodzice są zadowoleni. Piotruś będzie przebywał pod dobrą opieką od rana do godz. 16-tej i będzie miał zapewniony obiad. Odtąd prowadzimy codziennie malca do przedszkola na zmianę – raz mama, raz ja.

Na początku zimy wydarzyła mi się taka przygoda. Przedszkole mieściło się na 1 piętrze, na które wchodziło się po wąskich, stromych, drewnianych schodach. Wszedłem na to piętro i zgłosiłem się po odbiór Piotrusia. Siostry już mnie znały. Za chwilę miałem go ubranego przy sobie. Dałem krok w kierunku schodów i trach, trach, trach zjechałem na własnym siedzeniu aż na sam parter. Piotruś został na górze i patrzył zdziwiony co za popisy wyczynia jego starszy brat. Narobiłem takiego hałasu, bo hamowałem nogami po stopniach, że siostry myślały, że wali się budynek. Gdy podnosiłem się z podestu na parterze, trzymając się ręką za obite jak kotlet własne siedzenie, na I piętrze zobaczyłem nagle głowy kilku sióstr. Od tego wypadku znajomość moja z siostrami pogłębiła się i oddają mi Piotrusia do domu. Zawsze mnie ostrzegają: „Niech pan tylko nie spadnie ze schodów”.

Pewnego razu, a było to na jesieni, znów otarłem się o śmiertelne niebezpieczeństwo. O mały włos, a wpadłbym w łapy Niemców. Jakaś tajna organizacja, a w tym czasie był ich już wiele, rozlepiła na murach w rejonie zbiegu ulic Kawęczyńskiej i Radzymińskiej spory plakat, którego treść tak się zaczynała: „Cześć rozstrzelanym – pomścimy was!” Jeden z tych plakatów był na murze z czerwonej cegły, który został po domku mieszkalnym rozwalonym w czasie działań wojennych 1939 roku, w przejściu z ul. Kawęczyńskiej na Radzymińską, gdzie obecnie znajduje się bazar „Szmulki”. Było to przejście zarośnięte krzakami i częściowo pokryte gruzem. Dla mnie stanowiło krótszą drogę na tajne komplety. I właśnie w tym miejscu Niemcy urządzili łapankę, rozjuszeni zapewne tymi plakatami. Idę więc na tajne lekcje matematyki i fizyki Kawęczyńską w stronę Żąbkowskiej. Komplet nasz tego dnia zbiera się na poddaszu trzypiętrowej kamienicy przy ul. Radzymińskiej 1, gdzie na poszczególnych piętrach mieści się szkoła powszechna – klasy od 1 do 7-ej. Dochodzę do tego przejścia i jak zwykle rozglądam się czy wszystko w porządku. Nikogo nie widzę. Wchodzę w przejście, mijam czerwony murek i w tej chwili dostrzegam nalepiony plakat. Chcę się z tego miejsca jak najszybciej oddalić. Po drugiej stronie ul. Radzymińskiej widzę budynek szkoły powszechnej, gdzie na poddaszu już zapewne zbierają się moi koledzy. Mam na sobie jesionkę, a pod swetrem zeszyty i książkę do matematyki. Wynurzam się z przejścia na chodnik i dębieję. Spostrzegam, że na skrzyżowaniu ulic jest łapanka. Przy ul. Korsaka zapakowana „buda”, a obok niej paru żandarmów. Na środku ul. Radzymińskiej stoi oficer niemiecki, za nim dalej przy chodniku dwóch żandarmów. Między oficerem a mną jest 25-30 metrów. Zająty jest on w tej chwili legitymowaniem mężczyzny w ciemnym palcie, ale już mnie zobaczył wychodzącego na jezdnię. W jednym ręku trzyma kennkartę legitymującego, ogląda ją, drugą rękę wyciąga w moim kierunku i kiwa na mnie palcem. Truchleję, lecz głębiej wciskam głowę w kołnierz jesionki, nieco kucam, by być mniejszy i drętwiąjącymi nogami wolno daję krok po kroku w kierunku szkoły. Wtem po drugiej stronie z zakrętu wynurza się rosła postać szybko idącego młodego człowieka. Niemiec już go zauważył i wzywa do siebie obracając się ku niemu. Młodzieniec jest barczysty i wyrośnięty i Niemiec woli być do niego ustawiony przodem. Chłopak staje zaskoczony, obraca się wolno i jak podcięty zmierza w kierunku Niemca. Ja już minąłem środek ulicy, patrzę prosto przed

siebie i noga za nogą przechodzę przez jezdnię. Niemiec zajęty jest w tej chwili dwoma mężczyznami i ignoruje moją obecność. Jakiś dzieciak przechodzi przez ulicę, a on ma pełne ręce roboty. Odwrócony do mnie bokiem już ogląda dokument młodego człowieka. Aby tylko dojść do ogrodzenia podwórka, które zaczyna się za jakieś 5 metrów. Przed budynkiem szkody modłę się w duchu. Wolno dochodzę do ogrodzenia z siatką metalową na podmurówce, jeszcze parę metrów i zakrywa mnie przed wzrokiem Niemców narożnik budynku szkoły. Zrywam się do biegu. Znam tu przejścia przez płoty. Na prawo są podwórka i drewniaki, zaraz zniknę. Ale zatrzymuję się przed wejściem do szkoły, które jest po przeciwnej stronie niż front kamienicy. W środku są przecież moi koledzy, może i profesor, może nie nie wiedzą, więc trzeba ich ostrzec. Wejście zasłonięte jest przed wzrokiem Niemców. Wchodzę do środka. A tu dzwonek na przerwę. Jeszcze nie wszedłem na I piętro, a już na korytarzach pełno uczniów, głośny gwar i wrzask. Ginę w tym zamęcie, ale pnę się ciągle do góry i tak dochodzę na III piętro. Część uczniów jest tu na podeście, reszta dochodzi z korytarza. Oglądam się za siebie i spotykam się oczami z nauczycielką, starszą panią, która akurat wyszła na przerwę. Widzi mnie – chyba się czegoś domyśla, bo natychmiast zgarnia uczniów z podestu. Lepiej żeby nikt nie widział gdzie idę. Jednym skokiem dopadam do drzwi poddasza. Nie są zamknięte, wchodzę. W środku jest szaro, trochę światła sączy się przez dymniki. W tej szarości widzę sylwetki kilku mężczyzn leżących plackiem na polepie przy ścianie zewnętrznej i obserwujących przez jakąś szparę co się dzieje na ulicy. To profesor i moi koledzy, którzy tu dotarli przed łapanką. Nasłuchują również wszelkich odgłosów dochodzących z dołu. Gdy podchodzę prof. Janiszewski odwraca do mnie głowę i kładzie na swoich ustach palec. Cicho, cicho. Po pewnej chwili szeptem pyta: „Jak się tu dostałeś?” Sam nie wiem jak! Miałem po prostu ogromne szczęście, jeszcze nie jestem pewien, czy to ja rzeczywiście tu stoję. Dzięki niezwyktemu zbiegowi okoliczności udało mi się ocalić głowę. Ochłonąłem już jednak trochę i również szeptem w paru słowach opowiadam jak było. Zapada cisza. Kucam obok kolegów. Sytuacja jeszcze nie jest wyjaśniona. Żeby tylko Niemcy nie chcieli wejść do szkoły. Nikt z nas nic nie mówi, czas wlecze się powoli. Wszyscy jesteśmy w napięciu. Dziś już lekcji na pewno nie będzie. Tak mijają chyba ze dwie godziny. Kiedy to się nareszcie skończy?

Słyszemy jak ktoś wchodzi ciężko po schodach na górę. Nikt z nas się nie rusza. Stąd już nie ma wyjścia. Jak to będzie Niemiec – to przepadliśmy, jak Polak – to żyjemy. Wpatrujemy się z natężeniem w drzwi, które otwierają się po cichu i widzimy w nich starszego pana, woźnego tej szkoły! Podchodzi do profesora, pomaga mu wstać z podłogi i mówi: „Już jest czysto. Można wychodzić!” Nie było dla nas lepszej wiadomości!

Wychodzimy pojedynczo, z przerwami, jeden po drugim. Profesor ostatni. Przed szkołą rozglądam się nieufnie. Ale rzeczywiście jest czysto. Kieruję się do Folwarcznej, skręcam do Siedleckiej i od tyłu dochodzę przez podwórka do swego domu. Już jestem w mieszkaniu, nie mówię nic mamie ani tacie. Czuję się zmęczony i ciężko siadam na krześle. Biorę jakąś książkę i udaję, że czytam przysmykam oczy. Udało się, żyję. Odkrywam jednocześnie wspaniałą myśl – człowiek układa sobie życie i pragnie sterować nim. Ale tak naprawdę to ktoś inny pociąga za sznurki. Jesteśmy całkowicie w Jego rękach. Dzięki Ci za to żeś mnie ocalił.

Pamiętam jeszcze takie wydarzenie. Była późna jesień. Dotarła do nas wiadomość, że jakieś polskie wojsko walczy razem z Rosjanami przeciwko Niemcom. Tylko co to za wojsko? – każdy się dziwił. Orzełek na ich czapce jest bez korony. To chyba wojsko bolszewickie! Była podobno wielka bitwa naszych z Niemcami. Trzeba trafu, że do zajezdni tramwajowej na Kawęczyńskiej ma przyjść taki pojmany żołnierz polski, żeby ludzie zobaczyli jak to jest naprawdę. Tego dnia zebrało się sporo osób w zajezdni. Zobaczyłem tego żołnierza jak siedł otoczony podejrzanyymi cywilami przez tory tramwajowe. Był w szarej rogatywce, na której orzełek był rzeczywiście bez korony. Miał na sobie rozpięty, długi, szary żołnierski płaszcz i onuce na nogach. Szedł z głową pochyloną do ziemi. Na placu przed zajezdnią kazano mu się zatrzymać i wszedł na jakieś podwyższenie. Opowiadał, że jest z polskiego wojska, z dywizji T. Kościuszki, jaka się uformowała na terenie Rosji i został wzięty do niewoli w czasie bitwy stoczonej pod Lenino. Mówił jak wywieziono go do łagru (obozu pracy) sowieckiego. Nie odpowiadał na wszystkie pytania zadane mu przez tramwajarzy. Robił wrażenie bardzo przygnębitego. Rozchodząc się ludzie mówili, że może to jest człowiek podstawiony, może zmuszają go, by tak mówił, a może to jest prawda? Po wielu latach okazało się, że to była prawda.

Siedzimy wieczorami nad mapą i śledzimy linię frontu na zachodzie i wschodzie. Szukamy miejscowości podanych w komunikatach wojennych. Uczymy się dokładnie geografii świata. Interesuje nas co się dzieje najbliżej. Walki toczą się we Włoszech, Rosjanie zajęli Smoleńsk i Kijów.



## Piąty rok

Mimo zimy lekcje na tajnych kompletach odbywają się prawie normalnie. Zdążyliśmy już zahartować i przyzwycząić się do panującego zimna i specyficznych warunków nauki. No i do tego, że to jest niebezpieczne.

Pewnego dnia, mieliśmy wtedy lekcje na poddaszu kamienicy przy ul. Radzymińskiej 1, przyszedł do nas dyrektor naszego gimnazjum, pan Usarek. Był średniego wzrostu, krótko ostrzyżony, ze szpakowatym wąsikiem pod nosem. Ubrany był w granatową jesionkę. Zamienił kilka słów z profesorem, rozejrzał się po poddaszu i prosił, by kontynuować lekcję. Ale wykład właśnie zmierzał do końca i za parę minut nastąpiła przerwa. Dyrektor podszedł do nas. Myśmy go otoczyli i zaczęła się rozmowa – można powiedzieć przyjacielska pogawędka – między nami a nim. Ktoś powiedział nawet jakiś kawał okupacyjny i roześmieliśmy się wszyscy po cichu. Wtem nastąpiła przerwa w rozmowie, bo zrozumieliśmy, że dyrektor ma coś ważnego do powiedzenia. Twarz pana Usarka zrobiła się poważna. „Przyszedłem tu, by powiadomić was o śmierci waszego kolegi, Tytusa, który był jednym z uczniów gimnazjum im. Władysława VI. Chorąży Tytus należał również do tajnego Związku Harcerstwa Polskiego. Złapano chłopaka na ulicy w chwili, gdy prznosił raport harcowski. Odstawiono go na Pawiak i tam straszliwie skatowano. Gestapo miało w ręku niezbitą dowód. Chłopak niczego nie powiedział, nikogo nie wydał, lecz katowania nie wytrzymał. Został przez oprawców zamęczony na śmierć. Zginął jako bohater. Uczcijmy jego pamięć minutą milczenia”. Dyrektor Usarek spojrzął na nas. Zamarliśmy w miejscu od straszliwej wiadomości. Samorzutnie stanęliśmy na baczność. Przez minutę panowała na poddaszu przejmująca cisza. Wydawało mi się, że słyszę jak biją nam serca. Poczuliśmy się złączeni z Tytusem jednym węzłem. To co on robił i co my robiliśmy miało ten sam wymiar. Wbrew zarządzeniom władz niemieckich kontynuowaliśmy naukę wg polskiego, przedwojennego gimnazjum ogólnokształcącego. Wiedzieliśmy, że znalezienie książki z tajnego kompletu groziło wywiezieniem całej rodziny do obozu. Za naukę na tajnych kompletach groziła kara śmierci. A jednak trwaliliśmy, na przekór okupantowi, złączeni nierozzerwalną przyjaźnią, której podstawą były dwa słowa: nauka i Polska. Była to wtedy wzruszająca lekcja patriotyzmu.

Mimo łapanek komplet nasz jakoś się trzymał. Ciągłe obracaliśmy się na tym samym terenie tj. na Szmulkach, zmieniając tylko często lokale. Z czasem musieliśmy zrezygnować z poddasza przy ul. Radzymińskiej 1. Jedynie podziemie Bazyliki było niezawodne i pozwoliło nam dotrzeć prawie do końca naszej nauki. W tym czasie koledzy byli na fajnym filmie w normalnym kinie, jakich kilka jeszcze funkcjonowało na Pradze i w Warszawie. Uległem pokusie i mając parę groszy wybrałem się na ten film. Kronika pokazywała ciężkie walki, jakie Niemcy toczyli na froncie wschodnim. Widać z niej było, że się cofają. Natomiast film był bardzo dobry, kolorowy, co w tym czasie było rarytasem. Tytuł jego: „Przygody barona Münchhausena”. Baron siedział sobie na okrągłej kuli armatniej i wystrzelony w przestrzeń podróżował nad światem. Ten miły przerywnik w ponurej rzeczywistości zepsuło mi wyjście z projekcji. Zaraz na murze duży napis czarną farbą głosił: „Tylko świnie siedzą w kinie”. Okazało się, że podziemie ogłosiło bojkot kin, by nie popierać finansowo administracji niemieckiej w Warszawie. Był to więc mój pierwszy i ostatni pobyt w legalnym kinie za okupacji.

Uczęszczanie do „handłówki” nie przeszkadzało mi wcale w chodzeniu na tajne komplety. Lekcje w niej odbywały się po południu, tak że nie było żadnej kolizji z rozkładem zajęć w gimnazjum. Jak już wspomniałem uczyliśmy się na III piętrze w dwóch czy trzech pokojach mieszkalnych. W klasie było nas 12-16 osób. Towarzystwo mieszane – chłopcy i dziewczęta. Po lekcjach polskiego i matematyki w klasie panowały – salda, przychody, rozchody, remanenty itd. Z pewnym zdziwieniem więc usłyszałem, że prawie wszyscy – no, nie, może 60% uczących się – prowadzą rozmowy dotyczące przedmiotów wykładanych na tajnych kompletach i to wcale nie po cichu. Myślałem, że to jest nierozważne z ich strony. Okazało się, że też uczęszczają na tajne komplety i co więcej w „handłowce” odbywają się lekcje niedozwolone.

Pewnego razu siedzę w ławce i rzucam okiem na zeszyt z księgowości, a tu wchodzi kilka koleżanek i jedna z nich mówi mi, żebym przeszedł do innej klasy na tę godzinę, bo tu będzie lekcja historii. Wyciągają spod swetrów i ubrań różne książki i zeszyty, rozkładają je na ławkach i powtarzają zadane lekcje. Wynoszę się więc i przechodzę do innego pokoju, siadam z brzegu na ławce i jestem na lekcji geografii. Na następnej godzinie podręczniki do historii czy geografii są pochowane, na białe ławki wyjeżdżają zeszyty do księgowości. Pani profesor kredą wypisuje na tablicy zasady powstawania manka. Ta lekcja jest legalna. Taka to była szkoła! Myślę jednak, że było tam zbyt dużo fanfaronady i chyba nieostrożności. Szkoła jednak funkcjonowała, zawdzięczając to dobremu układowi lub po prostu szczęściu. Zawsze po wyjściu z niej oddychałem głęboko, że nic się nie stało, że nie było żadnego nalotu gestapo. Do nauki w niej nie przykładałem się wcale, traktując to jako tymczasowość. Zresztą profesja handlowca mi nie odpowiadała.

Na początku lutego zamach na szefa policji niemieckiej gen. Kutschere. Został zastrzelony na ulicy w biały dzień, przez żołnierzy AK w cywilnych ubraniach, gdy wyjeżdżał samochodem z dzielnicy

niemieckiej. Hitlerowcy wpadli w szal. Godzinę policyjną przesunięto na 16-ą. Kto na ulicy był po tym czasie, miał być bezwzględnie zastrzelony. Stosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Zabito Niemca na jakiejś ulicy, to łapano i rozstrzeliwano zupełnie przypadkowych, niewinnych ludzi lub schwytanych już i przebywających na Pawiaku. Pojawiły się na słupach ogłoszeniowych długie listy pomordowanych. Przechodnie gromadzili się przy nich i wyszukiwali wzrokiem, czy na liście nie ma kogoś bliskiego. Często rozlegał się też szloch matek czy żon, gdy odnajdywały nazwisko ojca lub męża.

Zaraz po tym pojawiła się wiadomość o wykryciu tajnej drukarni na Saskiej Kępie. Załoga jej podobno broniła się do końca, a budynek został całkowicie spalony.

Jest rok 1944. To już piąty rok okupacji. Gdzieś w kwietniu czy na początku maja zacząłem chorować. Była to anemia. Czulem się niewyraźnie i blado. Przez 5 lat niedożywiony młody organizm nie dawał się. Czerpał ze swoich zapasów jak wielbłąd, aż w końcu – mimo pomocy ze wsi – wyczerpał się. A ja jednak rosłem, ręce i nogi wydłużały mi się, a na wadze wiele mi nie przybywało. Pojechałem z mamą na Grochów do przychodni lekarskiej. Lekarka zbadała mnie i powiedziała: „Proszę pani, teraz wszyscy do mnie przychodzą z tą chorobą. Chłopiec ma anemię. Organizm jest niedożywiony, wycieńczony. Przecież on rośnie. Trzeba go odżywiać solidnie potrawami pełno kalorycznymi, nie żadnymi namiastkami. Dużo mięsa, mleka, masła, sera itd”. Zarówno mama, jak i ja wiedzieliśmy, że to jest niewykonalne. Przeważnie jadało się chleb z marmoladą, herbatę piło się z sacharyną, a na obiad zupy były takie, jakie mama mogła zrobić. Oczywiście funkcjonował „czarny rynek”, ale trzeba było mieć pieniądze, żeby coś dokupić, a tych niestety brakowało. Na „czarnym rynku” 1 kilogram cukru kosztował 95 zł, masła 250 zł, słoniny 175 zł. Było to bardzo drogo. Pensja, którą przynosił tata wystarczała na wyżywienie do połowy miesiąca. Dalej to już była zaradność mamy, no i wyprawy na wieś, gdy sytuacja się pogarszała. Po prostu coraz więcej ludzi nie dojadało. Na razie ta sprawa nie mogła być rozwiązana. Trzeba było dotrwać do wakacji, potem jechać na wieś.

Wieść podawana z ust do ust: bitwa pod Monte Cassino. Polacy przełamali front niemiecki i zatknęli swój sztandar na ruinach zburzonego klasztoru. Są duże straty u nas po zacieklej bitwie. I nagle łapanka na Kawęczynskiej w biały dzień o godz. 14. Jestem sam w mieszkaniu, Piotruś w przedszkolu, tata w pracy, mama poszła do pani Waliszewskiej. Odrabiałem lekcje, ale uwagę moją zwróciły wrzaski niemieckie za oknem. Ostrożnie wyglądam zza filarkę. Widzę szereg żandarmów z karabinami w rękę, rozstawionych na ulicy co około 10 metrów. Twarzami zwróceni są do mnie, obserwują okna budynku. Włosy stają mi dęba. Łapanka! Mogą być zaraz w naszym mieszkaniu! Może być rewizja! A ja mam, prawie na wierzchu, podziemne wydawnictwo, broszurkę „Dywizjon 303”, którą zaczytywałem się bez reszty. Co robić? Chwytam książkę, lecę do kuchni. Fajerka odsunięta na bok. Podpalam broszurkę zapałką. Na początku pali się opornie, bo dużo ściśniętych kartek, potem płomień ogarnia ją całą. Wkładam ją do paleniska i stawiam na tym miejscu czajnik. Uchylam drzwi, by zobaczyć co się dzieje na klatce schodowej. Już słychać łomot butów na dole, walenie kolbami do drzwi. Głośne „rauss” niesie się daleko. Ostrożnie podchodzę do poręczy schodów i rzucam jedno szybkie spojrzenie w dół. Są na parterze, idą na górę. Wycofuję się bezszelestnie (jestem w kapciach) do naszego korytarza i zostaję w mieszkaniu przy drzwiach lekko uchylonych. Słyszę wyraźnie jak wyciągają sąsiadów z III piętra, jakaś szamotanina, płacz kobiecy, wrzask – jeden, drugi. Czy już idą na II piętro? Jestem cały spięty i strwożony. Jak mnie zabiorą, mama nic nie będzie wiedziała co się ze mną stało, gdzie jestem. Czuję, że się pocę. Na chwilę podnoszę czajnik. Na ruszcie paleniska z broszurki została tylko kupka sinocznego popiołu. Hałas na I piętrze nasila się, rośnie i nagle słabnie. Słychać tupot buciorów po schodach i głośny płacz. Czekam na korytarzu w wielkim napięciu co będzie dalej. Przez otwarte okna klatki schodowej wpada z podwórka głośne: „schnell, schnell”, które słyszę bardzo wyraźnie. Wychylam się przez balustradę i czuję na sobie czyjś wzrok. Patrzę do góry. To sąsiadka z III piętra wychyla się tak jak ja i patrzy na dół. Płacz na I piętrze nie ustaje. Słyszę czyjś głos: „Już ich nie ma”. Łapanka objęła u nas tylko parter i I piętro. Zabrali dwóch sąsiadów. Niemcy albo spieszyli się, albo zrobili to niedbale, a może trochę się już bali. Nie wiadomo. Tak więc ocalałem i tym razem. Ale to nie koniec. Łapanką objęli Niemcy całe Szmulki. Stoję na podeście II piętra i przez okno klatki schodowej patrzę na kamienicę po przeciwnej stronie naszego podwórka, na budynek stojący przy ul. Siedleckiej 32. Mieszka tam z rodzicami mój przyjaciel ze szkoły powszechnej Zbyszek D. Widzę jak z jego bramy wybiega jakiś młody człowiek, jednym susem przesadza mur dzielący nasze podwórko, zgięty biegnie tuż pod nim i nagle zapada w gęste zarośla i krzewy ogródka naszej dozorczyńni. Jest już po naszej stronie. Za moment to samo robi drugi mężczyzna, lecz pada plackiem tuż pod samym murem. Po pewnej chwili z bramy wynurza się postać oficera niemieckiego w wygiętej czapce. Idzie szybko z pistoletem w rękę przez tamto podwórko, rozgląda się i podchodzi do muru, który sięga mu do oczu. Widzę jak wspina się na palce, chce coś zobaczyć. Kręci głową w prawo, w lewo, ale już nic nie widać. Nasza Kamienica i nasze podwórko są ciche, nic się nie dzieje. Ja widzę doskonale leżącego człowieka pod samym murem, lecz jest on nieosiągalny dla wzroku gestapowca. Odwraca się więc powoli i niknie z powrotem w bramie. Tak się uratowali dwaj mężczyźni z domu przy ul. Siedleckiej w chwili łapanki na ich terenie.

Jeszcze budy nie odjechały, jak przybiega mama od pani Waliszewskiej. Przez łapankę przeprowadza ją żołnierz Wehrmachtu, Słoweniec, dobry znajomy jej przyjaciółki. Wpada do mieszkania zaniepokojona i strasznie zdenerwowana, ale opanowuje się widząc, że wszystko jest w porządku. Domyślała się rzeczy najgorszych, ale na szczęście nic się nie stało. Gdy na ulicy ucichło mama poleciła mi udać się na Kawęczyńską 22, aby dowiedzieć się o wujka Władka. Okazuje się, że wujek przyjechał ze wsi na parę dni do swego domu. Wchodzę więc na tamto podwórko i skręcam w prawo do murowanej, jednopiętrowej oficyny. Pnę się po schodach na I piętro i pukam do drzwi po lewej stronie. Cisza, nie ma odpowiedzi. Pukam drugi raz – nikt nie otwiera, lecz w pewnej chwili słyszę cichy głos wujka, wychodzący jakby z sufitu: „Wiesiek, już po łapance?” Rozglądam się i widzę z prawej strony drzwi do schowka zamknięte na kłódkę. Głos dochodzi stamtąd, jakby z góry. Mówię cicho, że już po wszystkim, już odjechali i jest spokojnie. Na to głos ze schowka: „Zapukaj do drzwi sąsiadki i powiedz, żeby otworzyła schowek, to wyjdę”. Sąsiadka, starsza babina, zna mnie, bo tu nieraz przychodziłem. Wyciera ręce o fartuch, sięga do kieszonki i małym kluczykiem otwiera kłódkę oraz uchyla drzwi schowka. W schowku odsuwają się deski markowanego sufitu i zeskakuje z niego wujek Władek. Przez cały czas łapanki leżał na tym suficie. Wujek dziękuje sąsiadce, szarmancko całując ją w rękę, zamyka schowek, a biorąc mnie za ramię mówi: „Leć do mamy i powiedz jej, że wszystko w porządku. Ale o schowku ani słowa – nikomu”.

Nadchodzi 6 czerwca. Wszystko już wiemy. Długo oczekiwana inwazja aliantów na wybrzeże Francji, Normandię, już się rozpoczęła. Podaje to prasa podziemna, a wnet i „szczekaczki” oraz gazety okupacyjne. Niemcy nie mają już co tu ukrywać. Nie uczęszczam już do „handlówki”. Jest mi w tej chwili niepotrzebna. Wolę nie kręcić się bez powodu po mieście, gdyż sytuacja robi się niewyraźna. Część moich kolegów i przyjaciół należy do AK. Nie mówią mi tego otwarcie, ale z ich niektórych wypowiedzi i zachowania można wnioskować, że tak. Ostatnio ciągle powtarzają, że muszą się przygotować, bo coś się szykuje. Ale co? Józio B., z którym razem robiłem piękne modele niemieckich samolotów wojskowych z balsy, Zbyszek C., z którym wycinałem z papieru sylwetki pędzących kowbojów i Indian i inni – wszyscy oni robili niedwuznaczne wypowiedzi co do spodziewanej sytuacji w Warszawie.

Pewnego dnia przyszedł do nas mój kolega ze szkoły powszechnej i z tajnych kompletów – Zbyszek K. Tata był w pracy, a mama zajęta przy kuchni. Zbyszek rozpiął marynarkę, podciągnął pulower i obracając się do mnie mówi: „Popatrz co mam”. Zza paska od spodni sterczała mu połyskująca kolba pistoletu. Wyciągnął go jednym ruchem ręki i położył sobie na dłoni. Był to pistolet typu Walter. Bardzo dobra krótka broń. Odwróciliśmy się tyłem do mamy, żeby tego nie widziała. Zbyszek wyjął magazynek, pokazał go, wcisnął mi do ręki nie załadowany pistolet i zapytał: „Podoba ci się?” No pewnie, podobał mi się, ale spojrzałem na krzątającą się mamę. „Rozumiem” – Zbyszek kiwnął głową i poklepał mnie po plecach. Podeszedł do okna, które było uchylone na antabę, otworzył je i wsadził rękę pod blaszany parapet. Odwrócił się do mnie i powiedział: „W razie czego można to tu schować”. „Ale z ulicy może to ktoś zauważyć” – odparłem. Spojrzał na mnie i jakby się ocknął. „A no, rzeczywiście – cholera – masz rację”. Wepchnął magazynek do pistoletu, schował go za pasek i podał mi rękę. „Cześć, stary – powiedział – wiesz, co się dzieje. Jak się namyślisz, daj znać”. Ukłonił się pięknie mamie i wyszedł. Mama wszystkiego się domyśliła. Była to bowiem niedwuznaczna propozycja wstąpienia do AK. Po wyjściu Zbyszka powiedziała mi: „Słuchaj synku, mam cię jednego. Pilnuj przede wszystkim swoich spraw”. Tego dnia wieczorem zobaczyłem, jak mama długo modliła się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Muszę tu powiedzieć, że nad łóżkiem rodziców, nad wiszącym kilimem huculskim, zawsze na ścianie wisiały: ciemny drewniany krzyż z ukrzyżowanym Jezusem, a pod nim właśnie ten obraz. Było to najważniejsze miejsce w naszym mieszkaniu. Tu odmawialiśmy poranny i wieczorny pacierz. Mama zawsze oddawała nas w opiekę Matki Bożej i wierzyła, że tylko Ona chroniła naszą rodzinę od wszelkiego zła.

Z tego okresu pochodzi piękna pieśń – modlitwa, którą mama przepisała od kogoś nieznanego. Zaczynała się ona tak:

„Kiedy w jasną, spokojną, cichą noc  
spoglądam na niebo pełne gwiazd.  
Kiedy myślę czy życie to ma sens  
i wołam do Ciebie Ojcie Nasz.  
O Boże, Boże, Panie mój, nie pamiętaj, że kiedyś było źle,  
wiesz dobrze, że zawsze jestem twój i Twoją drogą kroczyć chcę”.

Trwa ofensywa sowiecka na froncie wschodnim. Wojska rosyjskie coraz bardziej zbliżają się do Bugu. Ludzie słuchają uważnie nadawanych przez „szczekaczki” komunikatów. Dorożki, riksze, platformy, samochody zatrzymują się, by wysłuchać informacji Oberkomando der Wehrmacht o skróceniu linii frontu i wycofaniu się na uprzednio przygotowane pozycje. Widać już teraz dokładnie zbliżanie się kłęski Niemców. Ogarnia ich coraz większa panika. Wyprowadzają się różne urzędy okupacyjne, rodziny niemieckie i volksdeutsche, ładując na samochody ciężarowe zrabowany dobytek.

Niemcy ogradzają swoje bunkry oraz budynki kozłami i zasiekami z drutu kolczastego. Po mieście krążą wzmocnione patrole żandarmerii składające się teraz z 5-ciu ludzi.

W tej niezwyklej atmosferze z trudnością zbliżamy się do końca roku szkolnego na tajnych kompletach. Nieustannie zmieniamy mieszkania, w których odbywają się lekcje, tak że zaczyna ich brakować. Niektórzy profesorowie i paru uczniów musi zmienić miejsce zamieszkania. Niemcy stają się nerwowi, podejrzliwi, urządzają polowania na ludzi. Głupio byłoby, gdybyśmy teraz wpadli. Stajemy się ostrożni do przesady, ale co pewien czas lekcja jest odwołana, nie przychodzi profesor lub paru z nas. Niestety, nie kończymy jednak całkowicie programu i nie zdążymy już zdać egzaminów do IV klasy gimnazjum. Ostrzegają nas, że grozi nam wsypa i komplet musi zniknąć. Lekcje zostają zawieszono natychmiast i uczniowie rozpraszają się. Część kolegów zmienia miejsce zamieszkania i ukrywa się, część wyjeżdża z Warszawy. W tej sytuacji rodzice podejmują decyzję natychmiastowego wywiezienia mnie na wieś, bo nie wiadomo co może się wydarzyć. Po Piotrusia przychodzi ciocia Jasia, siostra mamy i zabiera go do siebie. Zresztą teraz w mieście jest bardzo niebezpiecznie. Tata osobiście odwozi mnie do Ignacowa i zostawia pod nadzorem wujka Lachowicza.

Na Ignacowie inny świat. Przyroda rozkwita w całej pełni. Jest pięknie. Zagajnik, jak zwykle zielony, szumi liśćmi brzoźek pod wpływem podmuchu wiatru. Wokół łąny dojrzewających zbóż. Ale i tu nie jest już tak spokojnie. Niemcy gnębią gospodarzy nieustannymi kontyngentami, które przeszły po prostu w zwykłą grabież żywności. W lasach jest teraz sporo oddziałów partyzanckich AK i innych i one też przychodzą po żywność. Potworzyły się ponadto różne bandy, które najzwyczajniej rabują i okradają.

Pewnego dnia alarm. Niemcy potrzebują ludzi do kopania okopów i urządzają oblężenie. Prace w polu zostają momentalnie przerwane. Jurek i Janusz wdrapują się na potężną lipę i znikają w jej gąszczu. Stacho odstawia konie do stajni i sam chowa się w sadzie za stodołą, w słomianym szałasie do pilnowania ogrodu. Parobek jeden zanurza się w słomę na poddaszu obory, ja z drugim, Felkiem, mkniemy w stronę zagajnika i znikamy w łąnie żyta. Czas już najwyższy, bo od strony Błędowa słyszymy warkot silników samochodowych. Jest jeszcze odległy i przesuwa się gościńcem w stronę Huty. Nad słuchujemy żując w ustach łądźki chabru. Słonce świeci pięknie i wkrótce ogarnia nas senność. Po paru godzinach warkot pojawia się ponownie, przesuwa się obok nas i cichnie w kierunku Błędowa. To na dziś chyba koniec. Jest późne popołudnie i czas wracać. Jurek mówi, że z lipy widzieli jak gościńcem jechały samochody ciężarowe w stronę Huty i z powrotem. Wszyscy wracają do swoich zajęć.

W połowie lipca mama przyjeżdża na Dąbrówkę i przychodzi na Ignaców. Wieść, którą przynosi jest fatalna. Niemcy złapali wujka Władka. Wujek pracując na wsi wyjeżdżał czasami do Warszawy na parę dni, aby zajrzeć do swojego mieszkania i zakupić potrzebne mu do pracy drobiazgi, jak śruby, gwoździe itp. Właśnie podczas jednej z takich wypraw wpadł w łąpankę. Mama widziała go na Skaryszewskiej. Przed wyjazdem wujek Lachowicz mówił mu: „Nie kręć się teraz, siedź tu, przeczekać ten czas” – ale ciągnęło go coś do miasta i pojechał. Pojechał, żeby więcej nie wrócić. Ze Skaryszewskiej wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück i tam zginął dosłownie na parę dni przed wyzwoleniem. O jego śmierci dowiedzieliśmy się dopiero w roku 1945 z Polskiego Czerwonego Krzyża, skąd otrzymaliśmy małą kartkę.

Czas płynie prędko. 25 lipca 1944 roku kończę 16 lat. W ostatni dzień lipca przyjeżdża na wieś tata. Mówi, że w Warszawie lada moment wybuchnie powstanie. Rosjanie już są podobno w Radzyminie. Przez ostatnie dni z Pragi, przez mosty, na Warszawę przetaczały się rozbite kolumny wojsk niemieckich, na wozach konnych, na samochodach, pomieszane, ciągnące za sobą cielęta i krowy. Żołnierze są zabłoceni, przerażeni, bezwolni. To już nie są ci sami, co szli we wrześniu na Polskę. Niemcy więcej!

1 sierpnia 1944 roku. Wybucho Powstanie Warszawskie. Przenoszę się na Dąbrówkę, rodzice zostają na Ignacowie. W dzień widzimy czarną smugę dymu nad Warszawą, a w nocy czerwoną łąnę. Wychodzimy wszyscy wieczorem na drogę ciągnącą do Błędowa i patrzymy w milczeniu. Widać wyraźnie, jak płomień to przygasa, to rozszerza się. Dym ścięle się już wysoko na niebie i rozprzeszczerzenia coraz bardziej. Patrzymy, jak w łąnach pożarów ginie Warszawa. Prace w polu nie mogą jednak czekać. To okres żniw. Skoszone żyto w ciągu paru dni wiążemy w snopki, a potem stawiamy z nich kopy. Wokół na polach powstaje ich coraz więcej i wnet będą zwożone do stodół. Pojawiają się uciekinierzy ze stolicy. Opowiadają okropne rzeczy o rozstrzeliwaniu przez żołdaków cywilnej ludności polskiej. Domy obrócone są w gruzy, cywile siedzą w piwnicach, powstańcy walczą na gruzach. Dzieją się ponoć dantejskie sceny. W nocy budzą nas krzyki. To jacyś bandyci napadli na sąsiednie gospodarstwo, oddalone od nas o około 100 metrów. Tadeusz wali prętem żelaznym w zawieszoną na gałęzi drzewa stalową szynę. Zaraz takie samo walenie słychać w sąsiednim gospodarstwie i wnet cała wieś dudni metalowymi dźwiękami i robi się wielki hałas. Słychać też okrzyki: „Biegnij w lewo, tam, tam, trzymaj, łapaj..”. To ludzie robią szum i w ten sposób przerażeni rabusie uciekają, bo w nocy to nic nie

wiadomo. Rano już wiemy, że coś tam zrabowali, ale wypłoszeni hałasem uciekli za rzeczkę Mogielankę.

Czas jest niespokojny. Którejś nocy budzą nas synowie pana Antoniego M. z sąsiedniego gospodarstwa. Niemcy wylapują ludzi do robót fortyfikacyjnych. Trzeba uciekać. Ubieramy się błyskawicznie i wraz z Tadeuszem oraz parobkiem wybiegamy za drogę, w pole, tam gdzie stawialiśmy kopy zboża. Wzrok przyzwyczajają się do ciemności i widzimy na rzysku nieco jaśniejsze plamy. To są kopy i wokół jest ich mnóstwo. Każdy z nas wybiera sobie jedną i chowa się w niej. Odsuwam dwa snopki, włożę do środka i zakrywam wejście tymi samymi snopkami. Jest absolutna cisza. W kopcach siedzimy przez pewien czas; później wychodzimy, stajemy obok i nasłuchujemy. Gdzieś z oddali dolatuje do nas odgłos pracującego motoru. Nad nami olbrzymia przestrzeń granatowego niebami, pokryta ciemnymi, kłębiastymi chmurami. Z kierunku Warszawy rozlała się po tym czarna, gęsta smuga dymu, rozszerzająca się w miarę oddalania od miasta. W pewnej chwili słyszymy czyjeś kroki na rzysku. Idą w naszą stronę. Kładziemy się natychmiast w bruzdę wzdłuż miedzy. Jeden z nas wskakuje w snopki. Kroki zbliżają się wyraźnie, zatrzymują się i słyszymy cichy głos: „Hej, tam. Gdzie jesteście?” To synowie pana Antoniego M. przyszli po nas. Informują, że samochody ciężarowe przejechały już drogą do Golian, a więc wracają do Grójca. Chyba będzie spokój. Oczekujemy jeszcze jakiś czas i wracamy polem i drogą przez sad owocowy do domu.

Mamy wieści od uciekinierów z Warszawy, że wojska rosyjskie i polskie oswoodziły Pragę. Obawiamy się o swoje mieszkanie – przecież tam były walki. Powstanie w Warszawie trwa nadal. Hela dowiaduje się, że jakiś uciekinier, profesor, udziela w Błędownie lekcji córce pana Antoniego M. Jest już wrzesień i ja chyba również powinienem uczęszczać na zajęcia, by nie tracić czasu. Ale trzeba coś płacić za to, więc mama powraca na Dąbrówkę i „obszywa” wszystkich, którzy tego potrzebują. Idę więc na te lekcje, ale niechętnie. Odbywają się w parterowym domku stojącym tuż przy uliczce wiodącej do młyna, zaraz za rynkiem. Mieszkanko jest na parterze, wchodzi się do niego z bramy. Było nas razem 4 osoby. Oprócz nas córka właścicielki mieszkania i Władek M. z rzeczki, którego znałem. Profesor, chyba tylko z nazwy, był Żydem, uciekinierem z Warszawy, który też jakoś chciał przeżyć i dawał korepetycje z geologii, matematyki i łaciny. Lekcje odbywały się dwa razy w tygodniu. Uczestniczyłem w nich 5 czy 6 razy. Było to bardzo niebezpieczne, bo zaraz obok na rynku był posterunek żandarmów i policji. Gdy pewnego dnia zebrałiśmy się w pokoju czekając na wykładowcę, rozległo się łomotanie do drzwi. Córka właściciela mieszkania poszła do kuchni, by zobaczyć co to ma znaczyć, a tu przez uchylone drzwi pakuje się podchmielony żandarm niemiecki. Ledwo zdążyliśmy uskoczyć za dużą szafę w pokoju, bo drzwi do kuchni były otwarte. Słyszymy jak w kuchni toczy się prawdziwa walka, aby nie wpuścić go do mieszkania. Znajdujemy się jak w klatce, żadnej drogi ucieczki. W końcu słyszymy, jak dziewczyna mu klaruje, że: „nicht heute, morgen, morgen..”, ale do łba Niemca jakoś to opornie wchodzi. Wzajemne przepychanki w kuchni ustają wreszcie i dziewczynie udaje się wypchnąć z mieszkania i zamknąć drzwi. Oddychamy z ulgą. Dziewczyna przychodzi do nas zdenerwowana i zmordowana. Żal nam jej trochę, lecz spisała się na medal. „Cholera – klnie – on chciał tu spać!” Profesor nie przychodzi, zatem rozchodzimy się pojedynczo, jedno przez podwórko, drugie przez bramę. To nie były warunki do prowadzenia tajnych lekcji. Ostatnio przez Błędownę przewijało się sporo Niemców i volksdeutschów ewakuujących się na zachód. Część z nich zatrzymywała się tu na pewien czas. Można było mieć niespodziewaną wpadkę. Lekcje wkrótce się więc skończyły.

Koniec powstania w Warszawie. Po kapitulacji, od 2 października, wzrasta wyraźnie napływ ewakuowanej ludności cywilnej z miasta na wieś. Do Heli przybywa uciekinierka z dwojgiem małych dzieci. Malutkie dziewczyneczki zamiatają się, podwórko przy chałupie. Chcą zostać, bo nie mają gdzie iść. Hela zgadza się, by zostali tymczasowo. Młoda kobieta dziękuje i całuje ją w rękę. Jest ona zresztą bardzo energiczna, początkowo pomaga Heli w robocie, a potem bierze się za handel i nocuje bardzo rzadko. Robi wypadki do różnych miejscowości. Widocznie jakoś daje sobie radę, bo przyjeżdżając do Heli ciuchami płaci jej za opiekę nad córkami. Po pewnym czasie przenoszą się do innego gospodarza, bliżej Grójca.

Jest październik. Robi się chłodno, a czasami zimno, a ja nie mam żadnego okrycia. Wyjechałem z Warszawy w letnim ubraniu. Tata kupuje od kogoś zielony płaszcz wojskowy, a mama farbuję go na brązowo. Z tego materiału ojciec szyje mi doskonałą kurtkę. Ale nie mam butów. Moje warszawskie, letnie, rozlatują się. Tu z pomocą przychodzi mi wujek Lachowicz.

Jesteśmy z mamą na Ignacowie. Wujek wyciąga z zakamarku dwie cholewy i zabiera mnie ze sobą na Krzyżówki, wieś odległą o około 1 kilometra od Ignacowa. Idziemy do szewca, który weźmie mi miarę i zrobi przyzwoite buty ze skóry. Jak trudno było w tym czasie o skórę wie ten, kto miał wtedy z tym problem. Ze skóry Polakom nie wolno było nic robić. Dla nas mogły być tylko drewniaki, chodaki itp. obuwie. Buty znajomy szewc zrobił mi więc po cichu i w tajemnicy. Odbyło się to tylko dzięki dobrej znajomości wujka. Za tydzień miał być odbiór. Rzeczywiście, po tym czasie wujek L. wręczył mi parę ładnych butów z cholewami, nie żądając nic w zamian. Były to moje pierwsze i ostatnie w życiu buty z cholewami. Chodziłem w nich chyba ze trzy lata.

W nocy mamy odwiedziny. Budzi nas głośnie walenie w okiennice. „Otwierać, otwierać!” – słyszymy. Wujek pyta kto oni są, a odpowiedź brzmi: „Partyzanci!” Ja i mama zajmujemy ostatni pokój. Drzwi do pokoju wujka i Stacha są zamknięte. Słyszymy jak wujek zapala lampę naftową, otwiera ganek i do środka wchodzi dwóch uzbrojonych ludzi. „Rekwirujemy na potrzeby wojska żywność i ubrania”. „Jakiego wojska?” – pyta wujek. „No, polskiego” – odpowiada jeden z nich. Za okiennicą, w ogródku słyszymy jeszcze jakieś głosy. Pewnie tam jest jeszcze paru. Z kuchni zabierają chleb, jajka, cebulę, wszystko co się nadaje do jedzenia. Biorą kozuszek, spodnie Stacha, jakiś koc – tego wszystkiego dowiedziałem się później po ich wyjściu. Ale nagle słyszymy: „A kto jest w tamtej izbie?” „Tam są uciekinierzy z Warszawy” – odpowiada wujek. Drzwi do naszego pokoju się otwierają, w świetle, które wpada przez otwór, staje postać jakiegoś barczystego draba z pistoletem zawieszonym na szyi. Omiata wzrokiem pokój i mówi: „My uciekinierów nie ruszamy”. Drzwi zamykają się. Moje nowe buty wciśnięte pod łóżko ocalały. Jeszcze trochę poszperali i wnet odeszli po cichu. Nie wiemy, czy to byli prawdziwi partyzanci czy zwykli rabusie, których w tym czasie nie brakowało.

Wracam sam po południu na Dąbrówkę. Wieczór teraz zapada szybko, więc się spieszę. Już doszła do nas piosenka: „Żołnierz drogą maszerował, nad serduszkiem się uzalił, więc go do plecaka schował i pomaszerował dalej..”. Nuczę sobie ją cicho i mi się lepiej idzie, ale jest już ciemno. Znam sobie ścieżką za podwórkami i budynkami omijam Błędów i wychodzę na drogę prowadzącą na Dąbrówkę. Idę ścieżką wzdłuż drzew. Ciemno choć oko wykol. Wtem dochodzi do mnie z daleka, od strony Dąbrówki, jazgot gąsienic na drodze. Częściowo jest ona wybita tłuczniem i odgłos ten niesie się daleko. Wnet słyszę też ryk silnika i w dali pojawiają się dwa malutkie, niebieskie światełka zbliżające się szybko w moją stronę. Zatrzymuję się i chowam przezornie za jedno z drzew, przytulając się do jego pnia. Metaliczny klekot gąsienic jest blisko. Znajduję się w odległości 2-3 metry od drogi. Środkiem jej wali jakiś duży niemiecki pojazd wojskowy. Na tle ciemnego nieba miga mi kabina kierowcy i sterzący nad nią karabin maszynowy z sylwetką żołnierza. Za nim widzę wystające zza burt pojazdu błyszczące i kiwające się hełmy. Transporter pruje pełnym gazem aż od gąsienic idzie wysoki świergot. Przewala się obok mnie z hukiem i hałasem. Ogarnia mnie smród spalin. Za chwilę mija pierwsze zabudowania Błędowa. Odrywam się od drzewa i idę dalej. Wydaje mi się jakby ci Niemcy byli w strachu. Bez przeszkód docieram na Dąbrówkę.

Jest późna jesień. Kopiemy teraz kartofle w polu. Z koszy wysypujemy je na furę i zawozimy je do kopca za chałupą. Nic nie można zostawić na polu, bo ukradną ludzie. Praca nie jest trudna, ale od schylania się strasznie boli w krzyżu. Wieczory już są długie, więc gramy w kuchni w karty. Robi się zimno i przenoszą mnie z nieopalanego pokoju do małej izdebki, w której śpi córka Heli – Jadzia ze swoją babcią.

Mamy najświeższe wiadomości z wojny: siły zbrojne aliantów stoją na zachodniej granicy Niemiec. Premier Mikołajczyk pojechał do Moskwy na rozmowy w sprawie granic powojennej Polski.

W tej tak ciężkiej rzeczywistości był jeden humorystyczny epizod. Ponieważ u Heli jest mało owoców, bo sad jest jeszcze młody, któreś niedzieli jadę z nią i Tadeuszem na Ignaców. Tam owoców jest dość. Zapręgamy konia i furę pokonujemy odległość do wujka Lachowicza. Aha, jedziemy też w innym celu. Będziemy tam wywoływać duchy. Może one nam coś powiedzą, np. kiedy wreszcie skończy się ta wojna? Tadeusz mówi, że do tego potrzebny jest tylko stół bez gwoździ. Zbiera się więc u wujka w pokoju większe towarzystwo, wyciągamy jakiś stół na środek i zajmujemy miejsca wokół niego na krzesłach. Blizsze oględziny stołu wykazują jednak, że tkwi w nim kilka gwoździ. Szukamy więc innego. Nie ma. Musi być ten. Dochodzimy do wniosku, że spróbujemy. Może te gwoździe nie będą duchom przeszkadzały. Tadeusz tu decyduje. No, zasłonić trzeba jeszcze okna, by było ciemno. Widział ktoś ducha w biały dzień? Zebrało się tam nas chyba z 8 osób. Siedzimy ciasno, jeden przy drugim. Dłonie na płask na stole, skrajne palce łączą się z palcami sąsiada czy sąsiadki. Mamy się skupić, nie wolno nic mówić. Tylko Tadeusz będzie rozmawiał z duchem. Duch ma odpowiadać uniesieniem się stolika do góry i puknięciami jego nóżek o podłogę.

A zatem siedzimy. Co pewien czas dochodzi do mnie głos Tadeusza: „Stoliczku podnieś się, stoliczku podnieś się”. Ale nic się nie dzieje. A my siedzimy, siedzimy i siedzimy. Tadeusz próbuje nawet pomóc duchowi i co raz to lekko unosi do góry krawędź stolika po swojej stronie, ale i to nic nie pomaga. Wściekł się ten duch dzisiaj, czy co? Czuję w sobie, że nie możemy wyjść z tego posiedzenia nieusatisfakcjonowani. Do licha, przecież tu siedzi tyle osób! Więc gdy Tadeusz podniósł troszkę krawędź stolika po swojej stronie, ja nacisnąłem lekko na blat stołu po swojej stronie. „Oho, duch przyszedł – zawołał cicho Tadeusz – stoliczek zaczyna działać”. Pewnie, że musiał działać. Jak ja nacisnąłem na stolik po swojej stronie, to po przeciwnej blat uniósł się do góry, a z nim i nogi stolika tak potrzebne temu nieznanemu duchowi. „Duchu, jak już możesz z nami rozmawiać, to puknij raz, a jak nie to – dwa razy” – Tadeusz chce upiec ciasto póki w piecu jest gorąco. Oczywiście byłem do tego przygotowany. Zwolniłem nacisk na stolik po swojej stronie, a po przeciwnej walnęło o podłogę, aż zadudniło. Byłem już przygotowany do doskonałej zabawy, tylko nie wiedziałem czy mi się to uda. No i posypały się różne pytania, takie jak: ile Hela ma dzieci? Ilu synów ma wujek? Czy u Kępków córka

wyjdzie za mąż w tym roku, czy w następnym? A wszystko polegało na pukaniu nóżkami od stołu o podłogę. Co wiedziałem dobrze to odpowiadałem właściwym stukotem; wszyscy wtedy spoglądali na siebie ze zdumieniem. Co nie wiedziałem, to też odpowiadałem stukotem – czy duch nie może się czasem mylić? Ale jedno pamiętam doskonale. Zapytano ducha, kiedy skończy się wojna? Co miałem odpowiedzieć – że nie wiem? Pomyślałem sobie, że podam datę obchodzenia swoich imienin w następnym roku: 22 maja 1945 roku. No i wystukałem tę datę. Wszyscy byli zadowoleni, że to tak już blisko i na tym zakończyliśmy posiedzenie.

Pomyliłem się tylko o dwa tygodnie. Po pewnym czasie przyznałem się, że to ja ruszałem wtedy tym stolikiem. Nikt tego nie chciał przyjąć do wiadomości. Nic nie pomagało, gdy pokazywałem, że w moich rękach „chodzi” każdy lekki stolik, krzesło, taboret, obojętnie czy ma, czy nie ma gwoździ. Może tam przekonałem kogoś, ale większość patrzyła na mnie ze zdziwieniem: „Co ty Wiesiek wygadujesz?”

Wracaliśmy kiedyś w trójkę z wyprawy, jak poprzednio, tylko Tadeusz był niedysponowany, bo trochę za dużo wypił. Ktoś nam wtedy musiał zrobić kawał i wyciągnął sworzeń, którym dyszel jest przymocowany do wozu. Hela siedzi obok mnie, ja powożę i w pewnej chwili... O rany! Konie z dyszlem skręcają w lewo, a wóz z nami jedzie w prawo. Koniec dyszla wypadł z cęg i wlecze się po ziemi. Ubaw mieliśmy po same pachy! Co paręset metrów zatrzymywałem konie i wbijałem kamieniem dyszel na swoje miejsce, a on znów wychodził. W końcu wolno, wolniutko zajechaliśmy na Dąbrówkę.

W grudniu spadł śnieg. Dużo śniegu. Chałupy przysiadły w nim głęboko. Znów przecieraliśmy ścieżki do studni, do obory, do stodoły. Chwylił tęgi mróz i wszystko zamarzło. Zaczęły się trudności z toaletą poranną i wieczorową, bo wszystko zimne, zlodowaciałe. Zasypiało się słuchając gwizdania wiatru w szparach chałupy. Rano człowiek szybko się ubierał i wychodził na mroźną biel, by porąbać drzewa lub pobiegać, aby się rozgrzać. Tzw. oporządzenie gospodarstwa, czyli danie paszy zwierzętom, podłożenie ściółki, wydojenie krów, przygotowanie drzewa do kuchni – to były najważniejsze prace w ciągu dnia. Pozostały czas włócił się wolno i leniwie. Gospośia i starszy parobek odeszli w swoje strony, został tylko młodszy, Antek, bo pracy zimą na wsi jest znacznie mniej. Jak tylko zrobił się wieczór zasiadaliśmy do kart w kuchni i tak grzmociliśmy do kolacji. Grałiśmy w „oczko”, w „tysiaca” i w „pokerka”. Po kolacji Hela zabierała nam lampę, bo trzeba było oszczędzać naftę i to był koniec zabawy. Wychodziliśmy wtedy na dwór, na podwórko, by odetchnąć świeżym powietrzem przed snem.

W końcu żeby nie zgłupieć od ciągłego grania w karty, postanowiłem zmienić nasze hobby. Zacząłem rozglądać się za szachami. Nie wiem już skąd, ale Tadeusz je zdobył. Odtąd zasiadaliśmy co jakiś czas w kuchni do partyjki. Hela, pani Małachowska i Jadzia z Alą wygrzewały się na klepce, a my robiliśmy sobie wzajemnie szach, mat. Tadeusz grał też dobrze w szachy, nie wiem skąd się tego nauczył, ale potrafił. Jako ciekawostkę podam, że w domu były skrzypce, na których potrafił on grać takie wiejskie melodyjki.

Boże Narodzenie minęło jako niepostrzeżenie i nadchodził nowy rok. Co on może mam przynieść? – zastanawialiśmy się wszyscy. Znów spadły śniegi i zawieje utworzyły zaspę na drogach, polach i w ogrodach. Mróz trzyma mocno, zamrznięta jest rzeczka Mogielanka, drzewa i płoty chylą się pod ciężarem śniegu. Czekamy...

## Koniec wojny

Styczeń 1945. Minał Nowy Rok i nic się nie zmienia. Jestem na Dąbrówce. Śnieg i mróz trzymają się. Czasem zaświeci słońce. Śnieg skrzy się w nim. Będzie większy mróz. Wodę nosimy blaszanym kubłem ze studni znajdującej się na podwórku. Cembrowina jej oraz drewniane koryto do pojenia krów i koni obmarzło grubą warstwą lodu. Woda wylana przypadkiem wkrótce zamienia się w ślizgawicę. Wieczorami ustawiamy sobie z Tadeuszem krzeselko w kuchni, rozkładamy na nim szachownicę i z zapalem oddajemy się szachom. Hela czasami gdera: „Ech, Tadeusz, ty byś tylko grał i grał” – lecz bierze wiadro i idzie do obory, by wieczorem wydoić krowy. Nie zrażamy się tym i kombinujemy jakby jeden drugiemu mógł wpakować mata. Po przyjsciu Heli wnet przygotowania do snu i wkrótce lampa gaśnie. Zimą wieś wcześniej kładzie się spać. I tak nam schodzi czas.

Chyba od 12 stycznia słyszymy dudnienie od wschodu. Trwa to jeden dzień, drugi, coraz bardziej się nasila. Wychodzimy na drogę i nasłuchujemy. Mnie się wydaje, że to strzelanina. Tadeusz mówi, że to czołgi jadą radomską szosą. Czasami dochodzi do nas grzechot, jakiś zgrzyt, czasami dudnienie staje się tak mocne, że aż ziemia drży. Wieczorem niebo jaśnieje w nierównych rozbłyskach, zapada czerń i znów pojawia się jasność. Przychodzi sąsiad pan Antoni M. i mówi, że u niego na noc zatrzymali się taboryci niemieccy. Parę wozów zaprzęgniętych w konie i kilkunastu żołnierzy. Są spanikowani.

Na skutek dudnienia idziemy późno spać. W nocy słyszymy je doskonale. W kierunku wschodnim pojawia się czerwona luna, która szeroko rozlewa się po horyzoncie. 14 stycznia, w niedzielę, o godzinie 6 rano wyraźne dudnienie zmienia się w strzelaninę działową. Wał z armat! Wybiegamy wszyscy na dwór, bo takiego huku jeszcze nie słyszeliśmy. Wyraźnie słyszymy terkotanie broni maszynowej. Huk

jest mocny i jakby przybliżał się do nas. Trwa cały dzień, słyhać odgłosy z frontu wschodniego. Chyba Rosjanie pchają się do przodu. Teraz już nikt nic nie robi, wszyscy obserwują, nasłuchują.

15 stycznia dudnienie i huki umilkły. Zapada denerwująca cisza. Gdziekolwiek tylko słyhać wokół nas strzały. Mróz jest siarczysty. Cisza ta jednak niepokoi nas i staje się nieznośna. Coś wyraźnie przeczuwamy.

Wieczorem jak zwykle wszyscy siedzimy w kuchni. Ja z Tadeuszem rozgrywam na krześle partyjkę szachów. Pozostali domownicy nie mogą patrzeć na nas. Nagle potężny błysk i ogromny huk! Zadzwończyły wszystkie szyby w oknie. Odskokczyliśmy od szachów i wypadliśmy na dwór. Znow błysk, huk, jasność na podwórku, słyhać odgłos kuli lecącej w przestrzeń. "To wała blisko nas, w Błędowie. Chyba Niemcy strzelają z działek, jakie tam widzieliśmy przed kilkoma dniami. Grupujemy się w sieni tuż przy progu. Dalej boimy się wyjść. Uspakajam wszystkich jak mogę. Chwilowa przerwa w hałasach. „No to ja może zdążę wydoić krowy” – mówi Hela i z wiaderkiem idzie do obory. Nie upłynęła chwila jak zniknęła w jej wnętrzu, a tu znow potężny błysk, huk, rżenie pocisku lecącego nisko nad nami. Szyby dzwonią. Hela biegnie z powrotem do nas, rozchlapując po drodze resztkę mleka z wiadra. Teraz błysk i huk powtarzają się bez przerwy. Na podwórku robi się widno jak w dzień. We wschodniej stronie pojawiło się nad horyzontem kilka czerwonych rakiet, które niebawem zgasły. Wtem zaterkotał karabin maszynowy w Błędowie. Puścił kilka serii i umilkł. Ucichły też wystrzały z dział. Stoimy dalej i słuchamy. Cisza. Wracamy do kuchni. Nie idziemy spać, tylko siedzimy w ciszy. Już wiemy, że coś się dzieje, że to na pewno bitwa z Niemcami, że front wschodni nareszcie ruszył. Czuwamy tak do 10-tej wieczorem i w końcu kładziemy się do łóżek. Nie można jednak zasnąć. Co raz ktoś wstaje i patrzy przez częściowo zamrożone okno. Późno w nocy, gdy przysnąłem na moment, budzi mnie babcia Jadzi: „Niech Wiesio zobaczy co widać” – mówi i ciągnie mnie do okna. Przez niezamrożony kawałek szyby widzę w oddali poruszające się małe białe światełka. Jest ich dużo, pełną jedno za drugim, jest ich cały sznureczek. Pojawiają się z lewej strony, defilują przed nami i wolno znikają za wyniosłością terenu z prawej strony. Za nimi czerń nocy powoli się zapala, wykwita luna pożarów, obejmuje czerwienią coraz większą przestrzeń horyzontu. Wokół nas wszystko się pali. Obserwujemy ten widok dość długo, w końcu zmęczeni kładziemy się spać.

16 stycznia, wtorek. Raniutko przychodzi chyłkiem brat Tadeusza, pan Antoni M. i po cichu nam mówi, że Rosjanie chyba są już w Błędowie. Po cichu, bo przecież Niemcy jeszcze mogą być. Taboryci niemieccy odjechali od niego dopiero przedwczoraj w wielkim popłochu, ale mogą być inne wycofujące się oddziały. Oni słyszeli w nocy, oprócz wystrzałów armatnich, również jakieś krzyki i turkoty dochodzące z Błędowa. Pokazuje nam kulki, które znalazł na ziemi koło swego gospodarstwa.

Jak było dowiedzieliśmy się później. Rzeczywiście, te wczorajsze strzały wieczorem, to była walka Rosjan z Niemcami w Błędowie. W nocy szpica sowiecka składająca się z 11 czy 12 czołgów przejechała przez naszą okolicę i z marszu usiłowała uchwycić Błędów. Jednak na skutek ciemności oraz wąskiego mostku przy młynie dwa czołgi wpadły do stawu. Podobno utopiło się paru z załogi. Pozostałe czołgi wjechały w uliczkę błędowską i tu natknęły się na ogień z dział przeciwpancernych. Wywiązała się wymiana strzałów, które my słyszeliśmy. Pierwszy czołg T-34 został trafiony i zapalił się. Prawie cała załoga, z wyjątkiem kierowcy, wyskoczyła i schroniła się do bramy domku, w którym mieliśmy te korepetycje. Kierowca, podobno popalony, umierał pod ścianą domku. Następne czołgi nie dały już Niemcom żadnej szansy. Minęły trafiony czołg, rozpędem zmiażdżyły działko, wybiły karabinami maszynowymi obsadę drugiego i rozpędziły Niemców na cztery wiatry. Żołnierze i cywile uciekali w popłochu samochodami i na pieszo. To wszystko usłyszałem z ust mieszkańców Błędowa. Mówili, że przeżyli straszną noc. Część jej przesiedzieli w piwnicach. Wierzę im – myśmy w Warszawie mieli znacznie gorzej i znacznie dłużej. Ich dotknęła wojna na samym końcu.

Z zatopionych czołgów jeden zdołał wygramolić się o własnych siłach, drugiego wyciągali prawie cały dzień innymi czołgami. Tymczasem my wychodzimy na podwórko. Wokół słyhać turkot i dudnienie. Na drogach, gdzieś daleko pojawiają się rosyjskie tanki. Wyglądają jak żuki. Wyłaniają się zza pagórka, pełną do góry tak, że sylwetki ich pokazują się na horyzoncie, zjeżdżają nieco w dół i dymią wzniesioną kurzawą śniegu. Wyglądają bardzo bojowo ze swoimi przysadzistymi wieżami i sterzącymi z nich lufami dział. Patrzymy na nie z Tadeuszem stojąc oparci o drewniany płot. Wtem słyhać warkot motoru w górze. Nisko, bardzo nisko, nad podwórkiem przelatuje samolot rosyjski. Jest to dolnopłat. Widzimy dokładnie pilotów siedzących w kabinie i wielkie czerwone gwiazdy na skrzydłach. Wiedzieliśmy już na pewno, że to sowieci przychodzą do nas. Zaraz potem pojawiają się na niebie ich samoloty. Lecą kluczami bombowce, a wokół nich, powyżej, krążą myśliwce. Jest ich sporo. Maszyny szturmowe wychodzą zza chmury, przechylają się na bok i szybują ku ziemi, by niższym lotem zniknąć w oddali. Cały ten dywizjon kieruje się na zachód, na wroga, torując drogę armii lądowej. Wtem blisko rozlega się hurkot. To idą czołgi przez Starą Dąbrówkę, znajdującą się za rzeczką Mogielanką. Wyraźnie, bo blisko, widzimy potężne gąsienice, działa, wieże i żołnierzy siedzących na stalowych kolosach. Postanawiamy z Tadeuszem tam iść, bo u nas na razie nic się nie dzieje. Idziemy prędko przez zamrożone bagno, przekraczamy rzeczkę po lodzie i kierujemy się na drogę do wsi, która



tu wchodzi do wąwozu. Skarpy jego wznoszą się na około 4-5 metrów. Wchodzimy do wąwozu i stajemy zaskoczeni. Prosto na nas wychodzą dwa rzędy żołnierzy rosyjskich ciągnących po obu stronach drogi. Za nimi idzie już ich gromada całą szerokością wąwozu. Ubrani są w grube, szare kożuchy i czapy z dużymi nausznikami. Na nogach mają walonki – buty do kolan z filcu. Na każdej czapie z przodu czerwona gwiazda. Przez piersi przewieszono mają swoje automaty – pepesze. Paru z nich miało krótkie kożuszki, z boku dyndała im raportówka. To chyba była starszyna – czyli oficerowie. Żołnierze obskoczyli nas dookoła: „Germańców niet?” – pytali. „Byli wczoraj” – odpowiedzieliśmy po polsku. Widocznie nas zrozumieli, bo jeden odpowiedział: „charaszo” i klepnął mnie po plecach. „A tabaka u was jest?”. Tadeusz miał, więc wyjął z kieszeni pudełko z tytoniem. Naraz wyciągnęło się ku niemu z dziesięć rąk i w oka mgnieniu pudełko było puste. Każdy z nich robił sobie skrętą z kawałka gazety, śliną z języka go sklejał i pakował do kieszeni. Robili to bardzo sprawnie, niemal w marszu. Ci co zostali w tyle biegiem doganiali czołówkę. Wnet zostaliśmy sami. Idziemy dalej. Widać samochody rosyjskie. Są to amerykańskie, mocne, ciężarówki, Studebekery. Wyjeżdżają zza zakrętu i walą przez wieś. Jedne naładowane są różnym sprzętem wojennym, na drugich siedzą żołnierze rosyjscy, inne obładowane amunicją ciągną działa przeciwpancerne, a nawet armaty. Pracują ciężko motory. Żołnierze machają do nas rękami. Odpowiadamy im również.

Wysypuje się ze wsi piechota. Na czele kilku ze starszyny, dalej brać żołnierska. Są zmęczeni. Idą bezładną gromadą. Prawie wszyscy uzbrojeni są w automaty, nieliczni mają karabiny. Między żołnierzami widzę młodych chłopców w moim wieku. Za piechotą ciągną wozy taborowe. Widzimy, że kolumna ta kieruje się wprost na Dąbrówkę. Piechota przechodzi rzeczkę po zamrzniętej tafli lodowej, wozy jadą do brodu. Gromada żołnierzy przeszła już na drugą stronę rzeczki i idzie wprost na gospodarstwo Heli. „Wracamy do domu – mówi Tadeusz – tylko biegiem”. Niestety za późno. Już z daleka widzimy na podwórku kręcących się rosyjskich żołnierzy. Wyciągają konie ze stajni; biorą je na podwodę. Jest przy nich Hela i Antek. Szamocą się z nimi, ale to nie pomaga. Jeden Rosjanin wskakuje na konia i truchtem wyjeżdża na drogę. Drugiego konia zaprzęgają do wozu. Dopadamy do nich w tym momencie. „Co to? Zabieracie Polakom konie? Jesteśmy przecież sojusznikami! Jak tak można?”. „Niczewo, niczewo, spakojno chazaj” – odpowiadają. Podjadą na wozie dwa, trzy kilometry i oddadzą. Są zmęczeni, a muszą Niemca gonić. „Ale jednego konia już zabrał wasz żołnierz!”. „Eto durak, my oddamy”. Nie ustępują i obsiadają furę we czterech. „Eto charaszo, tolko bystro”. Parobek wskakuje na wóz i chwytą za lejce. Patrzymy za odjeżdżającą furmanką, koń idzie klusem po ośnieżonej drodze. Zastanawiamy się czy wróci. Przecież gospodarstwo bez koni skazane jest na upadek.

Ale oto już na podwórko wkracza piechota rosyjska. Starszyna przystaje na moment, przy pomocy kompasu ustala kierunek marszu i wskazuje go ręką. Większość idzie dalej bez oglądania się na zagrodę, niektórzy wstępują do chałupy. Ci co weszli do kuchni chcą kusać, czyli jeść. Hela kroi duży bochen chleba na kromki, smaruje marmoladą. Każdy z nich łapie jedną i wypada na dwór. W oczach wszystko niknie i następni już nic nie mają. Pozostający w tyle biegiem doganiają kolumnę, która tymczasem oddala się, brnąc po śniegu, na przełaj przez pola. Wychodzimy z Tadeuszem na górkę do drogi. Wszystko jest pokryte śniegiem. Nie oddalamy się teraz od domu. Wszędzie dookoła widać ciemne smugi dymu, kolumny idących żołnierzy, czołgi pełzające drogami, samoloty na błękitnym niebie, błyski jakiegoś i słychać wybuchy. Wszystko to do niepoznania zmieniło spokojną okolicę, nadając jej niezwykle dynamiczny charakter.

Wtem ukazują się czołgi idące od Starej Dąbrówki. W miejscu, gdzie jest bród czołg bez zatrzymania wjeżdża na lód, który pęka pod jego ciężarem. Woda z kawałkami lodu tryska wysoko do góry, słychać wzmożony ryk silnika i stalowy kolos gramoli się na brzeg, a stamtąd wali na górkę drogą od brodu. Wtem skręca raptownie w lewo przez ogród pana Antoniego M. Pełźnie do szosy, łamiąc po drodze jakieś krzaki. Za nim skręcają inne posuwając się w długim szeregu. Biegnę do szosy prędko, chcąc być jak najbliżej tych ryczących potworów. Oto zza chałupy pokazuje się stalowa lufa, przód czołgu, wieża, gąsienice – powoli, bardzo powoli. Czołg zbliża się do drewnianego, kolczastego płotu, przewraca go, przejeżdża po nim, pakuje się do rowu i z rykiem wylazi na szosę. Za nim drugi, trzeci, dziesiąty, dwudziesty, trzydziesty, ba, zliczyć ich nie można. W ciągu niedługiego czasu wyboista, pełna dziur i dołów szosa zostaje sprasowana i wyrównana. Część czołgów gna prosto do Błędowa, część skręca w prawo, w szczerze pole. Prawie na każdym z nich siedzi kilku żołnierzy. Załogi otwierają włązy i głowy w hełmofonach pojawiają się nad wieżami.

Po południu wybieram się z synem pana Antoniego M. do Błędowa. Chcemy zobaczyć, co tam się dzieje. Idziemy polami, bo szosa jest całkowicie zajęta przez wojsko. Przechodząc przez pole jakiegoś gospodarza, widzimy w pobliżu stert siana stojące postacie ludzkie, rozebrane, częściowo w zielonych mundurach. Stoją nieruchomo z gołymi głowami. Mundury są niemieckie. Obchodzimy ich z daleka, bo może się ruszą, ale nie – stoją sztywno, wyprostowani, bez jakiegokolwiek ruchu. To schwytni przez Rosjan żołnierze niemieccy, którzy schowali się w stogu. Zostali zastrzeleni, rozebrani, powtykano ich

w śnieg i tak zamazli na stojąco. Przerażeni tym widokiem odchodzimy szybko, nie oglądając się za siebie.

Zbliżamy się do Błędowa. Już z daleka słyszymy huk motorów i widzimy jak dwoma czołgami wyciągają tego, co w nocy wpadł do stawu. Wylania się wolniutko, jak wielka kupa błota i mułu. Wchodzimy do miasteczka. Pełno w nim żołnierzy rosyjskich. Od razu rzuca się w oczy wypalony czołg sowiecki stojący na środku uliczki wiodącej do młyna, akurat naprzeciw domku, w którym mieliśmy korepetycje. Kolos ma wszystkie wazy otwarte, prawie cały jest ciemny od ognia, który go strawił. Z domków po obu stronach uliczki powypadały wszystkie szyby, niektóre mają rozwalone ściany frontowe od pocisków. Ale co to? Na niektórych z nich wywieszono już flagi polskie. O, jak dawno niewidziane. Na uliczce leżą zwalone, drewniane słupy telegraficzne. Druty z nich kłębią się na ziemi, zawalają trotuar. Koło szkoły na chodniku leży zabity żołnierz niemiecki w zielonkawym mundurze. Nikt go nie rusza.

Na rynku pełno samochodów, żołnierzy w szarych płaszczach, panuje tłok i tworzy się zator. Nigdy chyba Błędów nie przeżywał tak wielkiego ruchu. Ludzie pozdrawiają żołnierzy machaniem rąk, niektórzy całują się z nimi, płaczą, a nade wszystko gadają. Cieszą się z oswobodzenia od Niemców. Wisząc wysoko u szczytów słupów na stalowych rakach, telefoniści – żołnierze zakładają nowe linie, przywracając ponownie łączność telefoniczną. Z bocznej uliczki wyjeżdża kolumna samochodowa i zatrzymuje się na rynku. Do każdego pojazdu przyczepiony jest z tyłu mały, dwukołowy wózek. Na nim znajduje się jakaś okrągła, wklęsła tarcza, z której wystają dwie niepozorne lufy. Okazuje się, że są to moździerze – bardzo groźna broń. Kręcimy się jeszcze trochę wśród tego tłoku i pora wracać do domu.

Wracamy do wsi szosą. Zapada zmierzch lecz nadal ciągnie drogą nieprzerwany sznur samochodów ciężarowych, różnych pojazdów, przyczep, cystern, dźwigów itd. Jadą bez przerwy.

Siedzimy w kuchni, gdy nagle otwierają się drzwi i wchodzi do środka dwóch oficerów sowieckich. Ubrani są w kozuchy, a na nogach mają walonki. Chcą rozmawiać z haziąjem lub haziąjką. Tym razem Hela wysuwa się do przodu. Chodzi o to, że szukają noclegu dla siebie i żołnierzy i muszą na to zająć jakąś izbę. Hela odpowiada, że to i to pomieszczenie jest zajęte, ale w kuchni mogą przenocować. Jest łóżko, no i na podłodze położy się słomę. „No to charaszo – mówią, dodając, że chcą także kuszka. Trzeba powiedzieć, że starszyny załatwiają to spokojnie, grzecznie i ładnie. Chyba to jakaś wyższa szarża. Ze tak jest, przekonaliśmy się później. Jeszcze chwilę rozglądają się po kuchni, chwalą ciepły piec i wychodzą. Hela nastawia olbrzymi sagan z ziemniakami. Po kilku minutach słychać warkot silników i na podwórko wjeżdżają dwa samochody. Zdobyty, mały niemiecki Volkswagen i ciężarowy rosyjski Zip. Z Volkswagena wysiadają dwaj nasi znajomi, a z ciężarówki zeskakuje kilkunastu żołnierzy. Dwaj z nich od razu obejmują wartę. Jeden przed wyjściem z chałupy, drugi odchodzi w głąb podwórka. Pozostali wchodzi do kuchni, ściągają z siebie kozuchy lub płaszcze. Jedni się myją w misce z wodą, inni czeszą. Zrobiło się gęsto od ludzi. Siedzę na krawędzi łóżka i patrzę na to wszystko. Jeden z żołnierzy zasłania okno kocem. Stół już wysunięty na środek, wokół niego poustawiane ławy, krzesła, stołki. Starszyna wraz z kilkoma żołnierzami zasiada do stołu. Wszyscy od razu się nie pomieszczą. Nie przeszkadza to pozostałym. Rozsiadają się gdzie można: na łóżku, klepce, na pieńku, na jakiejś skrzynce. Hela ustawia gorącą górę kartofli na stole, w drugim naczyniu zupę, kładzie stos blaszanych talerzy obok. Jeden z siedzących wstaje od stołu, całuje Helę w rękę i odbiera od niej chochlę. Oni sami się już obsłużą. Hela się śmieje i dokłada na stół słoik pokrojonego chleba. Śpiewy słychać chórem. Bierze drugą chochlę i zajmuje się tymi co siedzą. Każdy otrzymuje to samo, co mają ci siedzący przy stole. Nikt nie prosi o łyżkę. Każdy z nich wyciąga ją sobie zza cholewy. Zaraz następuje zmiana warty i zmarznęci z apetytem pałaszują gorące danie.

Po kolacji, gdy stół jest uprzątnięty, starszyna wstaje i coś czyta – chyba jakiś rozkaz, bo wszyscy słuchają w skupieniu. Następnie rozkłada dużą mapę na stole. Jeden z nich zdejmuje lampę naftową z uchwyty i stawia obok. Następnie zwraca się do Heli i mówi, wskazując palcem na mnie i Tadeusza, czy nie moglibyśmy wyjść na chwilę na dwór. Wiemy, że to jest polecenie. Wychodzimy na dwór, a on przez uchylone drzwi rzuca jakieś krótkie słowo wartownikowi. Do Heli mają zaufanie, bo ich nakarmiła. Na zewnątrz ciemno, ale wszelkie przedmioty widać doskonale na śniegu. Wartownik pepeszę ma zawieszoną na szyi, palce ma na spuście, a lufę wysuniętą przed siebie. Na nas prawie nie spojrział. Wolno chodzi tam i z powrotem przed chałupą.

Pobył nasz na dworze trwa krótko, wnet drzwi się uchylają i kiwnięcie ręką mówi nam, że tajne sprawy zostały już zakończone. Wchodząc widzę jak mapa zostaje złożona i schowana. Siedzący przy stole wyjmują broń, rewolwery, opróżniają z magazynków, oglądają je i czyszczą szmatami. Zaczynają z nami rozmawiać. Powiadają, że gdy u nas jest 8 wieczorem, to u nich w Moskwie już 10 wieczór. Jeden z nich jest synem Polaka, który od lat mieszka na Syberii. Mówi słabo po polsku, dziwną mową, śmiesznie zaciągając przy tym słowa. Z nim rozmawiam najdłużej, bo jego najlepiej rozumiem.

Hela daje mi znak, bym został tu w kuchni i kimnął się razem z żołnierzami. Ktoś tu dla porządku musi zostać. Wnet przyniesiona słoma zostaje rozłożona na całej podłodze. Wojsko zdejmuje buty,

niektórzy suszą je na kuchni, kładą się pokotem jeden obok drugiego i przykrywają kożuchami. Obaj starszyny śpią na podłodze. Na żelaznym łóżku drzemiemy w poprzek w pięciu. Ja się wcale nie rozbieram. Pod zwisające nogi żołnierze podstawili sobie ławę. Zaraz rozlega się głośnie chrapanie, stękania i pojękiwania. Powietrze robi się aż gęste od wyziewów i smrodu. Jest mi gorąco i ciasno. Przez cały czas pali się nikłym płomieniem lampa naftowa. Co 2 godziny następuje zmiana wartowników i wtedy rozlegają się ciche przekleństwa budzonych. I tak do samego świtu. Nie zmrzyłem oczu ani na chwilę.

17 stycznia, środa. Rankiem starszyny wyjeżdżają natychmiast. Ciężarówka zostaje na podwórku, żołnierze zarzucają pepesze na ramiona i idą gdzieś na wieś. Przy samochodzie zostaje dwóch wartowników. Mróz nadal siarczysty, śnieg skrzy się w słońcu. Szosą od samego rana płynnie nieprzerwany strumień bojowego sprzętu. Przeważają teraz samochody ciągnące działa, z amunicją, wiozące różnorodny sprzęt, lecz raz za razem pojawiają się czołgi, transportery oblepione żołnierzami. Do dudnienia ziemi już się przyzwyczailiśmy.

Przychodzą z Ignacowa rodzice, zaniepokojeni tym co się u nas dzieje. Tam jest znacznie spokojniej. Tata mówi, że jak się przetoczy front to zaraz wracamy do Warszawy. Mama szykuje dwie małe paczki, dla siebie i taty, do niesienia. Wiemy już, że „ciuchcia” nie chodzi i będą musieli całą drogę odbyć pieszo, więc ciężar do niesienia musi być mały. Rodzice bardzo niepokoją się o nasze mieszkanie.

Pędem wjeżdża na podwórko amerykańska półciężarówka Dodge i hamuje z poślizgiem. Wyskakuje z niej rosyjski oficer. Głośno coś wykrzykuje, beszta wartowników. Jest zły, bo nie ma żołnierzy. Jeden z nich zaraz biegnie na wieś i wnet widzimy, jak gromadka bojców wraca w pośpiechu do nas. Na przedzie pędzi kierowca ciężarówki. Z miejsca wskakuje do kabiny, chce zapuścić motor, ale silnik zamarł przez noc i nie chce ruszyć. Żołnierze chcą popchnąć ciężarówkę, ale ta stoi jak przymurowana. Starszyna popędza szofera i klnie głośno. Kierowca coś mówi do żołnierzy, ci w jednej chwili przynoszą pęk słomy i kilka drewnien spod wiaty. Układają stosik pod silnikiem samochodu i zapalają. Bucha płomień, który stopniowo obejmuje drzewo, a jednocześnie ogrzewa od spodu parter motoru. Kierowca jest uważny; nie dopuszcza ognia tam gdzie jest benzyna. Po kwadransie kopniakami rozrzuca ognisko, wskakuje do kabiny, jeden z żołnierzy kręci korbą, silnik charkocze i zapala. Kierowca trzyma go na gazie, żołnierze ładują się do skrzyni i za chwilę ciężarówka wyjeżdża z podwórka tuż za Dodgem.

Nieco później widzimy jak skręca w stronę zagrody jakaś furmanka. Hela ma dobry wzrok. To wraca Antek! Wybiegamy wszyscy do niego. Chłopak wrócił cało z koniem i wozem do domu po 24-godzinnej podróży po różnych wertepach. Podwodę wykonał jak trzeba, lecz później wywinął się jakoś od dalszej jazdy, zdołał się wyrwać i wrócić do nas. Tadeusz uśmiecha się zadowolony, bo został mu chociaż jeden koń. Zapalają obaj z Antkiem po papierosie. Hela natomiast woła go na gorące jedzenie. Chłopak gasi papierosa o podeszwę buta i idzie do kuchni, by się rozgrzać. Konia wyprzęga sam Tadeusz.

Wychodzę na górkę, by popatrzeć na wojsko. Teraz jadą żołnierze na koniach, coś w rodzaju kawalerii, a za nimi konie ciągną jakieś małe wózki pokryte brezentem. Wtem... Czy mnie słuch nie myli? Dochodzą do mnie z daleka dźwięki polskiego kujawiaka. Dźwięk ten jest raz słabszy, raz mocniejszy, w zależności od siły wiatru. Nasłuchuję uważnie skąd dochodzi. Chwila przerwy. Pierwsze takty hymnu polskiego, jaki słyszę, wprawiają mnie w zdumienie i niedowierzanie. Dźwięk ten jest wyraźny i już wiem skąd pochodzi. To w Błędowie, odległym o 1,5 kilometra, jakieś radio gra nasz hymn i wiatr przynosi mi tą tak długo nie słyszaną melodię. Zawracam na podwórko i wołam wszystkich. Słuchamy z przejściem w zupełnej ciszy.

Postanawiamy z Antkiem pobiec do Błędowa. Ścinamy na przełaj przez pola część drogi i wychodzimy na nią przy zagrodzie pana Frania. Wydeptaną w śniegu ścieżką podbiegamy truchtem co pewien czas, tuż obok przewalającego się drogą wojska. Na samochodach ciężarowych widzimy teraz przewożonych żołnierzy, jak również żołnierki sowieckie – kobiety. Machają do nas rękami, więc i my im odpowiadamy machaniem. Wpadamy do miasteczka. Jak poprzedniego dnia panuje tu niezwykle ruch. Mrowie wojskowych, trochę cywilów, a wokół nich samochody, konie, wozy, armaty, tabory. Nad całym tym tłumem i rozgardiaszem panuje głośnie muzyka.

Na placu, przed kościołem, stoi sowiecki samochód wojskowy. Z umieszczonych nad kabiną kierowcy dwóch dużych głośników, włączonych na cały regulator, płyną w przestrzeń na zmianę polskie piosenki i nasz hymn państwowy. Skrzynia samochodu jest tak zabudowana, że tworzy kontener z bocznymi oknami i drzwiami z tyłu auta. W tej chwili drzwi są otwarte na oścież i stoi w nich jakiś sowiecki oficer w półokrągłej czapce. Otacza go tłumek ludzi, mieszkańców Błędowa, uciekinierów z Warszawy i przypadkowych podróżnych z tobołkami w rękę. Podchodzimy i my do tego zgromadzenia. W pewnej chwili muzyka milknie, oficer daje znak ręką, że będzie przemawiał. „Polacy – słyszymy przez głośniki – dziś wojska radzieckie i polskie zdobyły Warszawę. Warszawa swobodna! Wojska radzieckie i polskie nie zatrzymują się, lecz pędzą przekłętą germańca precz..” – itd. Więcej już nie słuchałem. To była dobra wiadomość.

Po przemowie oficer zapowiada, że zostaną rozdane ulotki, z których dowiemy się więcej. Staje wychylony na skraj otwartych drzwi i w rękę trzyma plik ulotek. Pyta się nas czy je chcemy. W odpo-

wiedzi wznosi się do góry las wyciągniętych rąk, bo każdy chce taką ulotkę przeczytać. Obok oficera w drzwiach pojawia się postać operatora, który wycelowuje w nas swą kamerę filmową. Oficer półkolistym ruchem ręki rozrzuca ulotki, my wyciągamy po nie race, łapiemy je i tak zostajemy zapewne w kadrze filmowym sowieckiego operatora. Oficer rzuca w ludzi drugi plik ulotek, operator filmuje nas zawzięcie, a potem zamyka drzwi. W tłumie robi się zamieszanie, bo większa część kartek spadła na ziemię i ludzie schylają się, by je podnieść. Znow włączają się głośniki i lecą z nich polskie melodie. Schylam się i podnoszę jedną z ulotek. Patrzę i oczom nie wierzę. To niemożliwe! Jestem bezgranicznie zdziwiony. Na ulotce, odbitej na powielaczu, jest wyrysowana mapka. Cienką linią oznaczono granice Polski przedwojennej oraz Niemiec, natomiast linią grubą granice Polski, jak będzie wyglądać po wojnie. Obszar ten zamalowano na ciemno. I co ja widzę? Sowietci zabierają nam chyba 40% terytorium! I to jako nasz sojusznik w walce z Niemcami?! Co to za sojusznik? W tej chwili nie chce mi się to pomieścić ani poukładać w głowie. To była niedobra wiadomość. Przez moment nie słyszę nawet skocznych polskich melodii, jakie lecą z dwóch głośników. Przypomniało mi się, że przecież w wojnie 1939 roku Sowietci współpracowali z Niemcami napadając na nas podstępnie od tyłu. Ale teraz to nasz sojusznik, razem tworzymy koalicję do walki z faszystami i powinni nam zwrócić nasze ziemie. Tak wtedy myślałem. Nie mogę na razie tego strawić. Rozglądam się dokoła. Ludzie z niedowierzaniem patrzą długo w mapkę, a potem podnoszą głowy i patrzą gdzieś w dal. Oni też nie mogą się z tym pogodzić. Polskie melodie wychodzące z głośników już nie wydają mi się tak piękne.

Ludzie rozchodzą się powoli i przy grającym samochodzie robi się pusto. W pewnej chwili muzyka w połowie kujawiaka urywa się i z głośników wydobywają się teraz skoczne przyspiewki rosyjskie – czastuszki. Partię solową prowadzi głos męski, a chór mu odpowiada. Tak wyglądało moje spotkanie z czołwką propagandową wojsk rosyjskich po przejściu linii frontu. Wracamy do wsi. Całą szerokością drogi kłusuje teraz kawaleria. Na małych stepowych konikach siedzą uzbrojeni jeźdźcy. Ciągną ich całe kolumny. Bokiem drogi idzie piechota. „Masz tabaku?” – pytają. Heniek wyciąga pudełko i w mgnieniu oka jest puste, opróżnione z tytoniu. Piechurzy robią sobie skręta z gazety i idą dalej.

Po południu szosą dudni ciężka artyleria. Duże ciągniki ciągną prawdziwe kolubryny na czterech kołach. Obsługa siedzi na siodelkach tuż przy armatach. Kolumna ta przesuwana szosą aż do samego wieczora. Gdy zrobiło się ciemno, hałas od jadących pojazdów nie ustaje. Droga znow wędrują sznurowadła. I tak do późnej nocy.

Wieczorem zajeżdża na podwórko samochód z wymalowanymi znakami czerwonego krzyża po obu bokach karoserii. Na nocleg przychodzi lekarka rosyjska, dwaj żołnierze – sanitariusze i kierowca. Lekarka jest panią w średnim wieku, w kozuchu, dużej czapie i oczywiście w walonkach, żołnierze w grubych płaszczach i też w walonkach. Lekarka cichym, spokojnym głosem wydaje żołnierzom polecenia i ci bez wahania je wykonują. Hela robi im kolację, po której następuje trochę konwersacji. Mój tata zna rosyjski, rozmawia więc z gośćmi i czasem występuje za tłumacza. Pani doktor jest rozmowna, kontaktowa i bardzo inteligentna. Bluzę jej zdobią dwa medale otrzymane za udział w wojnie.

18 stycznia, czwartek. Rano samochód z Rosjanami wyjeżdża. Szosą ciągną jeszcze kolumny różnych pojazdów, ale są one znacznie mniejsze. Następują przerwy między nimi, odstępy są coraz większe, aż w końcu koło południa ruch na szosie cichnie. Przemykają to w jedną, to w drugą stronę tylko pojedyncze pojazdy, przeważnie wojskowe samochody ciężarowe.

Rodzice szykują się do powrotu do Warszawy. Ustalają, że najpierw oni pójdą i zobaczą, jak się przedstawia tam sytuacja. Najważniejsze czy stoi kamienica i czy ocalało mieszkanie. Jeśli będzie tam w porządku, to tata zaraz wraca po mnie na wieś. Jeśli będą jakieś kłopoty, to zostaną tam razem na tydzień, by jakoś opanować sytuację i ja mam na Dąbrówce poczekać na powrót taty.

Na drodze pojawiają się pojedyncze sylwetki ludzi z tłumokami, idące w przeciwnym kierunku niż szło wojsko. Na razie jest ich niewiele, ale stopniowo liczba pieszych wzrasta i tworzą się niewielkie grupki, przesuwane się w stronę Golian. Wychodzimy do nich na drogę. Jedni cały swój majątek mają w plecaku, inni w torbie lub w wężelku na plecach. Ktoś ciągnie sanki obciążone dobytkiem.

Warszawa jest wolna. Dawni mieszkańcy stolicy na wieść o tym, że miasto jest wolne, zaczęli ściągać do ruin natychmiast po wyzwoleniu. My też byliśmy wśród nich. Wieczorem jakoś nikt nie przychodzi na nocleg. Wojsko się przewaliło, a warszawiacy poszli widocznie dalej. Hela nareszcie może odetchnąć. Mama i tata są już całkowicie przygotowani do podróży. Wyruszają jutro skoro świt. Do Trzylatkowa ma ich podwieźć na saniach Antek, bo „ciuchcia” na razie nie chodzi.

19 stycznia, piątek. Antek podwiózł trochę moich rodziców i wrócił. Mówi, że dużo ludzi maszeruje drogą w kierunku Bełska i Grójca. Niektórzy wracają wozami, ale większość na pieszo. Rodziców zostawił w Trzylatkowie. Odtąd zdani są tylko na siebie i własną pomysliwość.

Uspokoilo się na szosie. Obserwujemy tylko ludzi stale idących w kierunku Golian. Czasami przejedzie ciężarówka wojskowa lub cysterna. Wśród śnieżnej bieli dni oczekiwania wloką się niemiłosiernie. Życie na wsi wraca do normalności, ale już nie gramy w szachy z Tadeuszem. Trzeba odrobić zaległości w gospodarstwie, jakie się wytworzyły na skutek przejścia frontu. Hela dziękuje Bogu, że zawierucha wojenna ominęła jej dom i Dąbrówkę. Antek chce odwiedzić swoich rodziców

i odchodzi na parę dni do swego domu. Tadeusz zabiera się za młócenie żyta, bo zapasy mąki u Heli są na wyczerpaniu. W stodole przystępujemy do uruchomienia motoru do młockarni. Motor stoi na klepisku na dwóch drewnianych belkach, jest na ropy i pracuje na samozapłon. Duże koło zamachowe sterczy z boku. Jest z litego żelaza, grube, bo na nim chodzi pas transmisyjny poruszający młockarnię. Tadeusz macza pakuły w ropie, zapala je i wtyka do otworu w cylindrze silnika. Ja w tym czasie kręcę korbą i usiłuję rozpędzić koło zamachowe tak, by nabrało odpowiednich obrotów. Jest to ciężka praca, bo muszę pokonać kompresję w cylindrze i mimo kilkakrotnych prób nie udaje mi się to. Motor parę razy już złapał obroty, zadudniło: pach, pach, pach, pach, ale potem zwolnił i zatrzymał się. Tadeusz się denerwuje, ale to nic nie pomaga. Do tego potrzeba mocnego chłopca. Okazuje się jednak, że on nie może kręcić korbą, bo coś mu tam dolega. Przerwywamy więc robotę. Po południu przyjdzie starszy syn pana Antoniego M., to on pomoże uruchomić to żelastwo.

Pewnego dnia na podwórko przychodzi żołnierz rosyjski. Ma na sobie kozuszek jakiś zatłuszczony, pobrudzony. Hela wychodzi mu naprzeciw. „Matka – mówi – daj kusać, ja głodny”. Hela odpowiada, że wojsko już wszystko wyjadło, ale on mówi, że nie chce za darmo. On da za jedzenie „naftu”. Jest kierowcą. Ot, tam na szosie stoi jego cysterna, ma tam naftę. Patrzymy – rzeczywiście, na górce, na szosie stoi olbrzymi walec na kołach. Hela nie ma za wiele nafty i jej potrzebuje. Kroi w kuchni dwie kromki ciemnego chleba, duże, przez cały bochen i między nie wkłada plasterki słoniny. Zawija to w gazetę i wyjmuje dwie puste litrowe butelki. Wręcza je Rosjaninowi, pokazuje mu co jest w gazetce, a zawiniątko daje mnie. Mam iść z nim do samochodu i jak będzie nafta w butelkach, to wtedy dać mu to jedzenie. Kierowca sady dużymi krokami, ja idę koło niego, obaj milczymy. Oglądam się za siebie i widzę, jak za mną drepczą córki Heli: Jadzia ciągnie za rękę małą Alę. Cysterna stoi na poboczu drogi pod bezlistnymi drzewami, motorem zwrócona w stronę Golian. Widocznie wraca już z frontu. Kierowca wyciąga z kabiny rurkę gumową, klęka na śniegu przy cysternie i wkłada ją w jakiś malutki otworek. Bierze jedną butelkę do ręki, zasysa rurkę ustami i wylewający się z niej strumień kieruje do szyjki butelki. Za chwilę oba szklane naczynia są pełne. Podaję mu zawiniątko. Ociera zabrudzone ręce o jakąś szmatę, rozwija gazetę i łapczywie pochłania pierwszy kęs. Macha mi ręką i wchodzi do swej kabiny. Ja biorę butelki, każdą jedną ręką i idę z powrotem. Cysterna jeszcze stoi, widać jak kierowca posila się w swej kabinie. Napotykam na drodze Jadzię i Alę i razem wracamy już do domu.

Tak mija jeszcze parę dni. Tata nie wraca. Oznacza to, że tam są jakieś kłopoty. Oczekuję go niecierpliwie. W końcu pewnego popołudnia przychodzi. To co słyszemy z jego ust jest straszne. Warszawy nie ma. W miejscu gdzie było miasto są tylko zgliszcza i ruiny. Trudno nawet przejść, bo ulice zasypane są gruzem. Teraz, gdy wszystko pokrył śnieg, jest to jedna pustynia. Ale ludzie wracają do domów, do tych ruin. Wracają masowo; głównie na pieszo, ale także wozami konnymi, samochodami wojskowymi lub prywatnymi. W tej chwili w Warszawie nie ma życia. Całe życie skupia się na Pradze. Tam ocalały domy i tam są ludzie. Pełno jest polskich i rosyjskich żołnierzy. Na Pragę rodzice przeszli przez Wisłę po zamrzniętym lodzie, bo nie ma żadnego mostu. W czasie walk o Pragę nasza kamienica została trafiona pociskami i mieszkanie obecnie nie nadaje się do użytku. Rodziców przygarnęli państwo Waliszewscy, dobrzy znajomi z Rodziny Tramwajarskiej. Pani Waliszewska była dobrą przyjaciółką mamy. I tam właśnie musimy dotrzeć. Wyruszamy jutro rano.

Tata jest zmęczony, ale po obiedzie i lekkim spaniu dochodzi do siebie i czuje się dobrze. Pakujemy się. W zasadzie bierzemy trochę żywności od Heli, a ja składam swoje rzeczy: sweter, parę zeszytów, jakąś książkę. Zabieram też obsadkę do pióra ze stalówką i kałamarz z atramentem. Przecież tam na pewno jest trudno z takimi rzeczami. Mamy dwie paczki większe, jedną mniejszą i ja mam małą torbę płócienną do noszenia na ramieniu.

Wstajemy skoro świt i po śniadaniu ruszamy. Żegnamy się z Helą, starszą panią Małachowską, Tadeuszem i małymi ich córkami. To, że tu przeżyliśmy zawdzięczamy przede wszystkim Heli. Kałamarz z atramentem obwiązuję sobie sznurkiem i zawieszam na guziku od kurtki. Tak przywędruje ze mną do Warszawy. Tadeusz jeszcze wtyka tacie ćwiartkę wódki (czy bimbru) za pazuchę, może się przydać w drodze, a babcia Jadzi każe Antkowi podwieźć nas do Golian. Podobno „ciuchcia” już kursuje. Antek zaprzęga konia do malutkich sanek; są to w zasadzie krótkie płozy o długości około 1 m, tak że siedzimy opierając się o siebie plecami. W zimie takie płozy montuje się w furmance w miejscu kół. Jedziemy, a w zasadzie suniemy po dobrze ubitym śniegu. Oglądam się za siebie. Hela stoi w progu i wciąż na nas patrzy. Przejeżdżamy mostek i wolno suniemy pod górkę. Mijamy paru ludzi, którzy idą poboczem też w stronę Golian. Rozmawiam z Antkiem. U niego wszystko w porządku, chałupa rodziców stoi. Będzie pracował nadal na Dąbrówce. W dali ukazują się drzewa, wśród których stoi drewniana poczekalnia kolejki grójeckiej. Dojeżdżamy do drzew i zsiadamy z sanek. Krótkie pożegnanie z Antkiem – tata częstuje go dwoma papierosami. Tamten wskakuje na sanki, zakręca i natychmiast się oddala. Bierzymy nasze pakunki i podchodzimy do poczekalni. Jest koło niej parę osób czekających i dyskutujących. Okazuje się, że kolejka jeszcze nie chodzi. Jedni mówią, że od Mogielnicy do Grójca lada moment będzie uruchomiona (może dzisiaj), drudzy, że tory są pozrywane. Patrzymy z tatą na tory. W ogóle ich nie widać spod śniegu. Gdyby kolej miała ruszyć, to jakaś zgarniarka by te

zaspę z torów usunęła. Widzimy jak część ludzi wkracza na tory i brnie po śniegu w kierunku Grójca. My też przyłączamy się do nich. Wchodzimy na torowisko i brodząc w głębokim śniegu między szynami, zapadając się raz za razem po kolana, z trudem idziemy do przodu. Sznureczek ludzi idących torowiskiem stopniowo się powiększa – zarówno przed nami, jak i za nami i wydeptuje między szynami rynnę w śniegu. Po paru kilometrach idzie się już znacznie lepiej. Wyłania się słońce i bije od otaczającej nas białej przestrzeni oślepiający blask, aż muszę mrużyć oczy. Tata idzie za mną i czasem słyszę jego sapanie. Tak wędrujemy dość długo i w pewnej chwili dostrzegam, że zbliżamy się do szosy. Informuje mnie o tym rząd zaśnieżonych drzew i ruch ludzi. Szosa podchodzi z lewej strony, a tor kolejowy przecina ją niemal prostopadle. Z ulgą wychodzimy na ubity śnieg drogi i poboczem idziemy za innymi. Po przeciwnej stronie drogi również maszeruje szereg ludzi. Niektórzy z nich ciągną obładowane wózki dzieciinne, niektórzy sanki, ktoś jedzie na rowerze, inny ma tak obładowany rower, że musi iść pieszo. Najwięcej widzi się osób ciągnących piechotą. Mija nas jakaś furmanka zavalona tobołami. Siedzą na niej kobiety z dziećmi i dwóch mężczyzn.

Tak dochodzimy do Bełska. W ruchu jest nam ciepło. Ja idę w swych butach z cholewami. Tata ma obie ręce zajęte paczkami. Ja mam torbę przewieszoną przez ramię, a paczkę niosę w jednej ręce. Właściwie to marzną nam tylko palce u rąk obciążone ciężarem. Twarz przyzwyczała się już do mrozu. Czasem dokuczliwy jest tylko przeciwny wiatr. Na poboczu drogi leży, wywrócony do góry kołami, spalony niemiecki Volkswagen. Za nim, na boku, wrak ciężarówka z dziurą w kabinie szoferki wielkości dużej dyni. Omijamy je łukiem, nie zatrzymujemy się. Mijają nas ciężarówki wojskowe, rosyjskie Zisy. Siedzą na nich żołnierze telefoniści i widać duże bębny drutu.

W południe przechodzimy przez Grójec. Po obu stronach drogi prowadzącej do rynku widnieją kominy spalonych chałup. Tuż przed rynkiem wypalone dwa czołgi niemieckie i jeden sowiecki. Przy nich domy zrujnowane, poczerńiałe od spalenizny. W rynku ucierpiał prawie każdy budynek. Nie widać tu odpoczywających ludzi; każdy śpieszy do przodu. Dołączamy do szeregu idących poboczem drogi. Dalej pokonujemy kolejne wzniesienia i spadki. Przy jednym z nich mijamy z prawej strony małe, zamrożone jezioro. Jedzie w kierunku Warszawy wojskowa ciężarówka. W otwartej skrzyni siedzą ludzie, uchodźcy tacy sami jak my. Na środek drogi nagle wyskakuje kobieta i szeroko macha rękami. Kierowca hamuje mocno i zatrzymuje Zisa. Wychyla się przez okno szoferki. Na głowie rogatywka z polskim orzełkiem bez korony. Mówi spokojnie: „Kobieto, co ty robisz?”. Kobieta wskakuje na stopień samochodu, łapie tę głowę i całuje: „Kochaniutki, zabierz nas. Mam tu dzieci, już iść nie mogą”. Żołnierz oswabadza głowę, zwraca się do siedzącego obok wojskowego, ten kiwa przyzwalająco ręką. Kierowca wyskakuje i pomaga załadować się kobiecie na burtę skrzyni, podaje jej dwoje malców i wrzuca jakiś tłumok. Przy okazji do skrzyni wchodzi jakaś dziewczyna i mężczyzna. Kierowca krzyczy: „To już wszyscy, więcej nie zabieram! – zapuszcza silnik i odjeżdża. No, nie każdemu się tak udaje. Większość podróżuje na własnych nogach.

Dochodzimy w okolice Tarczyna. Bołą mnie już nogi. Myślę, że tatę też. Wszak południe już dawno minęło. Z daleka widzimy na poboczu drogi, pod drzewami, stojące działa. Podchodzimy bliżej. To rozbita, zamrożona bateria niemiecka. Cztery działa przeciwlotnicze, każde na 4-ch kołach gumowych z długimi lufami. Stoją nieruchomo w kolumnie. Jeden ciągnik i jeden samochód ciężarowy doszczętnie rozwalone i spalone. Wokół trupy obsługi w zielonkavo-niebieskich mundurach. Jedni leżą na ziemi w poskręcanych pozach, inni tkwią na siodełkach przy działach, niektórzy są popaleni całkowicie. Kilku już pozbawiono butów i częściowo ubrań. Leżą rozrzućeni na drodze i sznureczki ludzi mijają ich obojętnie. Widzimy naszych wrogów zabitych. Dotychczas widzieliśmy tylko rozstrzeliwanych Polaków.

Mijamy pobojeznik i dochodzimy do rzeczki Tarczynki. Mostek na niej wysadzono w powietrze. Samochodów tu nie ma, objeżdżają to miejsce dużym łukiem wychodzącym parę kilometrów za Tarczyn.

Wkraczamy do Tarczyna. Tu też mijamy spalone i zrujnowane domy. Widok ten już nas nie wzrusza. W 1939 roku widzieliśmy znacznie więcej. Wychodzimy z miasteczka na szosę do Warszawy. Zapada zmierzch. „Trzeba pomyśleć o noclegu – mówi tata – bo później wszystkie miejsca będą zajęte”. Słusznie, nogi mi już mocno dokuczają. W butach z cholewami nigdy tak długiej trasy nie pokonywałem. Chyba 2 kilometry za Tarczynem, w prawo od szosy, w pewnej odległości od niej widzimy jakieś chałupy. Skręcamy na wąską drogę prowadzącą do tej wsi. Gdy dochodzimy do pierwszych zabudowań jest tak ciemno. Widzimy tylko palące się światła w niektórych oknach. Szczekają psy. Tata puka do drzwi pierwszej z brzegu chałupy. „Chcieliśmy przenocować – gdzie tu jest sołtys?”. Sołtysowe gospodarstwo jest dwie chałupy dalej. Otwiera nam drzwi starszawy mężczyzna w baraniej czapce. Rzuca na nas wzrokiem i mówi: „Pewnie na nocleg? Chodźcie to was zaprowadzę”. Chwyta jakąś kapotę i wychodzi na dwór. Po drodze rozmawia z tatą; wie że idziemy do domu, tak jak i inni. Rozprowadza już czwartą rodzinę na nocleg tej nocy. Wieś nazywa się Wola Przyppkowska.

Nocleg mamy w sąsiedniej chałupie. „Słuchajcie – mówi sołtys do gospodarza siedzącego na ławie – przenocujecie tych dwóch. Idą do domu. Do Warszawy. Nakarmcie ich. Prześpij się tu w kuchni na podłodze”. „A jakże, będzie leżenie jak Bóg przykazał – odpowiada gospodyni – nie martwcie się sołty-

sie”. „No, to dobrej nocy” – sołtys podaje ręką tacie. Zdejmuję kurtkę i siadam na ławie. Na kuchni pali się mocny ogień i z otwartych drzwiczek pieca bucha gorąco. Słyszę jak tata o czymś tam rozmawia z gospodarzem, ale mnie obejmuje niespotykana senność. Palą mnie policzki od mrozu i czuję, że od pieca robi mi się za gorąco. Przenoszę się więc dalej na krzesło przy stole. Gospodyni odwrócona do nas plecami miesza dużą łyżką w czarnym saganie stojącym na rozgrzanej kuchni. Mam mokre skarpety, bo śnieg dostał mi się do cholew od góry. Odpoczywamy i czekamy na jedzenie. Naprawdę jesteśmy głodni po prawie całym dniu marszu. W końcu dosuwamy ławę do stołu, gospodyni stawia na stole miskę pełną gorących ziemniaków, a przed każdym z nas talerz z barszczem. Do tego po jednej dużej pajdzie ciemnego chleba. Gospodarz je również razem z nami. Po kolacji przeglądamy z tatą nasze ubrania, by jeszcze ewentualnie wysuszyć je przed jutrzejszą drogą. Kuchnia jest już wysprzątana, stół przestawiamy pod okno, gospodarz przynosi ze stodoły słomę i rozścielamy ją na podłodze w pobliżu pieca. Pod głowy podkładamy nasze bagaże, a przykryjemy się płaszczem taty i moją kurtką. Gospodarze idą spać do pokoju obok i kiedy się już ułożymy, to oni zgaszą lampę naftową. Buty i skarpety stawiamy przy kuchni – niech się suszą. Nie robieramy się. Ja śpię w swetrze i swoich spodniach, bryczesach. Wkrótce w kuchni zapada ciemność. Mimo, że jestem zmęczony, nie śpię dobrze, bo łapią mnie kurcze w łydki obu nóg. To daje się we znaki dzisiejszy marsz w butach z cholewami. Wstaję, rozcieram rękami twarde zwały mięśni. Powtarza się to kilka razy. W końcu zasypiam.

Jak tylko robi się widno, ubieramy się i nie czekając na śniadanie (zresztą gospodarze nie wykazują w tym kierunku żadnej inicjatywy) wychodzimy na szlak. Na szosie już suną w kierunku Warszawy szeregi ludzi obciążonych dobytkiem jaki im został. Zajmujemy swoje miejsce w tej procesji. Dziś musimy już dotrzeć do domu. Obok nas środkiem szosy przejeżdżają ciężarowe samochody wojskowe, czasem furmanka ciągnięta przez konia, raz przejechał obrzydliwie kopcąc jakiś samochód prywatny na gaz drzewny. Czasem takie wojskowe auto zabierze parę osób, lecz pozostali muszą cierpliwie i nieustannie dreptać do przodu. Przydałoby się jednak i nam czymś podjechać. Drogą ciągną prawdziwe sanie ciągnięte przez gniadego konia. Na kozie siedzi woźnica i powozi, a z tyłu w kozuchu – jegomość w dużej czapie. Tak się złożyło, że obok nas zwolnili i konik zaczął normalnie człapać. Podskoczył tata do tych sań i pyta czy nie mogliby nas podwieźć trochę. Powożący odpowiada, że sanie są już przeciążone, ale my wiemy, że to nieprawda. Jegomość z wąsami z tyłu nie bierze udziału w tej dyskusji. Ale tata nie daje za wygraną. Tym razem rzuca do gry swego asa! Wyciąga zza pazuchy ćwiartkę z przezroczystym płynem: „To będzie pana, jak pan nas podwiezie” – mówi. Powożący wyraźnie mięknie. Z nosa jego zwisa zamarznęty sopelek wody; przydałoby się coś na rozgrzewkę. „Koł jest zmęczony, bo jedziemy już długo – mówi – ale wrzucajcie bagaże na sanki. Teraz pod górkę pójdziecie pieszo trzymając się sanek, a od szczytu wskakujecie i jedziemy”. I tak zrobiliśmy. Mijaliśmy posuwające się szeregi ludzi z obu stron szosy i znacznie szybciej zbliżaliśmy się do celu.

Wnet szosę objęły laski sękocińskie i przez dłuższy czas sunęliśmy drogą jak w lesie. Ruch stał się tu większy. Poboczne zajęli wędrowcy, obok nich sunęły furmanki, sanki i inne pojazdy ciągnięte przez konie, środkiem przejeżdżały samochody wojskowe, rosyjskie lub polskie, różnych rodzajów. Minęliśmy zamarznęte lodem stawy falenickie i właśnie w takim bezładnym ugrupowaniu osiągnęliśmy Okęcie, a potem wjechaliśmy w ulicę Grójecką. Wolno wokół nas zmieniała się sceneria uliczna. Wyszły naprzeciw nam najpierw pojedyncze, zrujnowane i wypalone domy, potem przybywało ich, aż w końcu otoczyły nas pokryte śniegiem gruzy, wyglądające jak zbocza niesamowitych hałd. Gdzieś tam za tymi wzgórzami widać było ściany kamienic o wypalonych oknach, postrzępione pociskami, częściowo zrujnowane. Jechaliśmy środkiem ulicy, tuż obok przejeżdżających ciężarówek, bo nagle zrobiło się ciasniej.

Zbliżamy się do Placu Narutowicza. Tata przekazuje „zapłatę” powożącemu za podwiezienie, bo tu się zostajemy. Oni skręcają w kierunku Placu Zbawiciela, my będziemy szli dalej prosto. Zabieramy z sań nasze bagaże. Ruszamy w kierunku Placu Zawiszy wraz z luźnymi grupkami ludzi. Minęło już południe. Wypytyujemy przechodniów jak przedostać się na drugą stronę Wisły. „Najlepiej po lodzie – odpowiada jeden z nich – widziałem jak przechodzili ludzie przy moście Kierbedzia”. Podobno też jest jakiś most pontonowy za mostem Poniatowskiego, po stronie Saskiej Kępy. Nam jednak jest bliżej do domu od strony Kierbedzia. Postanawiamy obrać ten kierunek marszu. Skręcamy w Aleje Jerozolimskie. Na skrzyżowaniu ulic stoi żołnierka, „regulowszczyca”, w rogatywce, z pepeszą zarzuconą na plecy i czerwonymi chorągiewkami reguluje ruch. Środek ulicy między rumowiskiem wypalonych szkieletów budynków jest jako tako uprzątnięty. Widzę dużo żołnierzy rosyjskich na ciężarówkach. Na ścianach rzucają się w oczy napisy: „Min niet”, a nieco dalej po polsku: „Min nie ma”. Te informacje zostawiają saperzy oczyszczający miasto. Mijamy ruiny Dworca Głównego. Na szczycie tych ruin powiewa polska flaga. Na dole, przed nimi zatrzymała się ciężarówka wojskowa, na trzech osiach. Obok wyrasta coś na kształt małego bazaru, kręci się tam mała grupka ludzi. Skręcamy w Marszałkowską i idziemy do Królewskiej. Wokół ruiny domów i gruzy.

Jak mam opisać to co widzę i przez co wędruję? Jak to może sobie dzisiaj wyobrazić młody człowiek, który nie oglądał tego na własne oczy? Warszawa była jednym morzem ruin i zgliszcz. Nie

sposób było rozpoznać biegu ulic i zarysu placów. Jak okiem sięgnąć gruzy, wypalone szczątki murów, resztki ścian patrzące pustymi oczodołami okien, bezkształtne wertepy, tam gdzie kiedyś były ulice, poprzewracane wraki tramwajów, lamp ulicznych, resztki barykad i gdzieś tam przysypane śniegiem trupy ludzkie. Dokoła chaos zniszczenia, pustka i cmentarna cisza.

Kierowaliśmy się do Placu Piłsudskiego. Szliśmy zwałistym wąwozem Świętokrzyskiej o ścianach z resztek wypalonych murów frontowych fasad, a później wydeptaną ścieżką wśród ruin wspinaliśmy się po wertepach z cegły i gruzu. W powietrzu unosił się mdły zapach spalenizny. Wśród tego rumowiska pokrytego białym całunem widziało się tu i ówdzie ciemne postacie ludzkie, pojawiające się w coraz to innym miejscu, ruchliwe jak mrówki w rozwalonym mrowisku. Powracająca fala byłych mieszkańców miasta szukała tu dla siebie miejsca. Ale w środku Warszawy takiego miejsca nie było. Na skwerku Placu Małachowskiego – cmentarz. Szeregi mogił powstańców i cywilów. Krzyże drewniane, a na nich hełmy niemieckie z biało-czerwoną opaską.

Ogród Saski. Szkielety potwornie okaleczonych drzew, połamane, popalone, szerniałe. Przechodzimy obok ruin Pałacu Saskiego, tam gdzie był Grób Nieznanego Żołnierza. Piękna arkada leży pogruhotana całkowicie, zostały na parterze tylko dwa, czy trzy łukowe przeszła z kawałkiem galeryjki nad nimi. Wychodzimy na Krakowskie Przedmieście gdzieś w okolicy Trębackiej. Kościół św. Anny – ruina bez dachu, puste okna, zniszczony portal. Przechodzimy przez zasypaną gruzem jezdnię, przez cmentarzyk poległych na skwerku i zstępujemy wąską ścieżką wśród ruin ulicy Bednarskiej na dół do Wisły. Ścieżka ta ma stromy spadek, więc poruszamy się ostrożnie, by nie upaść. Przed nami kilka osób idzie w tym samym kierunku co i my. Przecinamy Dobrą, a raczej ogromne zwałowisko gruzu i już po lewej stronie widoczna jest potężna ruina Domu Schichta. Wynurzamy się na zaśnieżone wybrzeże i naszym oczom ukazuje się skuta lodem Wisła. Po drugiej stronie widoczna Praga. Już jesteśmy blisko. Kierujemy się za idącymi w stronę mostu Kierbedzia. Most jest wysadzony w powietrze. Dwa jego środkowe przeszła leżą zerwane między filarami, jak i część kratownic prostokątnych od strony obu brzegów rzeki. Cała ta konstrukcja leży na dnie, a obecnie widać ją częściowo nad lodem połamaną i porwaną. Zostały tylko całe przeszła kratownic od strony brzegów.

Podchodzimy do grupki cywilów, otaczających dwóch polskich żołnierzy w czapkach uszatkach z orłem bez korony. „Panowie, czy tu można przepłynąć się po lodzie?” – pytamy. „Tak, można. Tylko pojedynczo, w odstępach, tą ścieżką niedaleko mostu” – odpowiadają. Na drugim brzegu widoczny jest w zapadającym zmroku budynek szpitala Przemienienia Pańskiego. Od naszego miejsca równoległe do mostu wije się po lodzie wydeptana ludzkimi nogami kręta dróżka. Obok dróżki widzimy po obu jej stronach, w nierównych odstępach ciemne skrzynki. Mamy je omijać, nie wolno do nich się zbliżać.

Pierwsze osoby już zeszyły na lód i idą pojedynczo w pewnych odstępach, jedna za drugą. Wnet i my schodzimy po małej skarpie na tafłę lodową. Ja idę pierwszy, za mną w odległości 10 metrów tata. Idę patrząc na ścieżkę, by z niej nie zbyć. Lód wydaje się być gruby, pewny. Po lewej mijamy kolejno zniszczone filary mostu Kierbedzia i jego pogieęte stalowe przeszła wystające znad lodu. Za nami idzie parę osób. Kiedy zbliżamy się do praskiego brzegu robi się prawie ciemno. Wychodzimy na brzeg tuż przy rozwalonym budynku stacji kolejki wąskotorowej, przecinamy jej tor i wąską drogą, biegnącą między budynkami szpitalnymi a nasypem ulicy Zygmuntowskiej, dochodzimy do placu przed szpitalem Przemienienia Pańskiego. Nie ma jednak Kościoła św. Floriana. W tym miejscu piętrzy się zwałowisko gruzu, z którego wystają jakieś resztki gotyckich filarów.

Skręcamy w ulicę Floriańską, przecinamy Jagiellońską. Otaczają nas nie zrujnowane kamienice, choć również ze śladami wojny. Oddycham z ulgą. Tu i ówdzie widać spieszących przechodniów oraz żołnierzy rosyjskich i polskich. Mijamy Targową. Tu już ludzi jest znacznie więcej, choć zapadł już całkowity mrok. Nie widzę światła elektrycznego, nie palą się latarnie uliczne. W oknach mijanych kamienic jest prawie ciemno. Na Ząbkowskiej po lewej stronie ruiny rozwalonych kamienic, dalej mijamy budynki Monopoli Spirytusowego i wchodzimy w Kawęczyńską. Nie idziemy jednak dalej prosto do naszej kamienicy, do naszego mieszkania. Na wysokości zajezdni tramwajowej tata skręca w lewo, w stronę Folwarcznej i przez jakieś gruzowiska prowadzi mnie do ul. Łochowskiej. Wnet rysuje się przed nami wysoka, czteropiętrowa kamienica u zbiegu ulic Siedleckiej i Łochowskiej. Wchodzimy do ciemnej bramy i macając rękami poręcz schodów wdrapujemy się w absolutnych ciemnościach na 4 piętro. Tata puka do drzwi po lewej stronie podestu. Chwilę czekamy. Drzwi się otwierają i staje w nich drobna postać kobiety. To pani Waliszewska. „O, już są – mówi do kogoś w środku – wchodzić”. Wchodzimy do przedpokoju i w tym momencie widzę, jak z otwartych drzwi pokoju wychodzi moja mama. Witamy się z panią W., jej córką Krystyną i mamą. Pana W. nie ma. Jeszcze nie wrócił z pracy. „Państwo Waliszewscy udostępniłi nam pokój – zwraca się mama do mnie – do czasu jak wyszukujemy sobie nasze mieszkanie”. Rozumiem to, ale moja niepewność o nasze mieszkanie wciąż nie daje mi spokoju. Co się z nim stało?

Jesteśmy zmordowani drogą i mama zabiera nas do naszego pokoju. Przechodzimy przez jeden z pięknie wypastowanymi podłogami i przez wysokie, białe drzwi wchodzimy do następnego. To jest nasze tymczasowe mieszkanie. Pokój jest wysoki, narożny, w kształcie trapezu z jednym oknem



zasłoniętym jakąś kapą. Nadal bowiem obowiązuje zaciemnianie, gdyż strefa jest przyfrontowa. Pomieszczenie jest znacznie mniejsze niż nasze mieszkanie na Kawęczyńskiej. Jest tu już moje żelazne łóżeczko dziecinnie, które przyniósł tata ze zniszczonego mieszkania. Za oświetlenie służy dobrze mi znana karbidówka. Myjemy się i mama stawia na stole gorącą kolację. Po jedzeniu czuję, jak nachodzi mnie sen, kiwam się, lecz mama nie daje za wygraną. Zabiera naczynia i kładzie przede mną, na stole, rozpostartą gazetę. „Pokaż co tam masz” – mówi i zaczyna mi czesać włosy gęstym grzebieniem. Na gazetę zaczynają wyskakiwać malutkie, białe żyjątka, których zaczyna być coraz więcej w miarę wyczesywania mojej czupryny. To wszy! Tłukę je przez gazetę własnym palcem, aż trzaskają z hukiem. Niestety, w zimie na Dąbrówce nie było właściwie żadnych warunków do utrzymania osobistej higieny. Na wojnę tej sprawy nie można całkowicie zrzucić.

Po wyczesaniu mama zabiera mnie do kuchni pani W., gdzie na taborecie czeka na mnie duża miska z gorącą, parującą wodą. Najpierw sam myję sobie głowę, później mama osobiście szoruje mi łepetyne drugi raz. Ostateczne wyczesywanie następuje w naszym pokoiku i kończy się zdecydowanym poleceniem: „Jutro do fryzjera i strzyżenie na zero”. Nie śmiem oponować, bo oczy same zamykają mi się do snu. Tata już śpi na kozetce srodze zmordowany. Odbył przecież dwukrotnie taką podróż. Walę się na moje łóżeczko dziecinnie. Światło jeszcze się pali, mama coś tam robi przy stole. Żadne myśli nie przychodzą mi do głowy. Momentalnie zasypiam.

## Pozostałości wojenne

Wstaje rano 3 lutego 1945 roku. Jestem już w Warszawie, a konkretnie na Pradze. Naszym tymczasowym mieszkaniem jest pokój u państwa Waliszewskich w kamienicy przy ul. Łochowskiej 2. Zima króluje w całej pełni. Rano idę do fryzjera, który strzyże mnie na rekruta i od tej pory jest mi zimno w głowę. Pozbywam się jednak w ten sposób nieproszonych gości, wstydu i nareszcie mam spokój.

Tata poszedł już do pracy do swej zajezdni przy ul. Kawęczyńskiej. Tramwajarze remontują swoje wagony pod gołym niebem i każda para rąk jest tam potrzebna. Trzeba też odbudować podstacje prostowników. Dawni pracownicy zgłaszają się do roboty nie patrząc na wynagrodzenie. W końcu jakoś to się unormuje.

Idę zobaczyć na Kawęczyńską co się stało z naszym mieszkaniem. Już z ulicy widzę inną ścianę frontową naszej kamienicy. Na części budynku brakuje piątego piętra i tuż koło naszych okien, na drugim piętrze nie ma jednego mieszkania. W górze sterczą jakieś powyrywane cegły, belki, a dalej widać ruiny murów. Wbiegam do bramy i pędzę po schodach na II piętro. Skracam w korytarz prowadzący do naszego mieszkania. Zawsze w nim było ciemno – teraz jest widno. Zaraz po prawej stronie przez wyrwany otwór drzwiowy zieje jasnością światła pustka. Staję przy nim. Nie ma mieszkania na drugim piętrze. Ogromna sterta gruzu zalega na całym stropie pierwszego piętra. Widać rozwaloną ścianę frontową z otworem okiennym i balkonem. Nad tym rumowiskiem sufit stanowi w tej chwili błękitne niebo, a padające ukośnie jaskrawe promienie słoneczne oświetlają to wszystko. Ruszam kławką naszego mieszkania. Drzwi są zamknięte. Jednak na ten hałas uchylają się inne drzwi i ukazuje się w nich głowa sąsiadki. Kłaniam się jej. Początkowo patrzy na mnie uważnie. Poznaje mnie i nagle się uśmiecha: „A... to pan. Mielicie państwo szczęście – powiada – mieszkanie ocalało”. „Ale jak to się stało? Była pani przy tym?” – pytam głupio. „Jak bym przy tym była, to nie mogłabym z panem teraz rozmawiać” – odpowiada mi sąsiadka. Ma całkowitą rację. W końcu jednak dowiedziałem się od niej jak to było.

Stało się to 13 września 1944 roku w czasie ofensywy rosyjskiej. Czołgi niemieckie były na Kawęczyńskiej, gdy od strony wału kolejowego i Grochowa nacierali polscy żołnierze z Armii Wojska Polskiego, tzw. „kościuszkowcy”. Armaty strzelały od strony Grochowa w Niemców i czołgi ich wycofały się. Żołnierze polscy opanowali ulice Kawęczyńską, Radzywińską i okolice Dworca Wschodniego. Pociski nadleciały właśnie od strony Grochowa. Jeden z nich przebił komin „Ramówki” na wylot, pozostałe trzy uderzyły w naszą kamienicę rozwalając dach i część trzeciego piętra. Jeden pocisk nie wybuchł. Saperzy odnaleźli go w rozwalonej szafie sąsiadki z drugiego piętra, tej która mieszkała obok nas. Dlatego zawalił się strop jej mieszkania. Saperzy mówili, że gdyby wybuchł i ten pocisk, to zmiotłoby całkowicie i nasze piętro. Unieszkodliwili go i wywieźli samochodem.

Wchodzę na trzecie piętro. Od podestu klatki schodowej do końca korytarza po naszej stronie nie ma sufitu. Nade mną duża przestrzeń błękitnego nieba. Nie ma też jednej ściany korytarza, tej od strony ulicy. Został jedynie kawałek muru na końcu korytarza i tkwią w nim drewniane drzwi. Można nimi wyjść na strop nad naszym mieszkaniem. Próbuje je otworzyć, ale się nie dają, gdyż nie pozwala na to zalegający z przeciwnej strony gruz. Mogę je uchylić tylko na szerokość dłoni. Patrę na strop nad naszym mieszkaniem spoza kawałka pozostałej ściany korytarza. Widzę na nim ogromną górę różnego gruzu, cegieł, tynku, połamanych belek, desek. Wszystko to przykryte grubą, zamarznąłą pokrywą

śniegu. Ściana frontowa trzeciego piętra wraz z otworami okiennymi na odcinku naszego mieszkania pozostała, dalej jej nie ma.

Wiem już wszystko. Trzeba jak najszybciej usunąć gruz ze stropu naszego mieszkania, by się nie załamał pod jego ciężarem. Wracam na Łochowską przez zasypane śniegiem gruzy przy dawnej kamienicy pani Śmigielskiej. Z niej pozostało tylko wielkie wzgórze. Mama z tatą przenieśli z Kawęczyńskiej część rzeczy, takich jak pościel, bieliznę, ale reszta tam pozostała. Chodzi o to, że trzeba przenieść pozostałe rzeczy, bo tam wszystko się niszczy. Mama mówi, że tam z sufitu cieknie woda, jak przygrzeje słońce, a poza tym nie ma tam wszystkich szyb. W środku hula śnieg i wiatr. Należy też przynieść otomanę, bo nie ma tu na czym spać. Załatwimy to jak tata wróci z pracy.

Ponownie wychodzę na dwór. Chcę zobaczyć na własne oczy co się tu zmieniło podczas mojej nieobecności. Wszak nie było mnie tu przeszło 7 miesięcy. Na ulicy długie kolejki marznących ludzi z wiadrami po wodę ze studni. Kieruję się do Żąbkowskiej. Pełno przechodniów. W miarę jak zbliżam się do Targowej ulice zalega tłum. To bazar Różyckiego tak czyni. Jest on głównym ośrodkiem handlu wszelkimi rzeczami. Można tu kupić lub sprzedać prawie wszystko. Jakiś Ził z wojskowymi jedzie wolniutko środkiem ulicy i ludzie się przed nim rozstępują. Na Targowej do stojącej ciężarówki wojskowej wsiadają cywile. „Kto do Warszawy?” – woła wychylony przez okno szoferki młody żołnierz. Za chwilę wóz rusza w kierunku Alei Zielenieckiej. Na lewy brzeg pojedzie po drewnianym moście pontonowym, znajdującym się w pobliżu wysadzonego w powietrze mostu Poniatowskiego. Podobno saperzy postawili go po wyzwoleniu Warszawy w ciągu 48 godzin.

Jak obecnie wiemy w styczniu 1945 roku na Pradze było 140 tysięcy ludzi, a w Warszawie (na lewym brzegu) tylko 22 tysiące. Wszystkie urzędy funkcjonowały tylko na Pradze. Tu koncentrował się handel, tu było główne miejsce pobytu powracających mieszkańców. Na lewym brzegu była pustka.

Wracam do domu. Tata wrócił już z pracy. Jutro przeniesiemy niektóre rzeczy z Kawęczyńskiej, a od niedzieli weźmiemy się za usuwanie gruzu ze stropu.

Wieczorem jemy wspólną kolację z państwem Waliszewskimi z racji naszego powrotu. W kuchni zakryty białym obrusem stół, do którego zasiadamy wszyscy z gospodarzem domu. Oczywiście kolacyjka skromna, ale pozostawiła jak najlepsze wrażenie o ludziach, którzy w pierwszym odruchu pomocy bliżniemu przyjęli nas do siebie.

Następnego dnia rano jesteśmy już z tatą na Kawęczyńskiej. Wchodzimy do naszego mieszkania. Pierwsze co widzę, to nadmiernie wygięty sufit, zwłaszcza w środku. Porobiły się na nim duże rysy. Drugie – to zamaznięta tafla lodu na podłodze. Woda przeciekła przez strop i zamarzała na deskach. Pełno jest także śniegu na parapecie okiennym, tam gdzie nie ma szyb. Wszędzie leżą odłamki tynku i szkła. Demontujemy z tatą otomanę. Tu okazuje się, że ocalał schowany w niej rower wujka Genka. Najpierw więc znosimy oparcie i transportujemy je na pieszo, z odpoczywkami, na Łochowską. Później przenosimy waliki. Natomiast dolną skrzynię i kanapę transportujemy na moich sankach wyciągniętych z piwnicy. Wszystko to wnosimy na czwarte piętro i ta czynność zajmuje nam czas do południa. O 12-tej tata idzie do pracy, natomiast ja z mamą przenosimy jakieś drobiazgi – talerze, łyżki itp. rzeczy. Zabieram też rower. Z piwnicy przynoszę zostawione tam przez nas dwa oszklone ramiaki okienne i zakładamy je z mamą na okno, w którym nie ma szyb. Do naszego mieszkania nie będzie dostawał się teraz śnieg i deszcz.

Idziemy zobaczyć z mamą co jest na Kawęczyńskiej 22. Mieszkanie wujka Władka jest zamknięte. Prosimy sąsiadkę z przeciwka, żeby dawała na nie baczenie. Wujek Władek przecież może wrócić do niego. Idziemy również do cioci Jasi na Cmentarną. Mama chce się dowiedzieć coś o Piotrusiu. Okazuje się, że ciocia i wujek przeżyli, a mieszkanie ich ocalało. Synek ich, Wojtek, bawi się razem z Piotrusiem. Jak tylko wyremontujemy nasze mieszkanie, to zabierzemy Piotrusia do nas. Teraz musi jeszcze pobyc u cioci.

Nie mogę napotkać żadnego kolegi z tajnych kompletów. Spotykam za to jednego „kolesia” z Kawęczyńskiej. Od niego dowiaduję się, że Józio B. oraz Zbyszek C. polegli w Powstaniu Warszawskim.

Zaczynamy z tatą odgruzowywać nasze mieszkanie. Bierzemy dwa blaszane kubły i od pani dozorczyńni pożyczamy łopatę. Na strop nad naszym mieszkaniem można wejść tylko przez te drzwi na trzecim piętrze w końcu korytarza. Musimy je otworzyć, bo przez nie będziemy wnosić gruz. Napieramy razem na drzwi i udaje nam się powiększyć nieco otwór, ale nie ma mowy żebym tam się wcisnął. Jedną ręką zaczynam wybierać cegły zza drzwi, by usunąć to co nie pozwala nam je otworzyć. Wszystko jednak jest zamaznięte i trudno jest oderwać jedną cegłę od drugiej. Przynoszę więc młotek z mieszkania i staram się rozruszać zamaznięty gruz. Stopniowo napełniam jeden kubel, potem drugi. Tata znosi je na dół, na podwórko. Wreszcie po pewnym czasie drzwi się tak uchylają, że mogę wcisnąć się do środka na zamazniętą kupę gruzu. Teraz pracując łopatą i młotkiem usuwam przeszkodę. Możemy teraz pracować normalnie. Najpierw ja rozbijam gruz i ładuję do kubłów, a tata znosi go na podwórko, później zamieniamy się i przeważnie ja będę znosił gruz, a tata napełniał kubły. Pracujemy gołymi rękami. Napełnione wiadra znoszę z trzeciego piętra na dół i zawartość ich wysypuję na dużą stertę gruzu, która zalega na części dawnego ogródka pani dozorczyńni oraz podwórka.

Minęło już pół dnia, ale gruzu usunęliśmy niewiele. Idzie nam to ciężko, bo duże kawały muru trzeba rozkruszać na drobne, wyciągać jakieś połamane belki, deski. Tak będziemy pracować przez cały tydzień. W końcu ukazują się deski podłogi i wtedy dokładnie widzimy jak ciężar usuniętego gruzu wygiął strop nad naszym mieszkaniem. Pośrodku podłogi jest znaczne wgłębienie, które wypełnia tafła zamrożonego lodu. Skuwamy ten lód i zabieramy się do usuwania luźnych cegieł i ich resztek ze ścian wokół naszego stropu. Część dobrych cegieł zostawiamy – przydadzą się do remontu. Na samym końcu miotłą zmiatamy jego powierzchnię do czysta.

Prace przy odgruzowaniu mieszkania zajęły nam około 10 dni. Więcej na razie nic nie można zrobić. Musimy nad naszym stropem wybudować dach, ale nie mamy obecnie żadnych materiałów do tego celu. W mieszkaniu przesuwamy meble pod ściany, tak by przeciekająca woda nie niszczyła ich. Na środku podłogi ustawiamy dużą blaszaną miskę, a obok niej garnki kuchenne. Woda przedostaje się przez strop przeważnie w miejscu jego największego zagłębienia. Teraz z tatą rozglądamy się za jakimiś deskami.

Ojciec idzie do pracy, a ja powędruję na lewy brzeg, do Warszawy. Mówią, że z zalegającego tam gruzu można wyciągnąć niezłe materiały do odbudowy. Wszyscy tak robią. Idę na pieszo przez most pontonowy. Po jego jednej stronie sunie sznur samochodów ciężarowych, po drugiej odbywa się ruch pieszy. Co parę kroków na moście stoją saperzy i czuwają nad jego bezpieczeństwem. Czasem przemknie furmanka prywatna lub platforma wioząca ludzi to w jedną, to w drugą stronę. Zagłębiam się w ruiny Powiśla. Co parę kroków napotykam ludzi przeprawiających się przez gruzu lub coś w nich rozgrzebujących. Na resztkach murów napis: „min nie ma”, a na połowce drewnianej bramy wyskrobano: „Jestem na Wileńskiej – Tadek”. W oddali widzę grupkę saperów idących na poszukiwanie min. Szukam desek lub krawędziaków. Wchodzę na jedno wzgórze pokryte śniegiem, potem drugie. Wędruję wąską ścieżką wydeptaną ludzkimi nogami i w miejscu, które dawniej było podwórkiem, w kącie między resztką muru a jakąś ścianą napotykam pozostałości po drewnianym płocie. Udaje mi się wydobyć dwie deski, których końce są nadpalone i mały krawędziak. Wiążę to wszystko sznurkiem i biorę pod pachę. Trzeba z tym ciężarem wracać do domu. Wędruję dalej już na przelaj przez rumowisko i schodząc z jakiejś fali tego niespotykanego morza gruzów, w dolinę, nagle natykam coś czarnego leżącego na ziemi. W pierwszej chwili nie wiem co to jest, ale już rozpoznaję. Przede mną leży całkowicie spalony człowiek. Leży na boku z nogami podkurczonymi. Zwłoki jego są całe zwęglone, czarne, skurczone, pomarszczone. Obok leży odwrócony niemiecki hełm, pełny oblodzonego śniegu, a dalej wystaje but z oddartą zelówką. Czy się przestraszyłem? Chyba nie. Ale na pewno jestem zaskoczony. Dlaczego nie jest pogrzebany? Czyżby o nim zapomniano? Kto to jest – czy to powstaniec czy Niemiec? Myślę, że niejeden powracający do Warszawy napotka to miejsce. Przechodzę dalej i wnet zbliżam się z powrotem do mostu. Niesienie desek staje się uciążliwe, przerzucam je z jednej ręki na drugą, ale w końcu docieram do domu i składam w mieszkaniu na Kawęczyńskiej. O moim niezwykłym odkryciu nie mówię rodzicom.

Zrobiliśmy razem z tatą chyba jeszcze ze trzy wyprawy po deski do ruin Warszawy. Przynieśliśmy trochę drewna, ale to wszystko było za mało, żeby coś zacząć robić. Trzeba poczekać do wiosny.

Spotykam kolegę z kompletów, Leszka Wieczorkiewicza. Razem chodziliśmy do 3-iej klasy gimnazjum. Teraz on jest w klasie 4-tej. Został na Pradze i gdy ja siedziałem na wsi, to on po zdobyciu Pragi rozpoczął prawie normalnie rok szkolny. Po mojej stronie byli jeszcze Niemcy, on zaś już był oswobodzony od nich. Nie stracił nic z programu szkolnego, ja zaś mam za sobą przerwę 6-miesięczną w nauce. Mówi mi, że gimnazjum Władysława IV częściowo mieści się na plebanii przy ul. Kawęczyńskiej 49. Trzeba zgłosić się do profesora Gawędy; teraz on jest tam dyrektorem, bo pana Usarka Niemcy wywieźli do obozu. Ma powiedzieć o mnie panu Gawędzie.

Następnego dnia, chyba był to 27 lutego, zgłaszam się na plebanie, na dużą przerwę. Czekam na klatce schodowej, na podeście drugiego piętra. W czasie przerwy schodzi do mnie średniego wzrostu pan, drobnej budowy, z siwawym wąsikiem pod nosem. „Kolega Kazika?” – pyta. „Tak”. „Chodziliście na komplety; opowiedzcie z kim uczęszczaliście, do której klasy, kto was uczył”. Stoimy tuż obok zamkniętego okna i w tym czasie na podeście oprócz nas nie ma nikogo. Opowiadam, a dyrektor uważnie mnie słucha. „A materiał klasy trzeciej cały przerobiliście?” Mówię o wpadce naszego kompletu i o rozproszeniu się uczniów. Pan Gawęda zadaje mi kilka pytań z matematyki, fizyki i geografii. Coś sobie notuje w małym notesie. „Słuchajcie kolego – mówi do mnie. – Nie macie całkowicie ukończonego materiału z 3-iej klasy. Klasa 4-ta kończy już w tej chwili półrocze. Odjechała od was o 6 miesięcy. Czy w tym stanie jesteście dogonić program? Chyba nie. Dlatego proponuję wam zapisać się do klasy 3-iej. Formuje się ona od 15 marca. Po niecałych trzech miesiącach kończycie ją i jesteście już normalnym uczniem klasy 4-iej. Odpowiada to wam?”

Myślę intensywnie. Nie mam szans na dogonienie Leszka. Nie mam książek, zeszytów, nie mam nic. Trzeba przypomnieć sobie przedmioty z klasy trzeciej. Trzeba przerobić materiał klasy 4-tej do półrocza i jednocześnie pracować nad aktualnym. Masa roboty. Dodatkowo jeszcze mieszkamy nie u siebie. Nie dam rady. Kiwam głową, że tak. Przyjmuję propozycję dyrektora Gawędy. Kreśli on parę

zdań w notesie i podaje mi rękę. „Decyzja jest prawidłowa – mówi – przyjmuję ciebie w poczet uczniów klasy 3-ciej. Spotykamy się zatem tu 15 marca. Do zobaczenia!”

W życiu nie ma nic za darmo. Płacę w ten sposób za moją ucieczkę z Warszawy na wieś po rozbiciu naszego kompletu. Gdybym został... Gdybym został i przeżył, byłbym w tej chwili uczniem klasy 4-tej, jak Leszek. Ale gdybym został i nie przeżył, złapałoby mnie Niemcy, to wolę, że jest tak jak jest. Trzeba przyznać, że rodzice wykazali w tej sprawie zrozumienie. „Teraz już będzie dobrze” – powiedziała mama. Tym słowem zaakceptowali moją decyzję.

I tak zacząłem naukę już w legalnym, Państwowym Gimnazjum im. Władysława IV. Zaraz też przyszyłem sobie na lewym rękawie niebieską tarczę z numerem szkoły, tak jak to widziałem u innych uczniów. Byliśmy spragnieni tego, bo przez cały czas okupacji nic nie było wolno nosić.

Słonko zaczyna przygrzewać coraz mocniej mimo, że nadal panuje zima. Z dachów, gzymsów, rynien zwieszają się długie lodowe sople. Pewnego dnia wieczorem lampy rozbłyskują żółtawym światłem. Kończy się era karbidówki i lamp naftowych. Na Pragę powraca do mieszkań światło i energia elektryczna. Nie wszędzie jeszcze, ale widzi się w oknach przebłyskujący przez zasłony blask światła elektrycznego. Na Kawęczynskiej wykręcamy korki znad licznika, by nie było zwarcia od przeciekającej wody. Co pewien czas tam chodzę i usuwam ze stropu nowy śnieg czy lód. Jednocześnie porządkuję swoje rzeczy, odnajduję notatki i zeszyty z kompletów, z 3-ciej klasy. Znow mi tam czegoś brakuje, ale nie ma co wydziwiać. Dobrze, że jest to co jest.

Od Wisły cicho dochodzą do nas odgłosy wybuchów. To saperzy wysadzają lody na rzece przed mostem pontonowym. Bronią wątlej nitki przeprawy przed ruszeniem kry.

15 marca zgłaszam się na plebanię. Zbiera się nas spora grupka uczniów, którzy z takich czy innych względów muszą kończyć klasę trzecią. Spotykam paru kolegów, między innymi Juszczyka. Dyrektor Gawęda sprawdza listę i prowadzi nas do Bazyliki, do podziemi, tam gdzie chodziłem na tajne komplety. Okazuje się, że na plebanii nie ma już dla nas miejsca, natomiast nasz gmach szkolny, znajdujący się na rogu ulic Zygmuntowskiej i Jagiellońskiej, obecnie jest zajęty przez wojsko rosyjskie. W salach podziemia jest teraz więcej ławek, stolików, są tablice, możemy zaczynać. Trzeba tylko przynosić ze sobą przybory do pisania, zeszyty lub bruliony. Tego dnia odbyła się pierwsza lekcja. Profesorowie są mi nieznanymi. To nie są ci, co nas uczyli na tajnych kompletach. Mówią, że niektórzy z nich zginęli lub nie wrócili jeszcze z obozów i lagrów, jak nasz dyrektor, pan Usarek.

Pewnej niedzieli wyprawiam się z jednym kolegą do parku Skaryszewskiego. Chce mi pokazać strącony samolot amerykański. Jest już przedwiośnie, ale śnieg zalega jeszcze prawie wszędzie. Wchodzimy od strony Alei Zielenieckiej po drodze mijając mostek nad kanałkiem do jeziora Kamionkowskiego ze zniszczoną betonową balustradą. W głównej alejce leży mnóstwo pocisków artyleryjskich. Jest tego chyba ze trzy stopy o wysokości człowieka. Obok sarta dużych min czołgowych. Nikt tego nie pilnuje. Idąc w głąb parku raz za razem mijamy pojedyncze miny leżące na środku alejki, a z boku, gdzie są trawniki – porozrzucane pociski do dział. Już z daleka widać strącony samolot. Jest to amerykański czterosiłnikowy Liberator – jeden z tych, które niosły z powietrza pomoc powstańcom. Na kawałku strzaskanego skrzydła leżącego pod wodą, w mule, widać wyraźnie pięcioramienną srebrną gwiazdę w okręgu na niebieskim tle. W tej chwili jest to stos leżącego bezładnie aluminium, z którego wystaje część kadłuba z ogonowym usterzeniem. Pilot strąconego samolotu chciał się pewnie ratować wodowaniem w jeziorze Kamionkowskim, bo maszyna ścięła pobliskie drzewa, rozbiła balustradę mostku w alejce i roztrzaskała się o płytkie dno, wbijając się w muł. Widać w tym złomie jakieś zegary, liczniki, pudła podobne do radioaparatów, wszystko to potrzaskane, połamane. Są części skrzydeł, silników nie widać. Widocznie wbiły się w dno jeziora. Obok leży kawałek podwozia samolotu. Promienie słońca odbijają się od kawałków aluminium leżącego w wodzie i rażą w oczy. Po drugiej stronie alejki, pod drzewami, mogiła usypana z ziemi z małym krzyżem, a na pniu drzewa przybita drewniana tabliczka z napisem: „Tu grób 6-ciu amerykańskich lotników, którzy nieśli pomoc naszej ojczyźnie”.

Pierwsza wolna Wielkanoc. W niedzielę wielkanocną na rezurekcji w Bazylice pełno ludzi. Nie mieszczą się w kościele. Są cywile i żołnierze wojska ludowego. Zajeżdża wojskowy Opel, wysiada z niego major i z porucznikiem wchodzą po wysokich schodach do środka kościoła. Przy samochodzie zostaje młodzieńcy kierowca, żołnierz, chłopak 16-letni. Przyglądamy mu się z zaciekawieniem. Mnie i Juszczyka łapie ksiądz Blezień, nasz obecny katecheta, który z nami pracował w latach przedwojennych i za okupacji. „Słuchajcie chłopaki. Nie ma nikogo na dzwonnicy. Wejdźcie tam i jak dam wam znak, to będziecie dzwonić. Przecież to pierwsza taka rezurekcja”. Nam nie trzeba powtarzać – przecież takie dzwonienie to olbrzymia frajda. Wdrapujemy się po drewnianych schodach na wieżę, skąd rozciąga się wspaniały widok na pętlę tramwajową i pola wokół niej. Nad nami na potężnych belkach drewnianych wiszą dwa dzwony. Nie wydają się nam duże, a więc damy sobie radę. Juszczyk pociąga lekko za zwisający sznur. Serce jednego z nich wolno się waha. Czekamy, patrząc na ludzi zgromadzonych na placu przed kościołem. Nabożeństwo uroczyste już trwa. Wtem z dołu dobiega do nas głos księdza. „Chłopcy, do dzieła!” Chwyciliśmy za sznury i ciągniemy, żeby rozbujać dzwony. Ale – gdzie tam. Te niby małe dzwony okazują się cholernie ciężkie. Nie możemy spowodować takiego rozkołysa,

by serca ich uderzały o boki. Nie ma dźwięku, tylko słycać słabe puknięcia. „Dawaj – wołam do Juszczyka – najpierw rozbijamy mój, a potem twój”. We dwóch paroma mocnymi pociągnięciami uruchamiamy mój dzwon. Pierwsze walnięcia i chyba ogluchłem. Dźwięk jest czysty, ale i potężny. Jeszcze dajemy trochę „czadu” i skaczemy do sznura drugiego dzwonu. Udaje nam się go uruchomić i ja wracam do swojego, który zaczyna wyraźnie słabnąć. Ale już ma pęd i ciągnąc mocno za sznur wprowadzam go ponownie we wspinałe bicie. Fajna zabawa, ale jesteśmy zmachani, bo rzeczywiście do tego potrzeba sporej siły. Przytłoczeni jesteśmy dźwiękiem i niemal głuchniemy. Trwa to dosyć długo i gdy już wyraźnie słabniemy, czuję że coś ciągnie mnie za kołnierz. To jakiś chłopak przysłany przez księdza każe nam przestać. Puszczamy sznury, dzwony słabną i powoli cichną. Przełykam ślinę i ponownie wszystko słyszą. Nie schodzimy na razie z dzwonnicy, chcemy trochę odpocząć. Wtem słycać kilka potężnych wybuchów i na polu ogrodnika wykwitają słupy wywalonej w górę ciemnej ziemi. To ktoś pozbywa się ręcznych granatów i w ten sposób przyłącza się do ogólnej strzelaniny w czasie trwania rezurekcji.

Schodzimy z wieży na dół. Stojąc wśród ludzi na placu przed Bazyliką uczestniczymy w dalszym ciągu mszy. Taki był mój wkład do uroczystego nabożeństwa w pierwszą wolną Wielkanoc.

## Nareszcie pokój

Słońce przygrzewa coraz mocniej. Lekcje pod Bazyliką nabierają rozpędu i stają się stabilne. Dochodzą uczniowie, mamy dwóch nowych profesorów. Mamy lekcje historii i geografii oraz języka polskiego. Oczywiście według programu gimnazjum przedwojennego, bo innego na razie nie ma. Jest również lekcja religii. Z nowości – nauka języka angielskiego. Nie mam trudności z przedmiotami, bo część już przerabiałem, a z resztą daję sobie radę. Jako ciekawostkę podam, że zamiast brudnopisu używałem w tym czasie niemieckich kart lotów bojowych. Były to blankiety dotyczące trasy lotu, wysokości lotu, wykonania zadania, czasu przelatywania nad linią frontu itd. Miały drugą stronę czystą i ją właśnie wykorzystywałem do swych celów.

Wojna oddaliła się od nas. Gazety podają, że wojska polskie dotarły do Bałtyku w rejonie Kołobrzegu. Oddziały rosyjskie są w rejonie dolnej Odry, a zachodni alianci przeszli Ren. Operacje wojenne toczą się teraz na terenie tych, którzy tę wojnę wywołali. Zasłanianie okien już nie obowiązuje. Pałają jasno światła w oknach mieszkań, świecą się lampy na kolei.

Pewnego dnia – chyba to była niedziela – zabierają nas na odgruzowywanie Warszawy. Ładujemy się na dwie ciężarówki wojskowe, które przerzucają nas na lewy brzeg Wisły. Nie ma już mostu pontonowego. Mimo usilnej obrony przez saperów zabrały go ruszające lody rzeki. Teraz jedziemy już przez stały most wysokowodny, usytuowany naprzeciwko ulicy Karowej. Saperzy wybudowali go w ciągu 8 dni. Umożliwia on już dobrą komunikację między Pragą a Warszawą. Jadą przez niego „autobusy”, czyli ciężarowe samochody, mające w swej skrzyni ustawione zwykłe ławki, na których siedzą pasażerowie. Ciągną furmanki i platformy konne oraz sznureczki pieszych po obu stronach jezdni mostowej. Zatrzymujemy się na rogu Alei 3 Maja i Nowego Światu. Wokół morze ruin. Przerażające wrażenie robią zrujnowane, 5-piętrowe kamienice między ulicą Smolną a Aleją 3 Maja. Sterczą z nich poprzeczne ściany pionowe i frontowe, cały dół stanowi jedna kupa gruzu, a w prześwitach widać budynki stojące wzdłuż ul. Smolnej.

Wysiadamy. Otrzymujemy łopaty i prowadzą nas na miejsce pracy. Jest nas około 40 uczniów. Widzimy, że wzdłuż Nowego Światu rozstawione są inne grupy pracujących. Miejsce nasze wypada na wprost apteki na rogu Smolnej. Odgruzowana została ulica na szerokości torów tramwajowych. Pozostała część jezdni wraz z chodnikami zalegają zwały gruzu, sięgające wysokości I piętra. My mamy za zadanie oczyścić jedną stronę, tak by dojść do ściany zrujnowanego budynku.

Podjeżdżają ciężarówki i wrzucamy na nie gruz łopatami, cegły gołymi rękami, większe kawały we dwóch. Duże odłamy muru zostawiamy wygrzebując je spod gruzu. Ciężarówki jeżdżą po Nowym Świecie i zabierają ładunek gdzieś na wysypisko. Mimo, że jest chłodno, rozgrzewamy się pracą. Sypią się kawały i dowcipy. Pracujemy tak chyba do 2-ej i tu tempo pracy zaczyna maleć. Czujemy już ten wysiłek w kościach. Ale widzimy efekt. Skarpa zalegającego gruzu zmniejszyła się znacznie. Odsłonił się kawał chodnika. Na naszym odcinku doszliśmy do ściany frontowej ruiny. Trafiliśmy akurat w witrynę sklepową. Szyby nie było, ale była żaluzja metalowa, kratowa. Przez nią widzieliśmy wnętrze sklepu. Było puste. Na ladzie leżała tylko paczka papierosów; nie wiemy czy pusta czy pełna. To był jedyny ślad, że kiedyś był tu człowiek. Koniec pracy. Podjeżdża ciężarówka wojskowa. Z samochodu wydają nam po porcji gorącej kiełbasy z pajdą czarnego chleba. Smakuje nam to znakomicie. Pałaszujemy na miejscu i można się rozejść. Wracamy do domu na pieszo przez most wysokowodny.

W kinie „Syrena” na Inżynierskiej grają „Paryżankę”, natomiast w „Atlantyku” na Chmielnej – „Królową śnieżkę”. Walili na nią tłumy ludzi, bo to film amerykański, kolorowy. Wybrałem się i ja na

Chmielną. Wyszedłem z domu rano, w długim ogonku pod kinem stałem do 3-ciej, powróciłem pieszo do domu już późnym wieczorem. Wyprawa do kina zabrała mi cały dzień.

Mieszkamy nadal u państwa Waliszewskich. Zajmujemy ostatni pokój i ciągle musimy przechodzić przez ich mieszkanie. Jest to niezwykle uciążliwe dla nich, a dla nas krępujące. Mama z tą postanawiają, że jak tylko zrobi się ciepło to zaraz bierzemy się za remont dachu. W czerwcu powinniśmy być już w swoim mieszkaniu.

Przychodzi zropaczona ciocia Jasia. Zginął jej syn Wojtek. Dzieciaki znalazły jakiś pocisk i zaczęły przy nim majstrować. Wojtek zbliżył się do tej grupki z ciekawości i wtedy pocisk eksplodował. Zginęło troje dzieci, kilkoro jest rannych. Ciocia Jasia jest niepokieszona. Trzeba jednak bardzo uważać. Nie wolno nic brać do ręki z tych pozostałości wojny.

Wiosna w pełni. Niemcy dogorywają. Koniec wojny jest już bliski. W parku Skaryszewskim, na boisku, ma się odbyć mecz piłki nożnej. Będzie tam grała warszawska „Polonia”. Bramki będzie bronił przedwojenny zawodnik – znakomity Borucz. Idziemy więc całą grupą na ten mecz. Spod śniegu wyrzała na boisku zielona murawa. Widzów nie jest dużo. Przyszli przede wszystkim kibice „Polonii”. Stoją po jednej stronie boiska. My jesteśmy tuż obok bramki naszego Borucza. Zaczyna się mecz. Podglądamy dociekliwie parady i wywrotki mistrza i podoba nam to się bardzo. Po przerwie mecz się zaostrza. Nasz bramkarz broni wspaniale. Mecz jest w pełnym toku. Wtem słyszymy szum motoru samolotu w górze. Dźwięk ten rośnie, potężnieje, zamienia się w głośnie dudnienie, zbliża się do nas. Podnosimy głowy do góry. Znad drzew wyskakuje nisko niemiecki samolot. Widać wyraźnie czarne krzyże na skrzydłach. Maszyna pruje pełnym gazem. Ryk silnika przetacza się nad boiskiem i po chwili samolot niknie w oddali. Za nim wyskakują nagle, też nisko, dwa myśliwce rosyjskie z czerwoną gwiazdą na spodzie skrzydeł. Gnają za Niemcem pełną mocą silników. Całe to niezwykle zdarzenie kończy się szybko i powracamy do meczu. Wygrała tym razem „Polonia”.

Jest maj. Robi się ciepło. Wszyscy mówią o rychłym końcu wojny. Czasami biorę rower wujka Genka i jadę gdzieś na przejażdżkę. Robię zwiad, gdzie by można zakupić jakieś deski na remont dachu. Stopniowo pojawiają się sklepy handlujące towarami. Po obu stronach Żąbkowskiej na bazarach można już kupić prawie wszystko. Są stragany handlujące częściami do rowerów, motocykli, samochodów. Tłumy niemal korkują na tym odcinku Żąbkowską.

Niektórzy już mają aparaty radiowe. Z nich dowiadujemy się, że podpisanie bezwarunkowej kapitulacji przez Niemcy ma nastąpić 8 maja. Tego dnia wyraźnie czuję, że ludzie czekają na coś. Zbierają się w grupki na ulicach. Wychodzę z domu i zatrzymuję się na rogu Kawęczyńskiej i Radzyńskiej. Jest tu pełno ludzi. Stoją na ulicy i na chodnikach – całe skrzyżowanie jest zajęte przez tłum. Nad naszymi głowami z otwartego okna mieszkania, na którym stoi radio, lecą jakieś polskie melodie. Zapada zmierzch. Wtem muzyka się urywa i spiker podaje ostatnią, najświeższą wiadomość. „Niemcy skapitulowały – koniec wojny!”. W tej samej chwili widzę jak w oddali, w kierunku ulicy Targowej, wytryskują w górę białe i czerwone rakietki. Zakotłowało się w tłumie. Jacyś ludzie rzucili się sobie w ramiona, żołnierze poodejmowali pepesze i strzelają w górę na wiwat. Jakiś sierżant wali raz za razem z rakiety w niebo, ktoś ściska i całuje się z dziewczyną, obok mnie starsza pani ociera oczy chusteczką, a chudy kolejarz powtarza raz za razem: „Cholera, nareszcie skończyło się”. Niebo rozbłyskuje setkami różnokolorowych rakiet. Tłum zrobił się rozgadany, rozkrzyczany, rozentuzjasmowany. Stoje i patrzę na to co się dzieje. Tak – nareszcie wojna się skończyła.